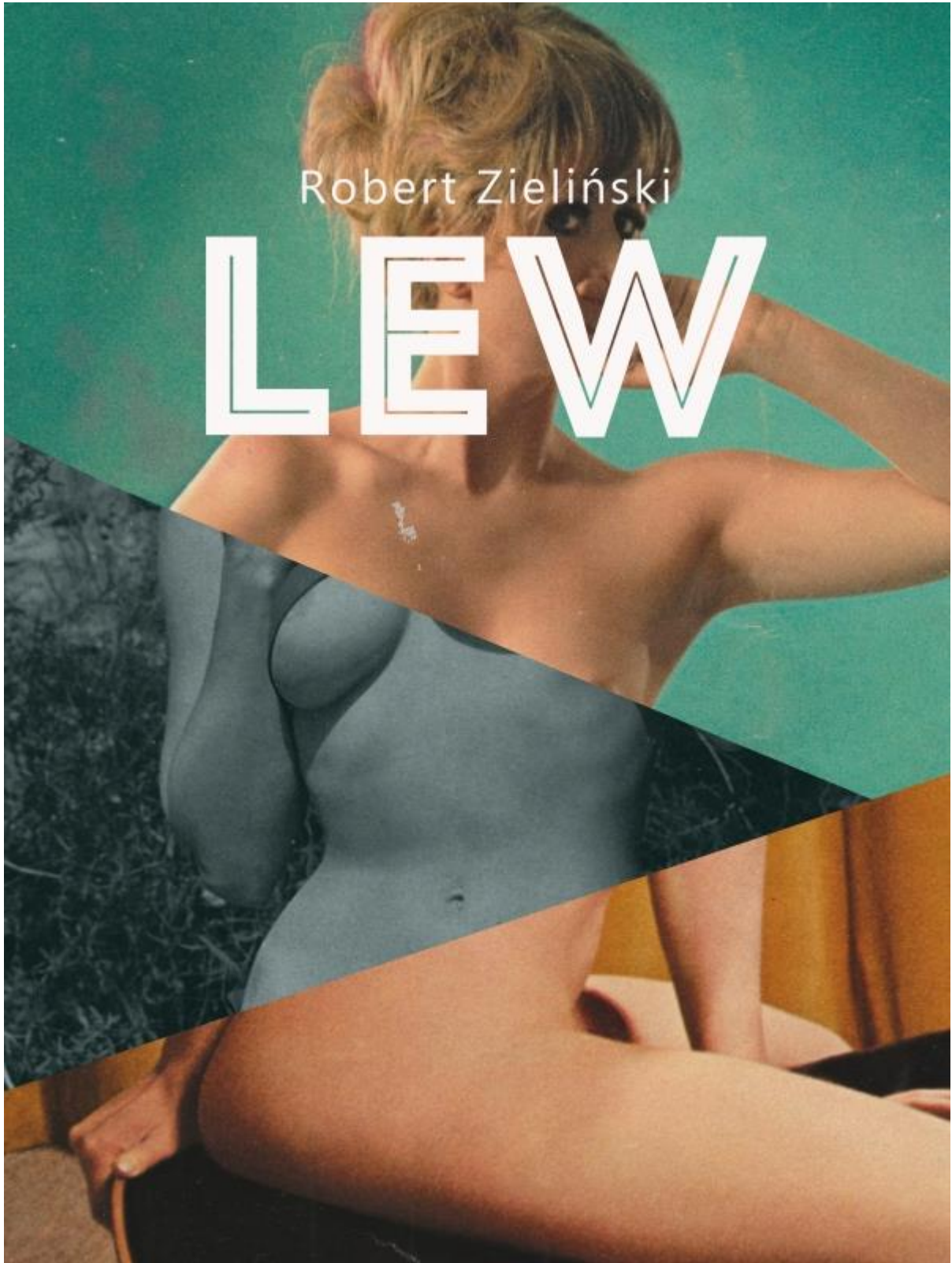


Robert Zieliński

LEW



Robert Zieliński

LEW

Korporacja Ha!art 2013

Robert Zieliński, *Lew*, Kraków 2013

[wersja ePub / MOBI]

Wydanie I

Kraków 2013

ISBN (ebook) 978-83-64057-10-6

Copyright © by Robert Zieliński, 2013

Copyright © for this Edition by Korporacja Ha!art, 2013

Projekt okładki: **Agnieszka Zgud**

Redakcja: **Michał Sowiński, Bartłomiej Woźnik**

Adiustacja i korekta: **Renata Sikorska**

ePub, MOBI: **Arkadiusz Wierzba**

Wydawnictwo i księgarnia:

Korporacja Ha!art

pl. Szczepański 3a, 31-011 Kraków

tel. +48 (12) 426 46 03 (księgarnia), 12 422 25 28 (biuro)

mail: korporacja@ha.art.pl

<http://www.ha.art.pl/>

SPIS TREŚCI

Lew romansów

Oniegin z pierwszego aktu...

Niebieski wulkan

Lew romansów

Nareszcie poznał kobietę, z którą chętnie pokaże się w lepszym towarzystwie z okolic Los Angeles. Oceniał swą zdobycz również obiektywem pocziwego nikonu coolpix S900 (taki, uważa, jest dla niego wystarczający!). Za to dziewczyna jak z okładki „Vanity Fair” – wysoka, szczupła blondynka o anielskich włosach. Ubrana modnie i – co równie ważne – stale uśmiechnięta.

Tylko czy większą radość sprawiła jej pierwsza randka z nim, czy SMS, który właśnie odczytywała? Prawą rękę podała mu do przywitania, a drugą nadal manipulowała przy (chyba świeżo nabytym) iPhone nowej generacji. „Jest rozrzutna?” – zaniepokoił się lekko.

Nim usiedli przy stoliku raz jeszcze zlustrowali się od stóp do głów. Obydwoje, wygląda, radzi są z nowej znajomości.

On starszy od niej zaledwie o dziesięć lat; szczupły, raczej erudyta (z „National Geographic” w ręku), wyróżnia się w masie otyłych Amerykanów. Zresztą łatwo porusza się w każdym środowisku. Ot, znany w tej okolicy właściciel kliniki stomatologicznej, który nie ukrywa swych sukcesów zawodowych i

towarzyskich. Bo już oboje trochę mówią o sobie...

Ona, prócz walorów kobiecych, też sporo reprezentuje! Jest odczytana (książka pod pachą); sprawia wrażenie bywalej w świecie. Zdaje się być na bieżąco z tym, co dzieje się w Europie. Miłośniczka literatury pięknej – do niedawna asystentka na wydziale anglistyki; lubi swą obecną pracę w wydawnictwie. Jest chyba (daj Boże!) niezależna finansowo...

Nie zważając się, uwierzyli od razu, że wahania serca mają już za sobą. Wreszcie i dla nich dwojga nadszedł kres poszukiwań ukochanej osoby! Lecz patrząc sobie w oczy, ciągle nie dowierzali, że i na tej, okalającej mały kampus uniwersytecki, erotycznej pustyni, udało się znaleźć partnera. Ową brakującą połówkę. „Na zawsze” czy na jeden wieczór?

Jest miło i pierwsza randka w parku trwałaby... hm... bez końca, gdyby nie wiosenny deszcz o zmierzchu. Biegną kilkaset kroków (ona trochę zdziwiona) ku najbliższej kwiaciarni, skąd stomatolog wychodzi po chwili z bukietem lilii. Kurtuazyjnie objęci wyznaczają sobie kolejne spotkanie... Dziewczyna, odjeżdżając swym paroletnim volvo (nie jest rozrzutna!), jedną ręką wymachuje liliami, a drugą śle mu całusa...

Zanim dotrze do swej wypieszczonej dizajnersko rezydencji, na jego dobrze już wysłużoną nokię przyjdzie SMS. A w nim trzy słowa: „Dziękuję, do zobaczenia”.

Od rana dzwoni do niej co chwilę. Dlaczego nie odbiera? Pozostaje mu nagrać zachwyty nad wczorajszą randką na pocztę głosową. A tak chciałby długo opowiadać, jak wytwornie się prezentowała. I że gdyby nie deszcz, kto wie, spacer trwałby może do świtu... Jeszcze parę razy telefonuje. Ciągle włącza się sekretarka. Zdawkowe odpowiedzi przychodzą SMS-em niczym miłe powroty bumeranga.

W ten sposób umówili się na kolację w znanej restauracji. Wcale nie on wybrał najdroższy lokal. Jako że to powszedni dzień: bez rezerwacji stolika.

Druga randka ma upewnić ich w nadziei na coś więcej niż romans. Gorąco tego pragną. Godzina dziewiętnasta trzydzieści to dobry czas – już po pracy, a przed nimi reszta wieczoru i... noc.

On spóźnia się. Dla niego, wyrwizęba, to kwadrans akademicki; dla niej,

kontrolerki cudzych tekstów, to (nie daj Bóg!) próba kandydata do łoża.

Zdyszany dobiega pod restaurację. Z emocji ledwie artykułuje słowa. Och, przyszedłby na czas, gdyby nie... kwiaciarnia. Miał do wyboru punktualność – tak mało, w jego mniemaniu, romantyczna zaleta – lub drogi bukiet orchidei, który kosztował go tylko kwadrans spóźnienia.

Słyszy, o dziwo, że jej szwagier, Argentyńczyk, potrafi spóźnić się i dwie godziny, a jest ciągle kochany w rodzinie. Więc (zadurzony?) stomatolog z ulgą przytula panią redaktor. Gdy już ustała ryzykowna sytuacja, przez całą kolację czule skupia się na swej towarzysze.

Jest uroczo. Świece na stole tworzą namiastkę prywatności. Siedzą przy fontannie w zaciszu ogródka. Nie tak dawno, gdy był tu z inną dziewczyną, randka skończyła się na komisariacie!

Wtedy nie dokończył obiadu. Już przy pierwszym daniu nastolatek na skuterze porwał w locie torebkę ze stolika i zniknął w mgnieniu oka. Dziewczyna rozplakała się. W torebce oprócz dokumentów były klucze do samochodu i mieszkania. Krzyczała na całą ulicę. Pogoń za złodziejaszkiem nic by nie dała, znikł już za rogim. Stomatolog, jedyny świadek kradzieży, wciąż pamięta przykre spisywanie zeznań. Ale tamta randka skończyła się u niego w domu pod kołdrą...

Dziś marzy o podobnym finale. Skoro jest nowa dziewczyna i przy tym samym stoliku... czemu nie? Tą jest nawet bardziej zainteresowany. Ta szczególnie mu odpowiada – uroda, styl, pozycja, no i niezależność finansowa. Byle tylko nie prowokować kapryśnego losu, narzucając zbyt szybkie tempo. A więc chwilowo żadnych choćby pocałunków! Och, myśli o możliwie dogłębnym poznaniu niebrzydkiej pani redaktor. Czy starczy mu cierpliwości? Intuicja szeptem, że ma szansę rozebrać ją do gołych nerwów wszystkich trzonowców i... rozkochać?

W restauracyjnym ogródku zostali tylko oni dwoje. Wpatrzeni w siebie, prowadząc rozpoznawczą rozmowę, zapomnieli o wykwintnym deserze. Reakcja damy na śliskie aluzje stomatologa jest obiecująca. Zgodnie decydują: precz z hamulcami w żartach na temat trawienia, wydalania! Ale i kulturalnych tematów mają oczywiście sporo.

Ubawił się do łez jej przygodą w autoryzowanym salonie Mercedesa. Nowy samochód psuł się w oczach. Już przy pierwszej jeździe oparcie kierowcy podczas

hamowania gięło się niczym łóżko polowe. I nie tylko to. Wielokrotnie reklamowała zakup, ale bez rezultatu. Pozostawał proces z dealerem lub zmuszenie firmy do wymiany auta na inne. Dealer nie chciał o tym słyszeć i nalegał, by kontynuować naprawy do skutku. Ona nie ustępowała.

Zamiast adwokata wzięła koleżankę z klubu Woman Power (!). Przyszła z nią do salonu, rzekomo by negocjować. Koleżanka miała faktycznie niepospolity wygląd. Natychmiast przykuła wzrok wszystkich panów, od młodzieńca na praktykach po Murzyna, który sprzątał.

Jej silikonowe piersi były wielkości poduszek powietrznych mercedesa. Utapirowane blond włosy, krzycząca czerwień szminki na ustach i prowokująca minispódniczka. Wszystko to konkurowało z personelem w najdroższych burdelach świata. Niebotyczne szpilki wydłużały jej nogi, sięgające i tak rozmiarami tych u żyrafy. I to *sexy* spojrzenie z rozesłanym łóżkiem w oczach.

Zgodnie z przygotowanym wcześniej „biznesplanem” koleżanka, niczym koń trojański, stanęła pośrodku salonu, gdzie sprzedawcy rozbierali ją wzrokiem. Na zgubę firmy! Tymczasem na zapleczu rezolutna właścicielka wozu w świadomie ordynarnych słowach wykazywała dealerowi wadę przedniego fotela i możliwe zagrożenie w trakcie jazdy. Nie szczędziła też uwag na temat fatalnej jakości serwisu.

Gdy, zostawiwszy w lokalu „konia trojańskiego”, wyszła przed salon na papierosa, dostała od wściekłego dealera SMS-a: „Już ci zbędny motel? Na tym fotelu dobrze się rozkłada nogi!”. I zaraz kolejny: „Koleżanki z branży pozazdroszczą ci tego wozu...”.

O to właśnie obu damom chodziło! Piękny „koń trojański” z nogami żyrafy przejdzie do historii firmy. Z *corpus delicti* na iPhone wróciła do dealera i w pokerowym stylu wyłożyła swe cztery asy z rękawa.

Pierwszy to pikieta feministek z klubu Woman Power przed salonem Mercedesa. Drugi to umieszczenie obu chamskich SMS-ów dealera na Facebooku. Trzeci to artykuł w lokalnej prasie z opisem incydentu. Czwarty: pozew o molestowanie uczciwej niewiasty przez pracowników salonu.

Wystraszony dealer nawet klientki nie dosłuchał. Niczym ofiara mafii wypisał szantażystce papiery na dziewiczy egzemplarz wozu.

Właścicielka samochodu bez podania ręki dealerowi rzuciła kluczyki od starego wozu na biurko, wzięła od hostessy kopertę z nowymi, po czym powstrzymując zwycięski uśmiech, trzasnęła drzwiami. I wraz z „koniem trojańskim”, z piskiem opon, odjechały najnowszym modelem mercedesa! Wszystko w poczuciu sprawiedliwie rozegranej partii. Za rogiem sikały po nogach ze śmiechu nad głupotą męskiego gatunku.

Feministki sprzed stu lat klaszczą w grobach swym następczyniom z Woman Power. Szczegółowy instruktaż „Jak rok jeździć mercedesem za darmo” opracowały same, bez potrzeby uciekania się do powagi Wysokiego Trybunału i pomocy profesjonalnych sędów (włączając w to zdziercę adwokata). A wszystko w cenie lunchu w McDonaldzie!

Opowiedziawszy tę historyjkę, jej przemyślna bohaterka, a przy tym równie uważna pani redaktor swego życia osobistego, nadstawia stomatologowi policzek do pocałowania. Dobrze, że jeszcze nie usta! Deser stopniał, a i on odpłynął myślami opodal, pośród kwitnące kasztany, gdzie o ileż milaj byłoby przytulać się i szeptać świniestewka do ucha. Niestety, partnerka spostrzegła, że już północ. Wygląda na to (dokładnie sprawdza podany mu przez kelnera rachunek), że rano popędzą z osobna: on do swej kliniki, ona do wydawnictwa.

Przed snem dzwoni do niej z czułym: „Dobranoc”. Znów tylko głos z sekretarki. Jednak po chwili SMS: „Do zobaczenia za dzień, dwa”.

Gdy skoro świt, będąc już w klinice, chce jej wysłać kwiaty, nie wie nawet dokąd. Ma tylko numer telefonu, którego ona i tak nie odbiera. Zaś on pragnie słyszeć jej żywy głos, przekomarzać się... Czy jutro będzie kolejne wystukane: „Hello, jak się masz?”.

Skądże! „Wpadłabym do Ciebie po mityngu w klubie” – odczytuje po przebudzeniu z ekranu swej niezawodnej nokii. Party nadzieją skonsumowania wreszcie randki chce raz jeszcze wybrać jej numer. Lecz, bez wiary w odebranie, również wysyła SMS-a. A z nim, *via* satelita, prócz zaproszenia biegną jego rozedrgane myśli. No i adres domu.

Na jej przyjście zaserwuje dwa gorące dania, czerwone wino i luksusowy sernik z tej lepszej cukierni. Nie zapomniał o kondomie, który – jak gotowy do strzału rewolwer – leży pod poduszką. Gość ma przyjść około dziewiętnastej prosto z wydawnictwa. Kolejnym SMS-em informuje go: „Będę za 25 minut”, a jeszcze następnym: „Do zobaczenia za 7 minut”.

Czeka cały w pasach na podjeździe, u szczytu swej ekskluzywnej uliczki. Witają się mocnym uściskiem, całusami, jeszcze wyłącznie w policzki... Trzymając się za ręce, idą wzdłuż frontu posiadłości i głównymi drzwiami wchodzą do salonu. Przez szklaną ścianę w oddali widzą urzekającą orgię miejskich świateł, dużo dalej zarysy gór. Chciałby jej podkreślić, że to „widok jak z orlego gniazda”, lecz tuląc dziewczynę, aż zaniemówił, napęczniały nie tylko dumą posiadacza tej rezydencji... Oto przez hartowaną szybę zajmującą całą przestrzeń pomiędzy podłogą a sufitem mogą też podziwiać hen w dole bodaj ostatnie w Kalifornii gaje pomarańczowe! Poniżej ciągną się ulice w szpalerach palm. Podobne drzewa, a jakże, kazał posadzić i na swym podjeździe. Z koroną liści niczym miotły do zamiatania. Te miejskie, gdyby nie typowa tu wszędzie niska zabudowa, sięgałyby nawet siódmego piętra...

Stomatolog, tuląc dziewczynę, ma nadzieję, że dostrzeże ona modernistyczny styl domu i ogrodu. Dzięki przemyślanym rozwiązaniom dekoratorskim układ lamp współgra z naturalnym oświetleniem, tak aby można było smakować z wnętrza salonu rzeźby w ogrodzie, a z tarasu bibliotekę i olejne pejzaże kalifornijskich gór.

Podczas gdy gospodarz-kolekcjoner nakrywa do stołu, ona, milcząco, przechadza się po domu. W bibliotece przepatruje tytuły książek na półkach. Jedną studiuje kartka po kartce. To *Historia rewolucji kubańskiej*, z perspektywy ruchu kobiet. Ciekawe, skąd to się tu wzięło? Facet, mimo wszystko, nie wydaje się intelektualistą.

Pani redaktor najchętniej oglądałaby w fotelu przy lampie unikalne fotografie z marszu feministek w zbuntowanej Hawanie. Lecz nie jest ani w czytelnicy, ani w galerii sztuki, tylko z wizytą. Czy również erotyczną? Książka poczeka, ten dziwnie wstrzemięźliwy, średnio młody pan – niekoniecznie!

Prócz bogatego wnętrza rezydencji jej uwagę przyciągnął oczywiście całkiem niezły pod względem fizycznego wyglądu gospodarz. Kątem oka go podpatruje. Po cóż te sygnowane płótna czy (może nawet galeryjne?) rzeźby, choćby warte były setki tysięcy... Podobnie mało imponują jej liczba pokoi i metraż posesji, co policzyła i wymierzyła ot, tak sobie. Czyżby cudza koszula była jeszcze bliższa naszemu ciału? Dziś chyba będzie z niego zdarta...

Facet coraz bardziej ją intryguje. Widząc go posiadaczem tego orlego gniazda, trudno nie ulec także materialnym fantazjom... Jego „akcje” rosną u pani

redaktor z minuty na minutę. Wcale nie dlatego, że wszystko tu świadczy o okazałym koncie bankowym stomatologa...

Odkłada *Historię rewolucji kubańskiej* na najwyższą półkę, choć niżej jest sporo miejsca. Pręży się, napinając łydki jak przed piruetem, aby zostać zauważoną i dać mu okazję, by pospieszyć z pomocą.

On, pozornie skupiony na odmrażanych krewetkach, nie spuszcza jej z oczu. Wiek amerykańskiej kobiety da się, plus minus, ustalić w łóżku. Najlepiej po nieprzespanej nocy, kiedy brak makijażu odsłoni lata, jak werniks zmyty ze starego płótna. Po cóż wtedy ukradkiem sprawdzać jej prawo jazdy?

Gdy ona mierzy w myślach, nie tylko... hm... długość salonu, pochylony nad talerzem gospodarz coraz dalej wyciąga szyję, próbując, mimo tających krewetek, z dała ją... obwąchać! Wreszcie skacze pod biblioteczne półki, by pomóc damie. Unosi ją w pasie i wirują w miejscu. Dama, jak wytrawna baletnica, nie stawia mu ni grama oporu. Ba, wsparła się o jego ramię, zadzierając nogę do góry.

Tak objęci, udają się w stronę kuchni i nakrytego stołu. Gdyby nie kipiący makaron, tańczyliby tak całą wieczność... Na paru metrach prześcieradła!

Stomatolog lubi wydawać spektakularne przyjęcia. Nowym gościom opowiada historie płócien na ścianach czy rzeźb zdobiących ogród. Zna temat nie tylko z podręczników i wystaw obejrzanych w światowych muzeach, ale także z regularnej bytności w domach aukcyjnych. Za młodu, w rodzimym kraju, pobierał lekcje, u swego wuja – kolekcjonera polskiego malarstwa. Dzisiaj zbankrutowany starzec natrętnie uprasza go o pieniądze. Cóż, krewnemu trudno odmówić.

Stomatolog w ogóle lubi mieszać codzienność z wiedzą encyklopedyczną, byle grać pierwsze skrzypce w rodzinie, biznesie, salonie. Ale gdy znajduje słuchacza w ponętnej kobiecie, jego ciało i umysł dostają się pod władztwo adrenaliny i nasienia; wtedy gotów jest zaaranżować dla kuszącej słuchaczki całe seminarium z... historii sztuki.

I dziś starannie opracował intelektualny temat, który rozwinie przed panią redaktor za stołem. Byle przykuć uwagę i... Tym razem na pewno zgłębi coś więcej niż tylko ten damski mózdzek. Ale to już w sypialni, po deserze na tarasie i po węchowej degustacji okolic szyjnych drogiego gościa.

Tymczasem na stół wjeżdżają krewetki w sosie neapolitańskim. Również kulinarnie przygotował się na tę randkę niczym do *colloquium* z histopatologii. Obłożony książkami o gotowaniu zawsze wertuje rolę składników i ich pochodzenie. Prócz... hm... zaliczenia chodzi o dodatkowe wrażenia egzaminatorki... Dziś czuje, że jest testowany jako samiec „na wydaniu” od momentu, kiedy przestąpiła próg jego domu. W salonie, przy stole, na każdym kroku (choć do sypialni zostało ich jeszcze kilkadziesiąt). Ale czy ma aby na uwadze powszechną wiedzę o głupocie całego ludzkiego gatunku?

Oboje wpatrzeni w siebie, z wiarą, że ten wieczór potrwa do rana, delektują się burgundem, myśląc o czymś jeszcze bardziej upojnym...

Samce, które dumnie głoszą, że nie samym chlebem się żyje, są na ogół głodne strawy poniżej bioder samic. A czego pragną one, życiowe redaktorki (nie tylko „myślowych”) samczych dokonań? No cóż...

Stomatolog jak wytrawny myśliwy już bacznie obejrzał zwierzynę. Na ile jakiś kontrsamiec jest zagrożeniem ocenia się po porożu. Łania jest go pozbawiona, co czyni ją bardziej tajemniczą. Na szczęście on, szczególnie kochanek, ma zmysły rozwinięte bardziej niż byle samica. Właśnie bada dotykiem elastyczność jej policzków oraz mięśnie ramiennie-głowowe. Liczy pory, mierzy głębokość zmarszczek, a węchem oddziela faktyczny zapach ciała od nasycenia go aromatem kosmetyków!

Tak nasz gospodarz postępuje przy każdym swych kolacyjnych „godach”; obwąchuje partnerkę długo przed pierwszym głębokim pocałunkiem! Dla niego ważniejszy jest kontakt nosa z damską szyją, demaskowanie sztucznych zapaszków niż operowanie językiem w jamie gębowej czy gdziekolwiek indziej. Ogier i cała plejada kopytnych samców też zaczyna romans od niuchania okolic szyi samicy, a dopiero potem podogonia.

Po kolacji ruszają na górny taras. Kiedy pną się po schodach, ona powoli opuszcza jedną dłoń na jego pośladki, podczas gdy drugą wspiera się o ścianę. Któraś z tych „jednodobowych” raczej zjechałaby okrakiem po poręczy, prosto w jego ramiona. Tej nie przestanie obwąchiwać i u szczytu schodów, i na tarasie, i gdziekolwiek będą, zanim...

Jako dbały pan domu jeszcze zejdzie po herbatę i kolejną lampkę wina. Przyniesie nawet pled, aby, broń Boże, nie zmarzła.

Rozkładając koc na jej kolanach, przytula się badawczo. Dopiero teraz, nareszcie ich usta zaczynają kleić się do siebie łąpczywie. To węchowe śledztwo zajęło mu parę dni, więc jeszcze kilka minut wstrzeźliwości się nie liczy... Szyja, usta, usta i znów szyja – jego ulubiony teren, przynajmniej na tym etapie. Pilnie smakuje zapach dziewczyny. Raz po raz wbija nos w szyję, to z lewej, to z prawej strony, tuż pod uchem. Już i za sto lat rozpoznałby jej damski „odór”. Tak jak niewidomy dotykiem palców dziurkę od klucza wynajętego na parę miesięcy lokalu.

A zatem zbędny samcowi PESEL, DNA, odciski palców. Wystarczy szyj(k)a niewiasty i... sprawny nos? A samicom...

Wychwaliwszy gościnność stomatologa, ciekawe wnętrze mieszkalne, urzekający widok z orlego gniazda, ona przerywa na tarasie zapachową konwersację. Zmęczona po dniu pracy tym późnym wieczorem sprawdza wygodę legowiska. Może na parę lat? Gospodarz, wydaje się, tego nie dostrzega; nadskakuje z herbatą, ciastem. Gdyby wiedział, że one i tych najsprytniejszych samców wyprzedzają myślą. Pani redaktor ponad deser i jego „błyskotliwy” monolog pragnie ciszy, by coś zaplanować. Też węszy za szybką drogą do...?

A on mówi bez końca. Aż poczuł jej wprawna rękę masującą mu wewnętrzną stronę uda. Oślepiło go to zielone światło! Rozpoznając aluzję, podnosi drogiego gościa i chwiejąc się, niesie w kierunku szerokiego łóżka. Koniec niepewności. Grzechem byłoby ignorowanie jej potrzeb. Od studiów wyznawał maksymę: „Bóg wybaczy wszystko, prócz odmowy kobiecie”.

Manewr przenosin trwa tyle, ile refren w piosence. I tak to, co wyczekiwane, olśniło go wcześniej, niż się spodziewał. Potem części garderoby lądują wokół łóżka, wpadają pod nie, lecą w przeciwne kąty sypialni; byle odsłonić dwie bryły żywego mięsa. Z lotu orła zdają się – lirycznemu w sprawach poza biznesowych – stomatologowi masywem piasku, wydumą w ciągłym ruchu przy silnym wietrze... Swego czasu prowadził równie poetycko dzienniczek *Do Laury*...

Lecz gdzie tu początek jednej ludzkiej bryły, a koniec drugiej? Gdzie góra, gdzie dół? Przypomina to masyw, a z bliska widać jego oszronioną czuprynę, która tropi nosem zadrzewiony atol; w najogólniejszym pojęciu – „wyspę szczęścia”. Dotrze i tam, na jej stromy brzeg. Byle do przodu. Już prawie przycumował swój kadłub. Pomagają mu jej ręce. Niczym dwie liny ciągną go na samą górę. Wolno, aby mocno wbił kotwicę. Potem już po prostej, w samo serce ukwieconej wyspy.

Chyba zahaczył ją skutecznie, lekceważąc przyływy i odpływy fal. Czuje się dobrze i bezpiecznie. Kotwica wbita solidnie, a rychło i walące o mózg fale uspokoją się, ścichnie pisk mew. Przed nimi długa noc...

Budzą się w swych objęciach. Ona wstaje pierwsza, wpada do łazienki. Po minucie wychodzi! Zdumiony tempem wydarzeń gospodarz próbuje namówić ją na wspólne śniadanie. Przygotuje espresso i jajka po wiedeńsku. Bez skutku! Gość, nie malując nawet ust, zbiera rozrzucone łaszki; w swych męskich bokserkach i koszuli sunie do frontowych drzwi.

Myślami ta gorliwa feministka jest już na zebraniu członkiń Women Power. Gospodarz, w półśnie, drecząc metr za nią, odprowadza gościa przed dom, do volvo, stojącego na podjeździe.

Zdawałoby się, że oboje uciekają z łóżka przed pożarem; bosy i w bieliźnie.

Objęli się na pożegnanie (z myślą o jutrzejszym spotkaniu?). Ona już żywo zmienia bieg na trzeci; on, smutny, ściga wzrokiem znikający samochód.

„Podupczył, wytarł kutasa w firankę i poszedł?” Zna to w męskim wariancie z autopsji i z tyłu opowiadań kolegów, ale tu chodzi o panią redaktor z sumiennie przezeń obsłużoną łechtaczką.

Jako romantyk bardzo liczył na to wspólne śniadanie. Cóż, dziś łatwiej uwieść kobietę, niż wypić z nią poranne cappuccino. Tak po swojemu „filozofując”, stomatolog poszedł wziąć prysznic.

Nim minęła godzina, dostaje SMS-a: „Dziękuję za noc”. To wszystko? I znów zapis satelitarny, a nie żywy głos w słuchawce...

Bardziej go to wszystko zastanawia, niż irytuje. Było tak cudownie. Elegancko podana kolacja, rozmowa przy lampce wina na decku i odczekane, wszak arcyfachowe pocałunki, o których marzyłyby niejedna. Obydwoje byli zaspokojeni łózkowo, a także intelektualnie! W nocy dałby głowę, że zakotwiczył się w jej życiu, tak jak lubi, na trochę dłużej. A tymczasem... Nie miał co do tego żadnych wątpliwości, gdy ją całował z nosem boleśnie zadartym hen między uda. Lubi mieć pamiątkowe slajdy z (przeważnie paromiesięcznej) bytności każdej samicy w jego życiorysie. Tu jedna wizyta i to wszystko?! Im piękna pani redaktor jest dalej, tym bardziej go to denerwuje... Ale jeśli nie ta, będzie inna!

Lecz tkwią w nim wątpliwości. Stara się je zebrać, posortować i... upchnąć na pawlaczu erotycznych wspomnień. Czemuż to zamiast koić, podnosi mu ciśnienie? Złe myśli oplatają go jak drut kolczasty.

Zabiegi w klinice tylko trochę tłumią jego romantyczno-poetyckie wizje. Czy jej głos (choćby przez telefon) lub SMS otrzeźwią go? Chciałby. Co się właściwie stało? Po babsku przejrzała jego normalne męskie rozumowanie?

W przerwie na lunch wyświetla mu się w nokia jej zdjęcie i dopisek: „Mam dużo pracy, ale myślę o tobie”.

Przeczytał to kilkakrotnie. Jeszcze trochę, a będzie ekspertem technologii cyfrowej. Na razie on, wschodnioeuropejski imigrant, ma kłopot z uruchomieniem strony internetowej.

Po klinice zaproponuje powtórkę wczorajszego wieczoru. Zostały nawet krewetki do odgrzania... Zaprosi ją jeszcze do parku lub na przejażdżkę konną. Na ranczu ma spokojną, trzynastoletnią klacz... Odpowiedź przyszła taka, jakiej się spodziewał.

Z wydawnictwa ta zwariowana feministka idzie do babskiego klubu na seans jogi i medytacji. Jest członkinią Woman Power od lat i ma parę takich spotkań w tygodniu. Wraz z koleżankami co miesiąc szykują odczyty dla środowiska akademickiego. Najbliższy to: *Zasługi kobiet w rewolucyjnych przemianach na Kubie*... Organizują też babską pikietę przed najlepszą restauracją w mieście.

Solą w oku jest im wystrój sal reprodukcjami Rubensa. Nie chodzi nawet o ich marną jakość. To w ogóle podłe używać kobiecej nagości w reklamie. Zwłaszcza tutaj, ku uciechu samców przy stolikach. Odwiedzają przecież ten lokal także (nieliczne wprawdzie) panie z kręgu biznesu! Co oni by czuli, jedząc kolację z widokiem utuczonych facetów bez majtek na płótnach Botera.

Stomatolog z nokią w zaciśniętej dłoni filozoficznie się zamyśla...

Jak pogodzić te dwa gatunki? Czym są mężczyźni i kobiety? Analiza odmienności ich dusz i temperamentów wyłącznie skłóca dwie „ziemskie półkule”. Niech się więc to żywe ludzkie mięso przyciąga i odpycha w przekornej harmonii, niby antymagnesy. Na szczęście trzy miliardy włochatych atoli nieuchronnie łaknie pirackich szkunerów.

Przed spaniem odczytuje: „Brak mi Ciebie!”. Pisze: „Mnie Ciebie bardziej!”. Na co ona: „Tęsknię...”. Zaś on: „Cząstkę tego, co ja?”.

I tak przekomarzają się satelitarnie przez następny kwadrans, patrząc w okienka swych komórek. Może jutro będzie inaczej?

Kolejny dzień też zaczyna się SMS-owym pozdrowieniem. W porze lunchu dalsza wymiana czułości, z wysłaniem mu zdjęć. Lecząc pacjentce jej ostatniego własnego trzonowca, uznaje, że cała telefoniczna zabawa jest mimo wszystko ciekawsza niż borowanie zębów.

Lecz i dziś się nie zobaczą; dziewczyna jest zmęczona, prosi o zrozumienie. Miała stresujący dzień w redakcji. Marzy o samotności we własnym domu. A on tak liczył na wspólny wieczór, noc, śniadanie w ogrodzie...

Nie obwacha jej szyi. Pod kołdrą jest zdany na siebie plus (minus?) marzenia. I ta gonitwa myśli o tylu udanych romansach, cudownych nocach. Zaś ten... Wcale nie łatwiej zasnąć dawnemu zwycięzcy. Co innego po czołowym zderzeniu kontrmagnesujących się ciał...

Rzuca się z boku na bok, aż przykrycie zaczyna przypominać jednoosobowy namiot... Wciąż pamięta z dzieciństwa: nie trzymaj rąk pod kołdrą. Już jako podrostkowi katechetka wpajała mu na religii, jak szkodliwe są „takie” myśli przed zaśnięciem. Dzięki Bogu nie słuchał tych herezji i będąc po pięćdziesiątce, obył się bez przerostu gruczołu krokowego. Od kiedy osiągnął dojrzałość to, co „szkodliwe”, popełnił z większą liczbą partnerek, niż przedtem w konfesjonale naszeptał księdzu grzechów onanizmu.

Rano budzi go SMS: „Dzień dobry, myślę o tobie...”. Czy to normalne, żeby kochankowie nie rozmawiali choćby przez telefon? Po tak udanej nocy! Chce już głupią babę skreślić z ewidencji! Lecz jej zapach przyciąga go jak ul niedźwiedzia.

W ciągu dnia przyszło kilka kolejnych SMS-ów. Znowu przełożyła spotkanie na rzecz swego Woman Power. Zjedzie szesnaście koleżanek z tyłuż stanów. Głównie rozwódki lub panny po czterdziestce, protestujące przeciw zdominowaniu świata przez mężczyzn. Również w sferze biznesu.

Wreszcie dziewczyna umawia się z nim na kolację.

Gospodarz nakrywa stół ręcznie haftowanym obrusem; zdobi go bukietem

kwiatów. Wiadomo, że udane pierwsze pięć minut od wejścia jest gwarancją całodobowego sukcesu.

Ona przyjedzie niebawem. Stomatolog z różą w zębach czeka na podjeździe. W dole rozległe miasto u podnóża gór. Niby to samo, a nagle inne... Wieczorem nijak liczyć dla uspokojenia wierzchołki palm (dopiero od stu lat zdobią tę dolinę). Wędruje spojrzeniem za tylnymi światłami mrowia samochodów. Zostawiają smugę czerwieni, która równolegle ociera się o rtęciową biel. I już łapczywie patrzy na auta jadące w jego kierunku. Za daleko, by namierzyć jej wóz. Doholowałby go wzrokiem... W zoo też trudno rozpoznać przez szybę soczewkową najpiękniejszą rybę. Samochody przybliżają się i oddalają. Światła i kolory zlewają mu się w nieuchwytną falę wartkiego życia miasta... „Jak w ludzkich związkach miłosnych” – „filozofuje” lirycznie stomatolog... Ona jest w tej laserowej wiązce naprzeciw jego orlego gniazda. Każdy ruch jasnego pasa to zbliżająca się konsumpcja... A zielone światło to minuta oczekiwania mniej.

Zerkając na nokię, gryzie i wypluwa łądyżkę róży. A nuż wiadomość z ostatniej chwili? Jest! „Będę za kilka minut!” Więc spieszna korekta rekwizytów; jak za kulisami teatru na chwilę przed odsłonięciem kurtyny.

Dorzuca drewna do kominka; niech iskry strzelają na wiwat. Pędzi do kuchni przyprawić surówkę. Już wyciągnął czerwone wino. Nastrojowa muzyka włączona. Jeszcze ułoży orchideę na jej talerzu, a sobie (to najważniejsze) wsadzi kondom do kieszeni. Coś będzie ani chybi! Zwyczajnie mu się należy. Tyle przygotowań, oczekiwania, te dziesiątki SMS-ów. On sam nie wypadł przecież sroce spod ogona; statusem kliniki czy lokalizacją tej rezydencji bliższy jest raczej orłom... Wiadomość sprzed sekundy: „Już widzę twoje gniazdo”.

Padają sobie w objęcia. Zabezpieczony, będzie ją całować, tulić, przesywać dziobem szkunera bez opamiętania. W końcu po to tu chyba przyjechała? Tak, rzuca mu się na szyję i macha łądkami. Czule wyciąga... różę spomiędzy jego zębów. Łamie kwiat na pół i wsuwa sobie za stanik. Gdzie też ona zatknie sobie tę orchideę z talerza...? A mięsiste irysy z wazonu, gdzież? On wie, co upchnie w bijącą feromonami włochatą dolinę...

Więc bez sensu raz jeszcze oprowadzać ją po domowej galerii. Po kolacji dziewczucha obejrzy na wznak to i owo z jego spodni. Podgrzeje ją na tarasie „ogień” w sterowanym elektronicznie kominku; wszystko parę kroków od sypialni...

Niestety ona, nażarta, podpita kolejnym cabernet, pod urzekającym

miliardem gwiazd – nieromantycznie zasypia. To nic, magiczny zastrzyk sprawi obojgu wyczekaną rozkosz. On jak sprinter w klockach czeka na strzał startera... Sparingpartnerka chrapie?! Prawda, to ani sto metrów, ani parę okrążeń bieżni. Jego samcze doświadczenie każe mu jeszcze odczekać start w erotyce (jak w biznesie?). Za to potem będzie dla tej śpiącej królewny maratończykiem. Bo dosłowna lekkoatletyka, jak również gra z doskoku na giełdzie nie bawią go. Już raczej, owszem, lokowanie się w okazjnych nieruchomościach na co najmniej półroczny wynajem.

W czasach akademickich bił własne rekordy seksualne, słuchając uwertur operowych. Był to głównie Verdi lub – w trakcie szczególnie udanej nocy – duety Pucciniego. Zaś w całonocnym apogeum nie wystarczały mu nawet całe operowe akty... Całował zweryfikowaną nosem dziewczynę i kochał się z nią, nie zmrużywszy oka.

Dziś, po niemal trzydziestu latach, z łezką wspomina Wagnerowski tryptyk na ziemi ojczystej jako całodobowy akompaniament od zmierzchu do zmierzchu. Obecnie pocieszeniem starszawego emigranta jest to, że i piosenki dają się lubić. Również mają wpadający w ucho rytm...

Stomatolog i pani redaktor już w sypialni, wtuleni w siebie, znów stanowią nierozłączną bryłę. Płyną z niej szept, czasem jęki, ale i chichot, gdy owa, zda się, nadziemka materia raz po raz wymienia się biegunami pod kołdrą. Aż jej zadarte nogi dotykają sufitu, zaś on, dziurawiąc ją poprzez materac na wylot, ryje swym członkiem podłogę! Z jej zdławionego głosu (to raczej nie chrapanie?) wiadomo, że osiągnęli niebo i piekło. Po tym, wspólnym jego zdaniem, stratosferycznym locie, usypiają.

Lecz i dziś rano stomatolog nie dopełnił swego szczęścia. Zamiast delektowania się urodą towarzyszkii nocy podczas wspólnego śniadania pozostała mu asysta psa! Cóż... on też ma piękne oczy i pysk o szlachetnych rysach. Przy ileż większej wrażliwości! Na władczy gest gospodarza podchodzi i kładzie mu pysk na kolanach.

Umie leżeć u jego stóp, gdy oglądają film lub gdy pan odpoczywa w fotelu. Zaś w nocy przy łóżku czuwa nad jego bezpieczeństwem i nigdy ordynarnie nie wymknąłby się z sypialni. Wyuczony, od szczeniaka akceptuje tutejszy, niemal protokolarny, porządek dnia, w którym najważniejsze jest wspólne śniadanie. Bez pośpiechu, ciesząc się wspólnym przebywaniem i generując energię na cały dzień (a w przypadku kochanków również na całą następną noc).

Co z tego, że ona SMS-owo wyjaśnia mu, dlaczego ostatnio tak szybko wyszła. Przez ich wspólną noc zaważyła spotkanie Woman Power i obowiązki w redakcji. Dopisała wprawdzie podziękowania za wszystko. Po południu odbiera od niej SMS-a: „Czyje to były piosenki?”.

A może warto rejestrować najefektywniejsze tytuły? To przecież stoper pocałunków, tych na górze i tych w dole... Trzeba by jeszcze obliczyć czas cumowania przy „wyspie szczęścia”... Po minionym dniu to wszystko zdaje mu się nic nie warte (zawsze ważny kurs na giełdzie).

Przy ostatnim, niespełnionym, śniadaniu chciał jej opowiedzieć o planowanej wyprawie z synami na safari. Czy pani redaktor w końcu znajdzie dla niego czas? Jest w pracy albo na mityngach Woman Power. A jednak kiedy spóźnia się na kolację, żal słów na rzecz czynów...

Zarzeka się, że odwiedzi kochanka przed jego odlotem do RPA. Mają całe życie, aby bliżej się poznać, wyszeptać sobie marzenia w łóżku – pociesza go SMS-owo. „Byle nie było tyle wspólnych nocy, ile śniadań na tarasie” – „filozofuje”.

Ten wieczór spędzili w rozgrzanym do białości jacuzzi. Oboje na golasa zgłębili sobie wodnymi biczami stęsknione dusze, i nie tylko... Stomatolog trzyma ją za ręce jak podczas ćwiczeń jogi. Potem, w sypialni, będą razem trenować, nie tylko dłońmi. Przy piosenkach z ich pierwszego wieczoru. On, ze stoperem w głowie, by wypaść jeszcze lepiej. Niepotrzebnie.

Rano ona i tak zostawi go w łazience, popędzi w bokserkach do samochodu. Oczywiście, zgodnie z tradycją, wyśle komplementy o nocnych wyczynach gospodarza...

Tuż przed jego odlotem do Afryki obiecali sobie kontakt e-mailowy. W buszu mogą nie działać komórki; internet jest tylko w recepcjach hotelowych.

Ale dziewczyna wrzuci go aż do ssania w dołku swym niespodzianym przyjazdem na lotnisko. Kiedyś wpadła, tak na chwilę, do orlego gniazda po zostawiony kostium kąpielowy, teraz, by szepnąć mu: „Uważaj, w Afryce i małpy mają HIV”.

Życie na przedmieściu Johannesburga da się przyrównać do tego w Ameryce

czy w Europie Zachodniej. Wszędzie widoczne są podziały na rasy, na złe i dobre adresy, na jedno- i wielogwiazdkowe hotele, a gruchoty z ledwie czterema cylindrami mijane są przez lśniące, ośmiocylindrowe kabriolety.

– I tam, i tu – poucza obu synów w taksówce – są slumsy z barami, do których łatwo wejść turystom, ale trudniej im z nich wyjść. Niejeden ciekawski ma szczęście, jeśli wraca do swego Hiltona w bieliźnie. Po wielu jednak ginie ślad...

Młodszy syn chyba się uśmiechnął; starszy milczy.

– Można, kręcąc globusem – „filozofuje” więc stomatolog na własny użytek – znaleźć liczne obszary większego zła lub, choćby najmniejszego, dobra. Ale po co? Wszędzie ci lepsi izolują się na wypadek zagrożenia ze strony tych gorszych. Stąd alarmy, kamery, podwójne ogrodzenia, druty kolczaste pod napięciem... Wspólnego mianownika, co może przykre, raczej nie ma. Pod kreską są biedni, niosący, według słusznej opinii publicznej, „zło”, a nad kreską, wiadomo, klasa ludzi, którzy tradycyjnie stanowią ostoję „dobra” i szansę rozwoju ludzkości. Jednych i drugich nieuchronnie dzieli jakby chiński mur...

Czarny kierowca ich taksówki chciał, zdaje się, potrącić tego obdartego czarnucha na jezdni!

Kobieta, do której jadą – dzisiaj żona bogatego obywatela RPA – była koleżanką ze studiów stomatologa. PRL zrzucał wtedy ubogie, gomółkowskie szaty i stroił się w te gierkowskie, kupione za pożyczone przez socjalistyczny rząd miliardy dolarów z Zachodu.

W trakcie studenckich praktyk na trzecim roku ci dwoje zwalczali na polskiej wsi zastarzałą od przedwojennego kapitalizmu próchnicę. To w autobusie z dentystycznym wyposażeniem on, dusza towarzystwa, odebrał miłej koleżance cnotę. Z nowo ustrojowej niecierpliwości – na „hydraulicznym” fotelu. Od czasów chłopięcych był ciekaw kobiet i świata. Czy ona podobnie? Później, każde na innym kontynencie, ślali do siebie pocztówki na *Merry Christmas* i *Happy Easter*. W końcu dawno już dorosły stomatolog pomyślał rynkowo, że w RPA go jeszcze nie widzieli, a skoro u koleżanki była darmowa meta dla taty z synami – może warto!

Na pierwszy rzut oka dom jest rzeczywiście imponujący; za to jego polska właścicielka – mocno w ruinie. Gorąco wita ich trzech już od wejścia z kolumnami w stylu *Przeminęło z wiatrem*. Potem takie, ot, polsko-emigracyjne ple-ple przy

kolacji. Męża gospodyni ani widu...

Rano za oknem pokoju stomatologa jest już ciekawiej...

Każde białe dziecko w RPA wie (i nikogo to nie dziwi), że nawet z sąsiadami należy rozmawiać przez podwójny płot, nie podając sobie ręki. A nuż któreś dotknęłoby naelektryzowanego drutu.

Właśnie za takim dwumetrowym, grożącym śmiercią ogrodzeniem stomatolog namierzył swój łóżkowy, jeszcze od okresu studiów, typ: dość młoda, dobrze zbudowana, trochę jak dwa globusy zrosnięte w pionie kibicią chętną, by zostać chwyconą męskimi dłońmi. Wszystko to na wytrzymałych udach i posłusznych łydkach, tylko je zarzucić na męskie ramiona. Już nieważne, jaka głowa! „To coś” za płotem jest chyba panią tego luksusowego domostwa.

Parę następnych dni minęło stomatologowi tak, jakby nie był ojcem... Sąsiadkę widywał kłusującą co rano po padoku. Czy to dziwne, że on, polski jeździec z krwi i kości, chce poznać ją osobiście? Może zaprosiłaby go na wspólną przejażdżkę po swej farmie? Tylko jak nawiązać kontakt...

Urażona od pierwszej, osobnej, nocy, podstarzała gospodyni nie zna telefonu sąsiadów. Bramy komuś nieznanemu – ostrzega napaleńca – nikt w Johannesburgu nie otworzy, jeśli ten wcześniej się nie zapowiedział. Pomyślał, że mógłby napisać liścik. Lecz nie zna nazwiska amazonki. Ciągle więc stoi przed nim dzielący ich płot...

Któregoś dnia przywołał uprzejmym gestem Murzyna-masztalerza na skraj farmy. Pogadali chwilę (też przez płot); oczywiście z dala od drutów pod napięciem.

Również każdy czarnuch, jak wytrawny saper, zna tu konsekwencje pomyłki. Ale stomatolog, który zaliczył amerykańską konstytucję na szóstkę, nie dowierza południowoafrykańskim realiom i z trudem hamuje swą demokratyczność. Chciałby, jak w Kalifornii, poklepać masztalerza, z wdzięczności za przysługę. Otóż ustalili, że pracodawczyni czarnucha podejdzie do płotu w tym samym miejscu jutro po lunchu. Czarnuch dodał, że pana nie ma, będzie dopiero w piątek.

Dwie rozległe posesje – każda z warownym domem – przypominają poligon wojskowy, podzielony zasiekami z drutów kolczastych. Ale to mu nie przeszkodzi

w poznaniu sąsiadki-amazonki i... och, tylko obwąchaniu jej.

Na koniu dziewczyna wygląda świetnie. Obcisłe bryczesy z reguły uwypuklają pośladki i eksponują tężyznę ud. Te jej są szczególnie wytrenowane. Wycisnęłyby z ogiera ostatnie krople potu. A cóż dopiero ujeżdżając dwunożnego samca! Ciekawe, ile aktów operowych należałoby odsłuchać w łóżku, aby poskromić tę niechybnie żądną ostrej jazdy „walkirię”? Oj, *Złoto Renu* byłoby chyba za krótkie!

Nazajutrz, w umówionym miejscu przy płocie, sąsiadka – prócz seksownych bryczesów – ma na ramionach węża boa! Niby gruby jedwabny szal lśnięcymi pierścieniami oplata ciasno jej ciało.

Po zapoznaniu się spiesznie zapewnia, że ów boa dusiciel jest profesjonalnie wyszkolony i niegroźny dla ludzi... On, zapatrzony w nią, oddalony od płotu o metr, nie wie, co go bardziej przeraża: druty pod napięciem czy dwuipółmetrowy syczący gad. Po chwili badawczego milczenia urodziwa Afrykanerka zaprasza go na drinka do swego domu...

Chociaż obie posesje właściwie się stykają, nawet legalne dotarcie za ogrodzenie wymaga zachodu.

Najpierw należy przedostać się przez obwarowaną drutami pod napięciem bramę tajemniczej sąsiadki, następnie gościa czeka spacer alejką – kilkaset kroków pod ostrzałem kamer. Dopiero na podjeździe oczekuje zaproszonego sama gospodyni.

Wyszła przed frontowe drzwi już bez wijącego się wokół niej węża boa. Za to obskakuje stomatologa chmara beagle'ów. Robią tyle wrzawy, ile mogłoby powstać w pościgu za zbuntowanym niewolnikiem. Skacząc, razem z panią domu witają gościa na schodach. Ich właścicielka śmiałym gestem prosi gościa do środka; uspokaja, że choć szcękają, nie są groźne. W przeciwieństwie do rottweilera w garażu. Ten służy jej również jako profesjonalna ochrona.

Trudno się rozluźnić, gdy za ścianą warczy taki „goryl”, a niegroźne beagle, węsząc, jak pijawki podgryzają buty. Ale to przecież nic wobec znanego mu już dusiciela. Za pancerną szybą akwarium, zwinięty w kłęb, niezmiennie sprawia mordercze wrażenie. Ale ci dwoje konwersują...

„Mąż wiedział, co robi, ofiarowując go swej ćwierć wieku młodszej żonie” –

uważa w duchu stomatolog. Przysięgła mu nosić węża na szyi przy każdym towarzyskim kontakcie z mężczyzną. Niech taki intruz wie, że prócz alarmów, kamer i drutów elektrycznych broni moralności domu nawet boa dusiciel!

Konwersacja nieco wędnie... „A jeśli wąż wylezie z akwarium – bije się z myślami, on, legalnie (?) zaproszony – przepełźnie po dywanach salonu i zaczai się także w sypialni?!” Potężny gad, niczym strach na wróble, ma odganiać wszelkie zagrożenia, lecz chyba głównie erotyczne...

Przed wiekami średniowieczni rycerze zostawiali swe żony w wieżach, zakute w pasy cnoty. Afrykanerski mąż (już nie z krucjatą do grobu Chrystusa, lecz w celach biznesowych) na długo wyjeżdża z domu... Wszak i wieżę, i druty kolczaste da się sforsować...

Firma budowlana jej męża wygrała przetarg na budowę dróg i mostów w jednym z parków narodowych RPA. Właśnie nadzór projektu utrudnia mu częstsze powroty do młodej żony. Generalnie, może zjawiać się dwa, trzy razy na kwartał.

I właśnie w któryś niezaplanowany weekend mąż uświadomił sobie, czym jest to najstraszliwsze „zło” w ich domu. Niby bez uszczerbków materialnych, ale przecież... Wpierw biznesmen tłumaczył sobie incydent z porażonym prądem mężczyzną jako zuchwały napad. Że wszystko zdarzyło się akurat w chwili jego przyjazdu do domu? Zbieg okoliczności.

On jest dopiero pod bramą, w limuzynie, a kilkadziesiąt metrów dalej napięcie elektryczne strąca z dwuipółmetrowego ogrodzenia jakieś męskie ciało w panicznej ucieczce z jego posiadłości! Zaś stęskniona żona zamiast witać męża, lamentuje nad ofiarą za płotem.

Zdenerwowana wzywa pogotowie, lecz unika wzroku leżącego na ziemi mężczyzny. Choć mąż nalega, ona nie chce zawiadomić policji!

– Po co go karać sądownie? Nic nie ukradł, nie wyrządził nikomu krzywdy. Dajmy mu spokój – rzecz drżąca małżonka.

Rzeczywiście. Dla policji nie byłoby to żadne szczególne wezwanie. Co drugi dom w bogatszych dzielnicach Johannesburga został kiedyś obrabowany. A i sąsiedzi nie reagują na takie „sensacje”. O tej też by wszyscy zapomnieli. Lecz nie mąż. Po miesiącu wykrył na swej karcie kredytowej opłaty za czyjś szpital i... usługę prawną.

Na podstawie tych rachunków stwierdził przerażony, że złodziej to niechybnie kochanek jego młodej żony! Zazdrość trysnęła mu do samego serca. Mimo piekącego bólu ukrył swe emocje.

Nigdy nie nawiązał do fatalnego wieczoru, formalnie nie kwestionował też wierności małżonki. Awantury i obcięcie budżetu na jej rozrywki tylko eskalowałyby owo „zło”, prowadząc do tragedii. Jak więc mógł powstrzymać swą piękną amazonkę?

Zazdrosny mąż jest znawcą przyrody. Odwołuje się do jej praw również często jak stomatolog... Ukąszony przez grzechotnika nie pędziłby tropem węża, by przez zemstę dobić go szpadlem. To ubytek energii i strata cennego czasu. Wezwałby pogotowie i zabezpieczyłby się na przyszłość.

Stąd za następną bytnością w domu przywiózł żonie tresowanego węża boa. Nakłamał, że poczciwy gad niejako uratował mu życie, wyciągając go na budowie z betoniarki. Należy mu się w zamian ludzka opieka. Przy okazji odstraszy nowych rabusiów...

Czy żona uwierzyła w tę bajkę? Czy rychło spostrzegła, że dusiciel przyczynił się do spadku jej notowań na erotyczno-towarzyskich giełdach Johannesburga?

Tak aluzyjnie rozmawiała przy herbacie z sąsiadem zza płotu całe popołudnie. Przed rozstaniem umówili się na konną przejażdżkę. W stajni czeka tu pięć wierzchowców pełnej krwi angielskiej. Wszystkie przygotowane do skoków i jazdy *cross-country*. Dba o nie dwóch masztalerzy. A więc...!

Przed pójściem spać tylko trochę myśli o urodziwej sąsiadce. Sprawdza skrzynkę e-mailową. Dzięki chłodnej uprzejmości gospodyni (wciąż samotnej) ma w pokoju komputer. Laptop zostawił w CA, jeszcze by go tu okradziono. Dziewięć godzin różnicy i tysiące kilometrów oddalenia potęgują niepokoje. A nuż zamiast SMS-a będzie w skrzynce e-mail ciekawszy niż to tutaj? Lecz mija chyba wieczność, odkąd pani redaktor się odezwała. Może to i dobrze.

Jemu trudno byłoby napisać o wizycie za płotem, o wężu boa, rozszczekanych psach i zadbanych wierzchowcach. Tak w rzeczywistości już mniej jest dla niego pociągająca uroda sąsiadki. Lub nie tak ważne to, że jej mąż obecnie wraca co weekend, ale w tygodniu go nie ma... Po co wierzącemu w Boga

stomatologowi czczo judzić swą wyobraźnię? Tylko pewną feministką za oceanem interesuje się naprawdę.

Z samego rana nerwowo sprawdza pocztę. Te parę słów („Brakuje mi Ciebie...”) czyta wiele razy. Ktoś go wreszcie chce; niestety, na drugim końcu świata. Wdzięczny, może pochopnie, odpisuje: „Na następne safari wybierzemy się razem”.

O swych konnych skokach przez przeszkody opowie jej może za owe pół roku... Zadzwoiłby, ale międzykontynentalna taryfa jest wyższa; plus jeszcze różnica czasu, tamtejsza noc... I w końcu: czy odebrałaby? Nie rozmawiali przez telefon na miejscu, a co dopiero teraz, kiedy dzieli ich ocean. Raczej normalne, że jeśli trochę pogalopuje się w południowoafrykańskiej scenerii, towarzystwo młodej sąsiadki staje się doprawdy przypadkowe.

Zaczęli od padoku za domem, a po rozgrzewce wyjechali na teren ciągnący się wzdłuż pola golfowego. Ścieżka wydeptana setkami kopyt prowadzi pod same wzgórza. Po jej obu stronach mijają potężne domy bogaczy i ich farmy z padokami oraz przeszkodami do trenowania skoków... Postanawia kupić coś takiego w CA na jakiejś licytacji... Zza ogrodzeń ujadają rottweilery lub dobermany. Żywy akcent wśród niekończących się drutów elektrycznych i murów z kamerami. Żadnego dekoracyjnego żywopłotu, który w Beverly Hills tradycyjnie utrudnia podglądanie przez lornetkę gwiazdorskich posesji. W RPA liczy się jawne bezpieczeństwo, a nie estetyka. Szczególnie po zmierzchu.

Ścieżka – na wzór pasa przygranicznego – prowadzi ich przez wiele kilometrów. Wymarzone miejsce do galopu. Tylko raz w ciągu tych paru godzin spotkali obcego jeźdźca. On, gość, jedzie za nią; nie zna terenu, poza tym jako superdżentelmen oddał damie prowadzenie.

Po prawdzie jednak chce obserwować jej jędrne pośladki wbite w angielskie siodło. Cóż mu z bezkresu pustej drogi. Przy anglezowaniu jeźdźczynie, zmuszając ogiera do posuwistości, uroczo się napina. Tym smaczniej, że znowu ma na sobie te obcisłe bryczesy, zaś matka natura obdarzyła ją arcyhojnie.

I tak przejażdżka, oprócz jego ulubionych filozoficznych przemyśleń, inspirowała również do... Nie, nie, on, wytrwały katolik, zachowa normy moralne jeździectwa.

Dwa lśniące zady podobne w ruchach i kształcie... Ten pod nią zawija kity.

Trudno zrozumieć to inaczej niż jako proroctwo zaproszenia do domu po końskich galopach, z obietnicą, że i tym razem wąż boa będzie w szczelnym akwarium. Psy urocza amazonka też na pewno zamknie w garażu. Mąż nie wraca już kolejny weekend, gościa z sąsiedztwa służba zdążyła poznać, a głupie papugi powtarzają tyle męskich imion. Więc bez obaw...

Spocone konie czarni masztalerze odstawili do stajni. Zaś na werandzie ci dwoje wciągnęli się w słowne igraszki niczym Scarlett i Rett w *Przeminęło z wiatrem*. On jest wpatrzony w czarujące przody gospodyni. Tył bryczesów poddawał przecież oględzinom przez kilka ostatnich godzin. Chce cieszyć się jej uśmiechem, wreszcie ją obwąchać. To najważniejsze... Wierzy, że czerwone wino stanie się zielonym światłem. Tylko na ile byłoby moralne takie zbliżenie? Od wielu dni nie dotykał kobiecych piersi, nie całował tajemnych miejsc. Kręci mu się w głowie od samych perspektyw.

Tu, na innym kontynencie, tysiące mil od domu, bez świadków i zobowiązań, przy minimum finansowego wkładu, siedzi przed nim, myśliwym, łania z soczystym zadem do odstrzału. Jeno rozdać nozdrza, narychtować lufę i pif-paf!

A jeśli mąż dowie się czegoś od przekupionej służby? I papugi gotowe pisnąć słowo za dużo... Dodatkowo, cóż począć z problemem samego grzechu niewierności?! Stomatolog od dziecka wierzy w katolicką doktrynę. Na przykład? O, choćby: nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe! Już niemal bijąc się w pierś, tłumaczy sobie, że i Biblię się reinterpreteruje. Wreszcie tu chodzi tylko o romans, nie o ludzką krzywdę. A poza tym... Bóg raczej wybaczy mu zdradę, zaś taka okazja może się nie powtórzyć. To istny dar Losu. Tym bardziej że jego ledwie kilkunastodniowa ukochana jest na innym kontynencie... Podczas gdy owe dylematy moralne wiążą mu ręce, nogi i wszystko inne – testosteron w spodniach grozi powodzią. I czerwone wino, skoro *in vino veritas*, robi swoje!

Jego katolicyzm skłóca w nim dwie sfery: cielesna jest tu kontra (czyżby słabszej?) duchowej. Lecz anioł, na ogół depreczający diabła, musi w nim znów wygrać. Nie dopija wina. Tłumaczy zdziwionej gospodyni, że o tej porze bierze antybiotyki i wraca do swej kwatery za płotem.

Przed zaśnięciem sprawdza pocztę. Przyszły e-maile z kliniki i od znajomych, ale chyba ciągle liczy się ten jeden... Jest! Dużo tu jest o dyskryminacji kobiet w RPA. Na koniec jednak kilka słów: „Śniłeś mi się, lwie...”. Poszedł spać antyzwiązkowo rozmarzony. Jak Rett po poznaniu w bibliotece

Scarlett.

Od rana patrzy przez firankę, jak sąsiadka zza płotu bierze przeszkody na czarnym ogierze. Wygląda jeszcze piękniej... Mówiła mu, że w związku ze swym upiornym snem poprzedniej nocy spodziewa się męża w domu lada chwila... Od rozpoczęcia wygranego projektu nie było go już w domu cztery tygodnie.

Jego firma buduje teraz most w parku narodowym w północnej Namibii. Połączy on dwie osady murzyńskie i ułatwi turystykę zagranicznym uczestnikom safari. Przy moście pracuje pięćdziesięciu ludzi z firmy męża i około setki osób wziętych z lokalnych osad. Ci zatrudniani przez niego mieszkańcy z konglomeracji Johannesburga także przylatują do rodzin w niektóre weekendy.

– W parku na pustkowiu i bezdrożach sawanny, oprócz grozy drapieżnych zwierząt, raczej nic ciekawego się nie zdarza. Czasami tylko któregoś z robotników ukąsi jadowity wąż. Podana surowica ratuje czarnucha i za tydzień wraca on do łopaty – sąsiadka wzrusza ramionami.

Ostatnio znów jeden nie miał szczęścia. Spóźniony, jak to tubylcy, na firmowy busik wracał do wioski rowerem. Tyle że tym razem nie dojechał. Następnego dnia znaleziono nadgryziony rower, a dalej, w głębokiej trawie, szkielet biedaka. Nawet pasek i skórzane buty zostały przeżute. Tubylcy jednogłośnie orzekli, że to był lew.

Klasyczna sytuacja w buszu – człowiek, który zlekceważył niebezpieczeństwo i lew czyhający w ciemności na swą zdobycz. Im ofiara szybciej ucieka, tym bardziej zajadła jest pogoń drapieżcy. Gdyby rowerzysta poskromił nerwy, zatrzymał się i włączył latarkę, przedłużyłby życie o kilkanaście sekund, lub nawet do czasu swego pierwszego kroku.

„Mówi się – tak plotła mu wczoraj przy winie amazonka – że lepiej umierać »z ręki« lwa niż w pyskach hien”. Fakt. Te, histerycznie piszcząc, rozszarpują ofiarę żywcem. Lew najpierw przegryza żyłę jarzmową i uśmierca przez wyssanie dużej porcji krwi. Coś jak koszmerny ubój – też wierny lwiej tradycji.

Niebo za firanką podglądającego wróży dziś ulewę... Nawet psy sąsiadki, zwykle rozhukane, warują dobrowolnie; jedne w garażu, inne na tarasie pod liśćmi filodendronu lub przy zadaszonym wejściu do stajni. Z końskich boksów dolatuje do czujnych uszu stomatologa dźwięk sugerujący, że zwierzęta przestępują z nogi na nogę. Węża boa oczywiście nie słyszy, ale i on zapewne syczy w akwarium.

Służba ze wzmożoną energią pucuje każdy kąt tarasu i trzepie poduszki na leżakach przy basenie. Wszyscy podenerwowani, jakby wyczekiwali gradobicia...

Dużo się też dzieje wewnątrz domu. Dwie czarne kucharki szykują kolację, pokojówki nerwowo ogarniają salony. Czy sypialnię zajmuje się sama pani domu? Dlaczego mąż miałby coś odkryć? Jednak spełnienie odwiecznego pragnienia ludzkości – zbrodni doskonałej – nie jest łatwe i dla żony...

Limuzyna już zajeżdża przed ganek. Ta, która odwozi VIP-ów z lotniska. Zapalone światła, żona w sukni wieczorowej i ubrana na biało służba witają gospodarza. Zaraz usiądą do kolacji, a potem...

Przez lornetkę ogląda ten spektakl ze swej kwatery. Ciekawi go, co to za facet, ten mąż. Widział już tłuszczocha na zdjęciach rozstawionych w salonie i kuchni. Wie, że jest bogaty i pali cygara. W jasnym kapeluszu z czarną wstążką do złudzenia przypomina Ala Capone...

Stomatolog je śniadanie tylko z synami; polską panią domu boli głowa. Zimowy poranek jest bardzo ciepły. Czas na relaks i męską lekturę gazet. W dopuszczalny moralnie sposób, siedząc na tarasie, pozachwyca się skaczącą amazonką; będzie więc kilka pieczeni przy jednym afrykańskim słońcu!

Ona nie wygląda dziś kusząco. Zamiast obcisłych bryczesów i koszuli z apaszką luźny dresik, który ukrywa jej smacznie wypukłe tyły. Obok padoku, bliźniaczo z podglądającym, siedzi zaczytany i też z jakiegoś powodu rozsierdzony mąż z cygarem w fotelu. Czy, oprócz internetowych wiadomości giełdowych, zgłębił tej nocy tyły anglezującej wśród przeszkód małżonki?

Obaj mężczyźni nadśluchują po trochu odzewu jej serca... A może wściekle zazdrosny mąż karzącym mieczem potraktuje żonine ciało po kolacji i jeszcze kilka razy przed śniadaniem? Niedoszły kochanek jednak pluje sobie w brodę: miał pulsujące zielone światło i cofnął się...

Czarny masztalerz właśnie podnosi poprzeczkę. Tylne kopyta wierzchowca strącają ją. Przy drugiej próbie także! Amazonka rezygnuje z ambitnych stu dwudziestu centymetrów; skacze o kilka niżej, bez pudła.

W jej ostatnim podejściu wymieniają spojrzenia, które bezkarnie forsują podwójne ogrodzenie. Ona powtarza serię skoków nad przeszkodami bliżej płotu. Zasłonięty gazetą mąż nie widział nawet tego na sto dziesięć centymetrów. Cichą

owację i uśmiechy śle tylko anonimowy widz... Odmachała mu, przesłała całusa. A mąż? Wreszcie spostrzegł aplauz nieznanego kibica jeździeckiego *show*. Odłożył prasę. Wstał zdenerwowany. Co tu się dzieje? Trudno komuś zabronić patrzenia na swą żonę. Może intruz wpatruje się tak intensywnie w potężną sylwetkę ogiera? Niepewny rogacz wraca do domu.

Nazajutrz podobny spektakl. Tym razem mąż jest w roli trenera, choć najwidoczniej sam nigdy nie siedział w angielskim siodle. Kręci się po padoku, poklepuje konia, ustawia przeszkody z dala od sąsiedniej posesji!

Wypuszcza chmurę psów, niech biegają przy płocie; kto wie, może zniechęcą kolejnego adoratora szczekaniem. Co zresztą się dzieje. W końcu wszyscy rozchodzą się; stomatolog wraca do swego pokoju jakoś rozmarzony. Właściwie nad czym? Prawda, skrzynka internetowa!

Już niemal wymazałby z pamięci romans na drugiej półkuli, ale pamięta skrótowe SMS-y. Swą nokię, po prawdzie, celowo zostawił w Kalifornii. Niech coś nowego, nieskazitelnego moralnie, weźmie górę. Jest tuż przed wykupionym, wcale nie tanio, safari. A tam, na bezludziu sawanny, wśród lwów, lampartów, słoni i reszty z Big Five, nie dojdą doń jałowe w sumie wieści z jego przybranego kraju. Ale zabraknie i skaczącej amazonki... Mimo wszystko zagląda do swej skrzynki. A nuż warto...

Jest. Oprócz *hello* pytanie: „Co w końcu z ruchem kobiet w Afryce Południowej?”. Posmutniał. Tłumaczy sobie, że to odległość i różnica dziewięciu godzin oziębily kontakt; po powrocie znów będzie cudownie. Lepiej niż przed jego wyjazdem do Johannesburga... Zrobi wszystko, by nareszcie któryś jego dłuższy romans promieniował szczęściem i harmonią. Bez znaczenia, że zafascynował się, och, czysto amatorsko, skokami amazonki. Co jednak pomogło mu w wirtualnych rozterkach...

Na lampkę wina po sąsiedzku wpadnie, ot, terapeutycznie, gdy wróci z fotopolowania. Bez ulegania pokusom. Od czego moralność katolicka po rodzicach! Lecz te różne myśli czynią go dziwnie rozdrażnionym. Wraca pytanie-refren: „Czy jednak nie byłoby warto?”. Uspokaja błyskawiczna odpowiedź: „To Bóg chciał, że mąż, zdaje się, przedłuży swój pobyt o kilka dni, a mnie, posłusznego katolika, jutro czeka wyjazd z synami na safari”.

Park Narodowy Krugera, największy w Afryce, zbliżony jest powierzchnią do średnich krajów europejskich. Za pół dnia na tle bramy wjazdowej, podobnie

jak tysiące innych turystów, zrobią sobie we trzech pamiątkowe zdjęcie.

– Za bramą czeka złocista, ciągnąca się aż po horyzont, afrykańska sawanna; setki gatunków roślin, owadów. Dominują w tym pejzażu rozpostarte jak balowy wachlarz akacje. Sawanna to również dom nieskończonej liczby dzikich zwierząt; ich sypialnia, pole bitew i zabaw. Z jadłodajnią o krok od cmentarza – poucza synów. – Tętniąca życiem konglomeracja, która rządzi się klarownymi prawami biologii. Bez frakcji politycznych, kampanii, analiz przedwyborczych...

„No i samic w stylu Woman Power”. To woli przemilczeć przed chłopcami. Za to po powrocie do CA zamiast rozdawać podwyżki, doszkoli tępych pracowników swej kliniki światopoglądowo. Koniecznie. Ech, ci kolorowi Amerykanie, których zatrudnia większość...

Coś jeszcze go zastanawia. Czy te tutaj drapieżne czworonogi rzeczywiście nie potrzebują bliskości z Bogiem? Nie boją się go? Wiadomo, żyją bez dziesięciorga przykazań, bez takiej czy innej katechizacji, czyli pozbawione norm moralnych. Lecz nie do wiary, że takie ich, bezrozumnych, puste życie toczy się w harmonii; zasadniczo wolne od chciwości, oszustwa i zbrodni...

– Usilne próby przestrzegania katolickich reguł nie są stratą czasu – głośno wmawia jednak obu synom.

– To nic, że religia u ludzi jest źródłem tylu krwawych konfliktów?

– Nagrodą życie pozagrobowe...

Za to przemilcza swój zachwyty. Panie Boże, wybacz „dzikusowi”, że na sawannie każde zwierzę zna swe miejsce, wie, co wolno, a czego nie. Warunkiem przetrwania jest tu respektowanie tajemnych praw natury. Już z genami rodziców potomstwo wysysa zwierzęcą „mądrość” życiową!

Tymczasem jego starszy syn dziwnie zaciął się w sobie. Czy młodszy przysypia?!

– Tak jak w wojsku (które, oj, przydałoby się wam obu) w tym królestwie Biologii rządzi hierarchia – znów głośno mentorzy. – Zaś niepodważalnym monarchą jest lew! Najbardziej medialna gwiazda pośród *Big Five*. *Pop star*, który sieje strach wśród reszty i przyciąga tłumy. O nim na safari mówi się i pisze najczęściej...

Jadą szczelnym land-roverem o zasuniętych szybach, a tacy są dla siebie dalecy! To nic. Może chłopcy coś usłyszeli; może zapamiętają na przyszłość?

W tej turystycznej karawanie samochodów każdy miłośnik przyrody chce „ustrzelić” króla sawanny. Optymalnie podczas polowania, ale dobrze i w trakcie spaceru lub chociażby sjesty. To jednak nie takie proste. Poza szczęściem liczy się profesjonalizm. Owszem, ekipy z National Geographic utrwalają kamerą lwie kroki i susy, złowieszcze mrużenie oczu, dniem i nocą, i efekty są fascynujące, ale sama praca śmiertelnie niebezpieczna.

– Któryś japoński turysta – wtrąca ich współpasażer, Szwed – jeden z setek tysięcy małych żółtków, ujrzał tutaj kociaki opodal drogi. Łebki i części tułowia wystawały im ze złocistej trawy. Ledwie fotograf amator wysiadł z samochodu, wychynęła skądś lwica, która powaliła go na ziemię. Fontanna krwi trysnęła mu z szyi. Lwica, stwierdziwszy, że Japończyk dokonał żywota, przeniosła jego ciało w głąb sawanny...

– Głupi turyści kochają takie sensacje – mruczy stomatolog po polsku.

Może synowie wreszcie przestaną kaleczyć język ojczysty! Turystyczny dzień kończy się tu o zmierzchu. Dziesiątki land-roverów kierują się w stronę obozowego „hotelu”.

Jest ogrodzony drutem elektrycznym i pilnowany przez uzbrojonych rangerów. Tu, na prowizorycznym tarasie, podczas kolacji pod gwiazdami dyżurnym tematem jest oczywiście Big Five. I w opowiadaniach wszystkich turystów, rzecz jasna, dominują lwy. Każdy chce pochwalić się tym, co widział na sawannie w trakcie „polowania” z wozu na króla drapieżników. Najlepiej gdy jakaś jego czworonożna ofiara broczyła krwią. Brak finału ze śmiercią w ogóle nudzi słuchaczy...

Pewnego „roboczego” dnia korek nie pozwolił im na żaden ruch do przodu. Kilkadziesiąt samochodów ze stonką turystyczną wprost skleiło się bokiem lub zderzakami. Byłe uplasować się możliwie blisko sceny z lwią rodziną i delektować się na żywo dogorywaniem antylopy. Patrzą i oni... Krew płynąca z nozdrzy jeszcze dymi, a nogi zwierzęcia wierzgają konwulsyjnie.

Wszystko to w asyście tłumu podnieconego ubojem na łonie natury. Oczywiście z wnętrza land-roverów, przez nietłukące się szyby i właściwie samym

okiem kamer. Ktoś uchyla okno, krzyczy na kierowcę blokującego mu pole widzenia:

– Rusz się kawałek, to nie Disneyland!

Skłóceni klienci nie darują swym agencjom opłaconego „śniadania mistrzów”.

Do *rigor mortis* antylopy w paszczach lwów nie doszło, bo dumnie opuściły arenę, zniechęcone przez „stadionowych” kibiców. Podobne ludziom sępy i gromada hien zaraz dokończą dzieła.

Krwawy spektakl, zbliżony do tych odbywających się w Koloseum tysiące lat temu, jest tematem przy kolacji w następnym obozowym „hotelu”. „Ich” podniecony Szwed z dumą wyświecła na swym aparacie ostatnie tchnienie nieszczęsnej łani. Tenże „myśliwy” następnie pokazuje gromadzie skośnookich turystów kadr, na którym tuli grubego jamnika, jak zapewnia, miłość jego życia.

Zdaniem ich przewodnika najlepiej fotografować zwierzęta, gdy idą w stadzie do wodopoju. Stomatolog właśnie to od rana ustala z lokalnym czarnuchem.

Wyjechali z obozu; za ekstra opłatą, ale niech tam, bo solo. Zmierzają w kierunku zachwalanej rzeki. Być może „złowią” na brzegu rodzinę słoni, stado *buffalo* czy jeszcze coś z klasycznej Big Five.

– Jazda po parku narodowym – monologuje ojcowsko chłopcom – jest igraniem ze śmiercią! Boże broń wyjść z wozu za potrzebą czy w poszukiwaniu lepszych ujęć. Wszędzie czyha niebezpieczeństwo. Niby dzikie zwierzęta zabijają tylko, gdy są głodne, ale i w – choćby domniemanym – zagrożeniu. Nigdy dla zabawy czy z zemsty... To ludzka natura.

Jakby wywołał złego ducha... Starszy syn na tylnym siedzeniu od dłuższej chwili się wierci.

– Muszę zrobić siku – nareszcie jęknął.

Skulony wije się z bólu, uciska podbrzusze...

– Weź butelkę po mineralnej – radzi młodszy.

– Coś ty, nie zmieści mi się!

Niespokojny przewodnik zatrzymuje wóz. Dla bezpieczeństwa aż na pustym moście.

– Lej tędy! – ojciec zdenerwowany nieco uchyla drzwi land-rovera.

Ale jego krnąbrny pierworodny już biegnie drewnianym mostem na brzeg rzeki, za postrzępioną akację!

Galopująca arytmia ojcowskiego serca zdaje się zagłuszać nawet warkot silnika. Stomatolog już widzi: a to lwice szarpiące synowi jelita, a to chmurę sępów wydziobujących mu gałki oczne! Oto i na pozór tylko rozleniwione krokodyle i jeszcze niebezpieczniejsze hipopotamy śmiertelnie groźnie prują toń rzeki... Przerażonemu ojcu pozostaje wzdychać do Boga, gdyż klakson czy głośne obsobaczenie młodego samobójcy wywołałoby z lasu całe Big Five...

Uff... Land-rover rusza. Pasażerowie, już w komplecie, jeszcze długą chwilę milczą. Mocna karoseria i hartowane szyby dają im poczucie bezpieczeństwa, podobnie jak niegdyś Janowi Pawłowi II w pancernym papamobilu. Wcześniej, kiedy poruszał się odkrytym samochodem, turecki zamachowiec postrzelił wielbionego przez stomatologa papieża. Dopiero od tego czasu, po jego ozdrowieniu za cudem boskim, obwozi się Jan Paweł II w szklanej kapsule na kołach. Może i jest ona niestosownie podobna do tej używanej w transporcie członków mafii podczas sądowych procesów, lecz ważne jest bezpieczeństwo idola połowy świata, skoro jakiś morderca może wciąż gdzieś czyhać w ukryciu. Tam jako szalenciec-terrorysta, tu jako któreś z Big Five; seria kul lub przegryzione gardło. Wspólnym mianownikiem tryskająca krew.

Ranek jest mglisty i wilgotny po nocnym deszczu. Okazja, żeby samotnie podpatrzeć zwierzynę nad rzeką lub jakimś bajorkiem. Dyskretna pobudka przed świtem (czarnuch trochę spuścił z ceny) i jazda na przełaj sawanną bez turystycznej chmary powinny zaowocować.

Już po godzinie tego polowania z kamerą napotykają samotnego lwa! Ogromny samiec w podeszłym wieku, z majestatycznie rozwianą grzywą wynurzył się z trawy i kroczy naprzeciw land-rovera... Nie przeszkadza mu warkot silnika ani ruch podnieconych turystów za szybą. Ignoruje migający flesz aparatu stomatologa.

Król zwierząt w skupieniu zbliża się jeszcze bardziej do powoli poruszającego się samochodu. Po czym towarzyszy mu, maszerując dostojnie. I tak przez około trzydzieści minut, krok za krokiem przy ich boku; momentami przed wozem, jak lider peletonu.

Są tak blisko potężnego zwierzęcia, że przez otwartą szybę mogliby mu podać butelkę mineralnej, tak jak to się robi podczas wyścigu kolarskiego. Ale tu nie Tour de France, lecz afrykańska sawanna, gdzie największym triumfem jest przeżyć do następnego dnia.

Nawet pokoleniowo obojętni cudom przyrody chłopcy znieruchomieli...

Każdy producent filmów w Animal Planet chciałby kupić nagranie takiego spaceru z lwem. Pomimo szyby „papamobilu” można dostrzec grę jego mięśni, grymasy, a może i zajrzeć mu w paszczę. Wszystko u niego „w domu”!

– Firmowy lew MGM – szepce synom – to komercyjny kicz; rozbawia, nie przeraża...

Ten z uniesioną głową towarzyszy land-roverowi, nie dostrzegając chyba pasących się o pięćdziesiąt stóp dalej antylop. Ani mu w głowie polowanie. Czują to i one, bo spokojnie przeżuwają. Anteny ich uszu nie wysyłają sobie SOS. Lider stada odwołał alarm.

– Syty (także w życiu osobistym) lew bywa przyjaznym sąsiadem – twierdzi niegłupio ich czarny szofer i przewodnik (który zmniejsza mądrym turyście koszty safari). – Emanuje wtedy od takiego lwa rozleniwienie.

Inna sprawa: któremu z grzywaczy w sile wieku chce się przy pełnym żołądku lub reumatyzmie pędzić za gazelą pięćdziesiąt kilometrów na godzinę? „Chyba ciągle mnie” – uśmiecha się w stomatologu niewierny kochanek... Zresztą grupowe polowania, czyli aprowizacja lwiej rodziny – przykłada to do katolickiego porządku – jest tutaj sprawiedliwie domeną samic. Żadnego Woman Power. Samiec ma przyjść do domu na gotowe.

Ale nie ten! Stąpając obok land-rovera na tej pustej sawannie, zdaje się w relacjach męsko-damskich odepchnięty, bezdomny, zdany na samego siebie. Jest podrapany koło ogona, ze szramą pod okiem i cudzą krwią na szyi. Widać, że gdzieś utracił swój harem, a przed sobą, z racji wieku, ma raczej nikłe perspektywy.

Co chwila staje przy krzakach obok większych skał i tryska z gruczołów okołoodbytowych. Feromony znaczą, dość iluzorycznie, jego nowe terytorium. A może naszkicowana z geodezyjną precyzją mapa samczego zapachu narzuci tu nowy porządek? On, chociaż posiwiały, stanie się zwierchnikiem podbitego terenu. Będą mu podlegać zastane tu lwice i dorastające samce. Wywalczy swój dawny status plemienny, skoro nic nie jest przez Boga darowane. Albo pokonany przez silniejszego samca, odegnany przez grono samic i ich dorastających adoratorów, on, jako cierpliwy strateg, ucieknie; spróbuje raz jeszcze zmienić adres. Tu nasz dentysta omal potrząsnął swą oszronioną grzywą.

Czy, podobnie jak inni członkowie męskiego gatunku, lwi nestor zacznie wszystko od początku? A zatem po przeprowadzce zbrojnie zawłaszczy nowy teren po to, by wraz z posłusznym mu nowym dworem i... haremem sprawować władzę i korzystać z jej przywilejów. Te intymne wieczory... Każda zmiana partnerek i dworzan wzmacnia nie tylko lwiego samca... Kosztem są bolesne rany do wylizania, ale jako zwycięzca staje się on bardziej atrakcyjny.

Jednak nawet po pokonaniu przez następcę i wygnaniu przez lwie stado nie musi przegrać. Ile w nim zostało dumy, tyle plemników na dalszy, urodzajny siew. Jeśli nie dane mu królestwo przy delcie tej rzeki, może dopisze mu szczęście przy następnej... Lub na podgórzu sawanny. Szukać i rozglądać się nigdy nie przestanie...

Jeśli zwycięskie cechy każdego samca pochodzą z DNA ojca, czemu nie ma ich ani śladu w obu podrostkach?!

Samochód z nimi trzema jedzie powoli, tuż za lwem. Nasz turysta, biolog z kamerą, strzela przez półotwartą szybę z cyfrówki, niczym paparazzi w gwiazdę filmową. Gdyby ten ich wspólny przejazd land-roverem miał miejsce na hollywoodzkim Sunset Boulevard, osiągnęliby chyba niedługo studia MGM.

Przy „zmianie światła” rozchodzą się. Czy aby w zupełnie różne strony? Stary król zwierząt, chwilowo bez korony, będzie próbnie zaznaczał kolejny zarodowy obszar moczem, a dzielny wyrwizab... swymi romansami? A dwaj synowie tacy... hm... młodzieńczo nieruchawi?

Wszyscy w zgodnym milczeniu kontynuują to samochodowe safari w stronę północnej części Parku Narodowego Krugera.

Jak zawsze pod wieczór muszą zajechać do chronionego obozowiska. Czasami ktoś tam ma dostęp do internetu. On liczy na to. Znow chce dzielić się przez ocean wrażeniami z sawanny; napisać, że tęskni... A może znow przyszedł e-mail od wyzięblej pani redaktor? Bo amazonka nie zna adresu jego poczty. Zresztą ona jest dużo mniej ważna! Wierny kochanek znow usilnie myśli o Kalifornii; o rozdmuchaniu buzujących płomieni tamtej znajomości. A może bardziej konkretnie: o wspólnych podróżach?

Lecz jak tu mieć w planach wielkie wyprawy? Nie byli razem nawet w lokalnym kinie! Za to może razem zdobędą Andy... Cudownie byłoby usłyszeć jej głos z drugiego końca świata. Czy brzmi tak jak przed miesiącem? Co pani redaktor zdziałała w Woman Power? Jak wygląda? Czy tęskni? W swym zwrotnym e-mailu zacząłby od kłamstwa, że nigdy nigdzie nie poleci bez niej.

Lecz w tej części rezerwatu brak internetowego zasięgu. Może uda mu się jutro z obozu oddalonego o dwadzieścia kilometrów na północ stąd? Jedno miłe słówko zza oceanu a ramionami obejmie glob zamiast plecaka. Niestety, ciepłowość to nawet nie para trefl w pokerowych romansach stomatologa.

Z całego safari wrócili na farmę zmordowani, ale z setkami zdjęć. Oby chłopcy także z ogromem pouczających wrażeń. Na łóżku czeka pisemne zaproszenie od amazonki; na wino i tańce w pobliskim klubie. Mąż wróci za dwa tygodnie. Bo ten polskiej gospodyni chyba nigdy... A w *postscriptum* zaproszenia: „Węza szczelnie zamknę. Psy i papugi też”. I numer komórkowy.

Zaś na jego poczcie w komputerze coś zza oceanu. Czy warto było czekać dwa tygodnie? Kilka jej zdjęć z pikiety Woman Power przed magistratem Los Angeles!

Niedopieszczony ciepłem kobiety podróżnik liczy noce do powrotu. Jeszcze dwie afrykańskie doby i dziewięć godzin w półśnie w zimnym fotelu odrzutowca przy tradycyjnym milczeniu obu chłopców.

Po starcie może jeszcze raz ogarnie wzrokiem niezmiernie połącie sawanny, gdzie tysiące dzikich zwierząt wśród złocistych traw gna za horyzont, nieosiągalny nawet dla jumbo jeta.

Króla zwierząt także zapamięta; jako tego, który, choć upokorzony, dumnie maszeruje na podbój nowego terytorium. Wcześniej odsunięty również przez dorosłe samice, teraz gotów jest jednak na nowo polować i... romansować, skoro

nieprzebrane bogactwo sromów wciąż bucha mu w marzeniach feromonami jak kwitnący sad. Za rok, dwa i te niedorośle dojrzeją; przypadną do ziemi, zagarnięte jego czterema łapami.

On, dwunogi, nie patrząc za siebie ani na zły los, właśnie rusza przed siebie! Jakieś przegrane bitwy (ale nigdy wojna!) już jutro wydadzą się mniejsze w fotelu podrywającego się do lotu jumbo jeta. Wreszcie ułomność samczej pamięci całkiem mu zatrze męsko-damskie porażki. Nowe kopulowanie generalnym lekiem! Ważna łacińska zasada: „chwytaj dzień!”. Te minione niech spłyną z biegiem rzeki w paszcze krokodyli i całego Big Five!

Gdy przed odlotem wynosili bagaże do taksówki, spostrzegł, że na bramie sąsiadki umocowano tabliczkę: „Hodowla węży dusicieli”. Była podświetlona. Rozbawił go ten pomysł zazdrosnego męża „w delegacji”. Z tej strony nie zauważył w salonie żywego ducha. Ich sypialnia od strony bramy była niewidoczna...

Sfotografował odrutowany płot w miejscu, gdzie zużytego przez amazonkę kochanka powaliło wysokie napięcie. Obaj chłopcy o uparcie kamiennych twarzach kiedyś go w tym wszystkim zrozumieją...

W samolocie też nie rozmawiali przez całe piętnaście godzin lotu. On myślał o gorącym jacuzzi z feministką. Zbuntowaną, ale do poskromienia. I żeby ją potem całować, delektując się jej aromatem... Nie ominie ani centymetra. Rzecz jasna, przy muzyce. Tym razem będą to dzieła wszystkie Ryszarda Wagnera. Jeden utwór byłby za krótki. Nie w głowie samcowi sen, gdy coś swędzi między udami! Niech no ona tylko wejdzie do orlego gniazda... Nie, to już jaskinia ciągle niepokonanego lwa!

Ze zbiorowiska obłoków za okienkiem jumbo jeta stomatolog gna drapieżną myślą do swej sypialni i „wyspy szczęścia” pod kołdrą. Zadzwoni do pani redaktor tuż po wylądowaniu. Czy odbierze telefon? A może wyśle mu SMS-a z demonstracji Woman Power?

W drzwiach domu wita ich pies. Merda ogonem, lize mu ręce; nie odchodzi ani na krok. Partner w dobrym i złym, ponad miskę karmy. Bo wiadoma feministka... Dostała okresu! Chętnie przyjedzie na kolację i wino na tarasie za parę dni!

W nocy niedoszły kochanek ma kłopoty z zaśnięciem. Pewnie z powodu

męczącej podróży i zmiany pory dnia... Doskwierają mu natrętne myśli i uczucie pieczenia w podbrzuszu. Kręci się i przewraca. Ta kołdra jest wyraźnie za wielka dla jednej osoby!

Na jego portrecie w ramach, który powiesiła nad łóżkiem bodajże przedostatnia kobieta, coś zauważyła! To chyba starszy syn namazał flamastrem: „Lew romansów”...

Czy tamten niechciany samiec wciąż maszeruje sawanną po nowe trofea? Niechaj za horyzontem ustawi się dla niego kolejka lwic gotowych przyjąć jego królewskie nasienie.

Oniegin z pierwszego aktu...

Wszyscy go zawsze pytają: jak ją poznałeś? Dla kolegów w dalszej kolejności jest ważne, ile ona ma lat, a w końcu: jak wygląda?! To, czy ma jakąś hipotekę, jest doprawdy drugoplanowe... Jeśli obiekt jest średni, zbywa ich: jest miła! Jakże to łatwe w przypadku nowo poznanego faceta! Mówi się: przyzwoity człowiek, i już.

Dlatego przed pokazaniem „światu” swej nowej kobiety (tak się składa każda na około pół roku) robi jej przegląd od stóp do głowy. Fatalnie by było, gdyby wzbudziła wyrozumiałe współczucie w szerszym kręgu towarzyskim. Świetnie, jeśli zachwyty i zazdrość. Właśnie dlatego już na pierwszej randce, prócz tego, że w urodzie, bacznie rozeznaje się w osobowości i manierach kandydatki. Dopiero potem bierze ją na krótką wizytę do dalszych znajomych.

Natomiast bez namysłu ściąga stanik przygodnej dziewczynie poznanej na campingu czy wieczorku tanga milonga; tu dla obojga wszystko dozwolone jest od stóp do głów. A rano: *bye, bye, forever!*

Ale tak nie mógł ze swą najnowszą, znaną w całej okolicy panią sędzią H., która na dodatek mieszkała kilka ulic dalej. W ich konserwatywnym miasteczku akademickim (nieliczni tu ciemnoskórzy żyli na obrzeżach) każdy o każdym plotkuje, więc nie ma tu mowy o towarzyskich eksperymentach! Zresztą jeśli cokolwiek źle zostałyby przez panią sędzię odebrane, mogłoby skończyć się to spalaniem mostów. Czego zawsze trochę żal... A w tym przypadku... Skończyłoby się jeszcze, nie daj Bóg, kłopotami przed trybunałem i „mogiłą” dla szykującej mu się tam sprawy... Nie, nie, tu obowiązuje go erotyczny *savoir vivre*, czyli: dmuchaj na zimne!

A więc, po zapoznaniu się, za dzień lub dwa spacer z lodami i – bez dłuższej zwłoki – kolacja w restauracji. W międzyczasie, raz i drugi, średnio drogie kwiaty z bardzo romantycznym liścikiem oraz superczyły telefon na dobranoc.

Tylko wytrwale zaliczając kolejne punkty, może zostać boyfriendem pani sędzi H., która potrafi zatrząść nie tylko swym unikalnym biustem, ale także – dzięki swym urzędowym wpływom – znaczącą częścią Kalifornii.

Chyba sam Bóg, łaskawy dla dobrego katolika, zesłał mu panią sędzię H. do kliniki. I – niezależnie od kłopotów przystojnego stomatologa z prawem – natchnął go czymś po męsku uczciwym, gdy borował średnio atrakcyjnej VIP-ówce ów, jakże mu pomocny w interesach, żąb trzonowy.

Czy zaprzyjaźnione Polonusy uwierzą, że – prócz diamentowego wiertła – coś zawarczało mu i w spodniach, gdy pochylił się nad jamą ustną, hm... niezbyt już młodego „wysokiego trybunału”? Kalifornijska Polonia od lat plotkowała o jego licznych romansach z białymi dziewczynami, lecz równie dużo o jego sprycie przy zakupie kolejnych tanich nieruchomości i urządzaniu ich na zyskowny wynajem.

Niby sam ów megabiust wart był i wielu kolacji w najdroższych lokalach i adekwatnych bukietów kwiatów; a może, kto wie, półkaratowego brylantu na „wieczne okowy”. Lecz, dzięki ci, Panie Boże, za życiową trzeźwość, to wszystko, jeśli już, dopiero przy sporządzeniu intercyzy...

Pani sędzia H., zachwycona profesjonalizmem uroczego stomatologa, zjawia się ponownie w klinice, by wybielić sobie zęby. Wizyta wypada tak obiecująco, że już następnego dnia pacjentka dzwoni z pytaniem, czy może, wracając ze spaceru, zaraz wpaść do jego domu. Szczera radość gospodarza sięga zenitu! Wszak lunch

nieprzygotowany, żadnego deseru! Znalazł jakieś czekoladki, owoce. Szybko nakrył do stołu.

Wysłałby młodszego syna choćby i po kawior, lecz obaj grali w nogę na szkolnym boisku. Może nawet razem z Tomem, jej szesnastoletnim synem. Wszyscy trzej, wprawdzie w różnych klasach, ale z jednego liceum, musieli się znać. Zaś oni, ich rodzice?

Oboje rozwiedzeni, właściwie widzą się trzeci raz w życiu. Jeśli nawet otarli się o siebie w zatłoczonej auli na rozpoczęciu roku szkolnego, on otyłej pani po czterdziestce raczej nie zauważył. Ona, przeciwnie, to arcymęskie sto osiemdziesiąt centymetrów, pełne słowiańskiego wdzięku dostrzegła już dawno. Lecz gdyby nie jej ból dolnego trzonowca, na pewno grubo zapłaciłby w sądzie za przekroczenie prędkości i nie tylko...

Wpadła teraz na krótko, bo jego dom znalazł się „na szlaku” jej odchudzającej marszruty. Stremowana niemal jak podsądna oprócz gospodarza jest ciekawa europejskiego wystroju rozległego domostwa. Rozgląda się z wolna. Przy herbacie boli ją górna siódemka, a więc...

– Znów to borowanie?

– Koniecznie. Będę czekał – stomatolog uśmiecha się półprywatnie...

Wymieniają opinie o nauczycielach szkolnych, plotkują o sąsiadach, ani słowa jednak o tym, co dla obojga najważniejsze. Gdy rozprawia jej o podróżach z synami po starym kontynencie, ją nurtuje jedna myśl: „Czy rozwiedziony gospodarz ma kobietę na stałe?”. Sąsiedzi nie zauważyli, by ktoś sprowadzał się z meblami czy zwierzętami. Żadna też na co dzień nie podjeżdża pod dom. Bywa u niego chyba tylko rodzina. Nieraz z kilkutygodniową wizytą.

On wciąż roztropnie unika konkretów:

– Życie osobiste? Może gdy dorosną obaj synowie. Tak, od rozwodu minęło sześć lat i dwa miesiące; błogosławione... – uśmiecha się czarująco do przesłuchującej go pani sędzi.

Czy ta wnikliwość jest u niej zawodowa? On tak mimo woli ocenia dziury w zębach przy czyimś ziewaniu...

Na głos podziwia, że ona – dłużej niż on samotna – dzielnie wychowuje swego Toma. A przy tym to jej stanowisko w wyższych sądach stanowych. Pozycja budząca zazdrość niejednego prawnika. I, wielki Boże, jej nominacja z rąk samego gubernatora stanu!

Parogodzinna wizyta trwałaby tak w najlepsze, lecz rozhukani po meczu wrócili jego chłopcy.

Tata, żegnając szacownego gościa, jak to Polak, cmoknięciem w dłoń, twardo zdecydował. Z wolna, ale ściągnie majtki pani sędzi. Jest ona w sporej części podniecająca. Resztę sprawi jego libido, męskie ego oraz ciekawość. Byle zachować umiar i... w zasadzie niekłamaną fascynację jej pocziwą osobą.

Ten spory mandat za przekroczenie prędkości nowym porsche nie zrujnowałby go. Ale z drugiej strony... Jedno jej słówko w policji i wyśle co najmniej pięćset dolarów na hospicjum w Gwatemali...

W ostatnich sześciu latach przeżył mniej więcej tuzin romansów, ale nigdy z osobistością ze środowiska prawniczego. Tylko co mu przyjdzie uczynić w przypadku miłosnego znużenia? Skoki w bok od tego czegoś na dłużej to nie on! Jako katolik będzie wierny do końca. I łatwiej wejść w związek z kobietą, niż go rozwiązać. A tutaj mowa o pani sędzi Sarze H. w całym majestacie prawa. Ostatecznie jakimś wyjściem mogłaby być przeprowadzka do innego stanu... Obraca ponure myśli w kosztowny żart.

Od czasu jej ostatniej wizyty on dzwoni parę razy w tygodniu. Ot tak, by rzucić serdeczne *hello*. Aż pani sędzia sama zapowiedziała się ponownie. I to nie w drodze powrotnej ze spaceru, a na kawę. I chyba na flirt...

W opiętej spódnicy, zakiecie i koszuli zapiętej pod brodę wydaje się agentką oferującą polisę na życie. Jej słodko-duszone perfumy wypełniają cały dom. Zielona herbata i bossa nova budują nastrój. Bez chłopców, czyli bez ustawicznego techno i muzyki z ich wciąż dzwoniących komórek. Będzie idealnie?

W swych (najuczciwszych przecież) marzeniach już rozbiera ją na obitej skórą bizona kozetce. Marzeniach na dziś i chyba co najmniej na rok... Lepiej gdy przedtem są one wyszeptane. Zna na pamięć głód serca samotnych kobiet. Postawiłby zakład o sztabki złota ze swej sekretnej pakamery, że marzenia pani sędzi są właśnie takie.

Od sześciu lat i dwóch miesięcy, absolutnie nie z jego winy, zmieniają mu się tylko imiona, wzrost i waga partnerek. Lecz to jadłospis z tej samej sieci przydrożnych restauracji. Pomyśleć, że wszystkie jego kilkanaście pań zaczynało od tej kozetki *mid-century* przy iluminowanym kominku. Czasami inny język, inne perfumy, ale wszystkie jakby uczęszczały do tej samej szkoły życia, wykuwały swe marzenia z tego samego kamienia.

– Liczy się wierność. Uważam, że mężczyzna musi zadeklarować swe intencje i ich dotrzymać – niemalże ogłosiła wyrok Sara. Po czym dodała: – Ma on być czysty jak woda.

„Podsądnego” na kozetce dzielą teraz od „trybunału” centymetry; to nic, że ich dusze są w tym czasie kilometry od siebie.

– Czysta woda to martwy destylat – odmruknął.

Czy to ją tak przekornie rozgrzało? Już czuje duszące perfumy na swej twarzy. Więc jego ręce wędrują pod spódnicą, rozpychają się pomiędzy zbyt krągłymi udami... Te jej, upierścienione, zmagają się z (dobry Bóg czuwa!) zaciętym suwakiem w rozporku spodni...

– Saro... jest pora lunchu. Chłopcy zaraz wrócą z boiska... – zerka kątem oka na zegarek, upewniając się przy okazji, czy pies nie zrywa się witać domowników. Wolałyby w rodzinnym gnieździe nie odkrywać skarbów intymności drogiego gościa. Wkrótce jest też mecz w telewizji...

Wszak i pani sędzia zauważa, że to zły czas na ściąganie jego bokserek. Proponuje mu po lunchu rewizytę u niej, kilka ulic dalej. Jej syn ten weekend spędza razem z ojcem w San Diego.

– Świetny pomysł!

Prócz jej uzębienia do śmierci zapamięta to wysokie łoże z dziwnym podgłówkiem. I zbrojony fiszbinami stanik, który ledwie dźwigał jej monstrualnie wielkie piersi. Spiesznie go zdejmując, właścicielka z nieskrywaną dumą podkreśliła, że to żaden silikon! Niestety, powodują ból kręgow szyjnych. Stąd to ortopedyczne wyprofilowanie łóżka...

Nazajutrz odbiera w klinice listowną podziękę za miłe chwile. W dopisku: „Kiedy się znów zobaczymy?”. Ona, wydaje się, dopasowywała każdą sylabę tych

kilku zdań, by go uwieść do reszty. On zerknął na kartkę, po czym zaraz rzucił ją do kosza.

Czy Halloween u przyjaciół to dobra okazja na wspólne *entrée*? Wśród jego znajomych od tygodni pytano: kiedy on ją wreszcie pokaże? To jakby najnowsza fotka z jego erotycznej podróży dookoła świata. Czy aby na pewno pod każdym względem udana? Wahał się. Lecz Sarze najwidoczniej zależało, żeby na obcym terenie zostawić swój „zapach”. Jemu chyba ciągle szło o uchylone drzwi, by go ewentualnie wywietrzyć.

Sędzia Sara na pewno polubi się z polską gospodynią i resztą towarzystwa. Wszyscy tam zauważą jej inteligencję, wdzięk, no i pozycję. Jeżeli chodzi o kostiumy, w jakich wystąpią na przyjęciu, to pomysł Sary był „na wyciągnięcie ręki”.

Po pracy włożyła do torby strój więźniarki, a łańcuch z kajdankami zawinęła w tożę sędziowską. On wystąpi jako dostojny stróż prawa w garniturze Zeligi, a ona, skuta, w pomarańczowym drelichu ze znakami więziennymi, jako wystraszona skazana przed ogłoszeniem wyroku.

Już od wejścia zostają zauważeni przez bawiących się.

– Witaj stary, kopę lat – ktoś biegnie z wyciągniętą ręką.

Inni, zachwyceni kostiumami, klepią go po plecach i – wiedząc, że to jedyna okazja – podszczypują „wysoki sąd”. Reszta zwariowanych przebierańców to pirat, rzeźnik czy zorro. Jest też zakonnica i kopciuszek, ale żadnej morderczynie w łańcuchach, która... eskortuje rozbawionego sędziego!

Ktoś z gości sprawdza tożę zaciekawiony, czy to aby nie podróbka, ktoś maca kajdanki, jeszcze inni drelich – czy rzeczywiście prosto z kryminału? Panie, dociekliwsze niż koledzy, ostro wzięły na kiel zdekonspirowaną już na progu więźniarkę. Ich złośliwe reakcje trafiają do „pana sędziego”, nie tylko pocztą pantoflową.

Na przykład: „Słuchaj kotku, jakbyś swej nowej znajomej chciał poprawić *image*, to mam dobrego fryzjera”. Lub inna koleżanka, na ucho „sędziemu”: „Z taką figurą chodzi się w pelerynie!”. A któraś: „Jakich ona używa perfum! Wyślij ją do Prady, tam ją też ubiorą!”.

Faceci są łaskawsi. Tylko co drugi zadaje pytania o wiek lub rzuca coś w stylu: skąd ją wyrwałś? Gospodarz Halloween, już mocno podпиты, roześmiał się:

– Dziś będziesz miał ostre dymancko w tych kajdanach. I to bez pójścia do pudła.

Było sympatycznie, lecz około północy wymknęli się. Po drodze do jej domu sprawdza, czy u niego wszystko pogaszone i chłopcy śpią. Teraz i tacie należy się coś więcej niż tylko klinika i rodzicielstwo.

Sypialnia Sary wygląda jak z planu filmowego. Poduszki rozłożone, kołdra dyskretnie uchylona. Dwie lampki wina czekają na kochanków. Już zajęli swe miejsca na planie. Reżyserski głos obwieszcza: „Prosimy o ciszę. Akcja!”.

A po kwadransie ten sam głos: „Oj, bohater zasypia! Powtarzamy! Inna pozycja i bardziej z sercem! Kamera!”. Zaś po chwili: „To było trochę za szybko. Jeszcze raz! Gotowi?”.

Przy kolejnym dublu niejeden aktor zbuntowałby się, pozalił owej sile wyższej, że i w łóżku obowiązuje kodeks pracy; tym bardziej gdy pod zatrudnionym leży pani sędzia trybunału stanowego. Biedak groziłby związkami zawodowymi... Ale nigdy on!

Nad ranem budzi ich telefon:

– Tatusiu, gdzie jesteś?

Wyprysnął z łóżka jak z procy. Zostawił Sarze całusa, szepnął, że zadzwoni i pędem do porsche... W domu chłopcy są już po śniadaniu i gotowi do szkoły. Teraz umordowanego kochanka czeka w klinice niejedna jama ustna do obrobienia...

Wkrótce przychodzą jej tradycyjne podziękowania za uroczce Halloween. No i za to wszystko po północy... Liścik jest z płatkami orchidei, jego ulubionej. On, dzięki Bogu, nie wysłał jej kosztownego bukietu róż, bo... obowiązuje zakaz takich przesyłek do sądów!

Sara, jak się okazało, rzadko bywała u siebie w domu. Teraz on często gości u niej na herbacie... Wtedy, po rychłym wygaszeniu świateł w salonie, widać z zewnątrz, że ani w bibliotece, ani w kuchni również nie ma nikogo. Za to w

sypialni?

Tu, przy różowym świetle, słycać jęki w duecie i wzdychanie solo, cichy okrzyk i długie milczenie. Tak przez pół godziny lub nawet – rzadziej – przez godzinę. Potem zgrzyt spiesnie otwieranych drzwi wejściowych i warkot silnika zapalanego na podjeździe. Powolny odjazd porsche i jego czułe gesty z za kierownicy. Dwa, trzy razy w tygodniu rzetelna powtórka. Gdy trafia się ważny mecz w Lidze Mistrzów, on, obiecując „trybunałowi”, że nadrobi zaległości, „bierze wolne”.

Bywa, że podczas wieczornej herbaty do salonu wjeżdżają kopie akt sądowych. Jutrzejsza rozprawa to obowiązek zawodowy, a kochanek to potrzeba duchowo-cieleśna. Co bierze górę, zależy także od temperatury w jego spodniach...

Czasami analiza materiału na wokandę tak go zainteresuje, że idą z salonu do sypialni obok przez godzinę albo dwie. Właściwie chętniej słyca o odszkodowaniach dla ofiar niż o romantycznych marzeniach Sary na temat wspólnej przyszłości. Kiedy w jakiejś zawilej sprawie, po zrelacjonowaniu mu wszystkich faktów, pyta go o zdanie, nie bez dumy czuje się ławą przysięgłych przed wydaniem wyroku.

– Czy przyznałbyś, najdroższy, trzy miliony dolarów uczennicy z siódmej klasy za potrącenie jej przez samochód?

Wysłycał wszystkiego z autentyczną uwagą. Droga w remoncie, bez żadnych znaków i zakazów. Przedmieście. Chodnik niedokończony. Uczennice szły poboczem, zaś kierowca, omijając dziurę w jezdni, ich nie zauważył! Dziewczynka leżała w szpitalu dwa miesiące, a dziś jeździ na wózku inwalidzkim. Koszt leczenia dalece przewyższył ubezpieczeniową polisę.

– Czy, jako ojciec, oskarżałbyś miejski wydział dróg, czy raczej sam, bezradny, pielęgnowałbyś córkę? – wyraźnie prowokowała go Sara.

– Rozumiem tragedię ludzką... Ale taka kwota od władz miejskich uszczupla stanowy budżet. A to krzywdzi nas wszystkich... – zawahał się.

– Uważasz, najdroższy, że te trzy miliony to na przykład wybudowany dom starców czy ośrodek dla trudnej młodzieży? I któryś nastolatek z tak zwanych dołów skończyłby na uniwersytecie, a nie w poprawczaku lub w kryminale?

– Tak właśnie uważam! – posłusznie zsuwał bokserki. – I pomniejszenie odszkodowania warunkowałbym dobrem ogółu. Czemu nie sprzyjałoby zbytnie wzbogacenie się ofiary, pomijając już naganną chciwość adwokatów. To i to kosztem egzystencji mieszkańców.

– Ciągłe naiwne rozumowanie aktywisty z epoki tego waszego socjalizmu! – Sara roześmiała się. – W amerykańskiej mentalności, ba, co ważniejsze, w wykładni konstytucji, ponad wszystkim jest dobro jednostki! I jej mam bronić w sądzie. A w ogóle chodźmy do łóżka. Przede mną ciężki dzień, bo to początek sprawy. Memu ciału też się coś konstytucyjnie należy, kochany... Zresztą miną lata, nim dziewczynka otrzyma pierwszego dolara. Adwokaci władz miejskich będą składać odwołania.

– Czyli nowe koszty sądowe i dalsze setki tysięcy dolarów dla obrońców?

– A ty leczysz zęby za darmo?

Miał sto kontrargumentów, lecz to rzeczywiście nie miały być wieczorowe „studia prawnicze”. Raczej siłownia w sypialni, gdzie najtęższe ciało wciąż go nie pokona głupim paragrafem! Wie, że choćby był umęczony, czeka go tu zdrowy sen. A potem własne łóżko, bez koszmarów o skandalicznej etyce adwokackiej. Tu nadzieja, że osobiście uniknie pazerności prawnika, kto wie, może przekraczającej wysokość ogromnego mandatu... Zresztą generalnie brzydzi go owe medialno-konstytucyjne dobro jednostki w sądach. Sławny mecenas za gigantyczne honorarium potrafi dowieść naiwnej często ławie przysięgłych, że pomyłkowe wyrwanie zdrowych zębów to szczęście pacjenta!

Tego ranka kochankowie nie mają czasu na wspólne śniadanie. Ona wcześniej wychodzi z domu, bo prezes sądu zarządził podpisywanie listy na kwadrans przed rozprawą. Otóż do niedawna jeden spóźnialski kolega zlecał przez telefon sekretarce, by wyłączała korki w sieci i zarazem... komputery. Wszyscy czekali z rozprawą (kiedyś całą godzinę), a po „usunięciu awarii” spóźnialski wchodził na dzwonek, jak trzeba. W końcu woźny przyłapał sekretarkę. Ją zwolniono, a współwinny sędzia, który wyparł się także ich romansu, dostał raptem naganę.

On, poza łóżkiem, woli chyba spędzać czas sam lub z synami. No, przynajmniej kiedy są z tym wszystkim swym do wytrzymania... Kobieta wymaga uwagi, nie rozumie futbolu, a tańszy camping jest dla niej zbyt brudny. Czytać też

trudno razem. Gdyby nie... he, he... obowiązkowo-służbowy seks z Sarą, jego ideałem byłyby męskie spotkania ze starymi kumplami.

Dalekie podróże to również coś bardzo intymnego. Obcojęzyczne środowisko jest miłsze solo niż z – choćby najpiękniejszym – piątym kołem u wozu. Wtedy, zamiast ogromu spełniających się marzeń, pozostaje zdawkowa gadanina. Samemu łatwiej też ułoić coś atrakcyjnego z „lepszej”, trzymiliardowej puli... Facet zdany w podróży na siebie, kierując się instynktem, a czasem sercem, najmocniej odczuwa wrzącą w żyłach krew.

Do Arizony mógłby pojechać z Sarą, to tylko pięć godzin. Wypełniłaby je intelektualna konwersacja? Mają przecież jakieś tematy... Lecz mimo weekendu Sara przewodniczy ważnej komisji, a on musi natychmiast odebrać kupioną na Ebayu rzeźbę. Jej właściciel leci do Europy, zaś tani Zuniga z lat sześćdziesiątych to rarytas. Trochę wprosił się młodszy syn. Najtrudniejszy... Ale może dobrze.

W drodze powrotnej odbyli spacer po pustyni; sfotografował zachód słońca nad Grand Canyonem. Nie obeszło się bez telefonu od Sary:

– Czy wszystko OK...?

– Tak, kochana, Zuniga w bagażniku, a po grzechotnikach tylko ślady wśród czerwonych skał i nic nigdzie nie syczy.

– Mów, co to za facet. Do końca nie wierzyłam. Cała ta transakcja wydała mi się zbyt kusząca.

– Jak zwykle przesadzasz.

– Już dzwoniłam do kolegi, szefa policji, czy właściciel rzeźby jest w aktach FBI. Często wabi się kolekcjonerów taką okazją i dobrze, jeśli wracają goli!

– Droga, wzruszasz mnie, ale dom wyglądał nienagannie, a forszę miałem w skarpetce.

– Masz szczęście, lecz zbyt ufasz ludziom. To wszystko sępy, które czyhają na łatwą zdobycz. Wciąż się z tym spotykam.

– Jeszcze raz dziękuję, kochana Saro, i do miłego zobaczenia. Wytargowana rzeźba jeszcze lepsza niż w komputerze, sama zobaczysz.

– Czy właściciel dał ci certyfikat?

– Oczywiście. To rozwodzący się antykwariusz, który likwiduje część zasobów.

Sara tak bardzo lubi łososia, więc go dla niej upiekł. Zunigę opijali cabernet. Po kolacji, kiedy wspólnie bujają się w hamaku, ona szepce:

– Czy ja ciebie podniecam?

Gdy w chwili ciszy zatrzeszczały sznury, usłyszał:

– A może przeszkadza ci moja nadwaga?

– Nie mów tak – niemal zadławił się ciężkim powietrzem.

A może to kołysanie hamaka przyprawiło go o zawrót głowy?

– Zobaczysz kochany, schudnę dla ciebie.

– Najdroższa! Jesteś i tak atrakcyjna... Czyżbym był zły w łóżku, że narzekasz?

– Ot, typowy samiec. Prócz waginy kobieta ma duszę!

– Jestem ci wierny! A termometrem bliskości kochanków – tęsknota...

– Lecz czy kiedykolwiek tęsknisz do mnie? Choćby ostatnio, gdy nie miałeś czasu całe dwa dni! Wiem, że lubisz dyskutować ze mną o ofiarach sądownictwa i podziwiam twoją chłonność umysłu, ale kobieta prócz dotyku pragnie czułych słów; chce męskiej obecności na zawsze! A ty po „warsztatach prawnych” szybko ściągasz mi majtki w sypialni i za pół godziny słyszę odjeżdżający samochód.

– Mam synów, droga moja, zrozum to! Co jeszcze chciałabyś, żebym uczynił?

– Bądź bardziej obecny w moim życiu. I w końcu zadeklaruj swe intencje. Minął rok i trzy miesiące naszego związku. Dziwnie tego tematu unikasz... Czego w ogóle szukasz w kobiecie?

Wściekły chętnie krzyknąłby: „Nie mamusinej nadopiekuńczości!”. Ale wygodniej mu kołysać jej hamak. Zna ten refren na porysowanej płycie. Wyłączyć ją, to dolać oliwy do ognia babskich rozterek. Lecz jak długo jeszcze da się słuchać o nie dość kochającym sercu? Niechby ten hamak runął zaraz na dno Grand Canyonu! To oczywiście żart! Tylko klinika wolna jest od takich zrzędzeń; no i problemów z synami...

Lata temu, przed rozwodem, zostawał w klinice długo po godzinach; byle nie wracać do polskiej żony. Rozwinął się zawodowo i... wzbogacił!

Jednak wcale nie ze sprytnych upustów na plombach i koronkach utłukł pierwszy milion, a przez analizy rynku z ołówkiem, kartką, no i komputerem. Ile za, a ile przeciw. Niemal jak pod mikroskopem. Tak przy kupnie apartamentowca, jak i kolejnego jednorodzinnego domu. Ale bez ryzyka i spekulacji.

Każdej z nabytych nieruchomości wpierw przyglądał się z daleka przez wiele dni, o różnych porach. Rano, gdy ludzie jadą do pracy, oraz potem, gdy wewnątrz już się świeci i widać gospodarzy. Potrafił ich obserwować przez żywopłot, zagadywał sąsiadów. Aż z analizy rynku, zestawienia namacalnych danych z komputerowymi, wychodziła, jak w każdym rodzaju handlu, naga prawda... Ta strategia uchroniła go przed paru wpadkami. A niejednen pospieszny inwestor w ostatnich latach już się nie podniósł...

Stomatolog jest święcie przekonany, że – czy to w miłości, czy w biznesie – prócz szczęścia ratuje głęboka znajomość tematu. Oraz, co właśnie unaoczniała jego ostatnia transakcja, mocne „zderzaki”... Czyli sędzia Sara H.! Dzięki Bogu Najwyższemu, on ciągle może na nią liczyć. Oczywiście nade wszystko istotny jest palec Opatrzności, który nakazuje mu, niezmiennie katolikowi... hm... dmuchać na zimne. Choć ostatnim razem, mimo wszystko, omal nie powinęła mu się noga. A w tym przypadku proces sądowy równałby się strasznym pieniądzom i... jednak nerwom. Jednym słowem: długim starciem z byłą właścicielką i władzami miejskimi.

Transakcja wydawała mu się taka bezpieczna. Jednopiętrowy domek z zadrzewionym ogródkiem, którego wysoki żywopłot dzielił od sąsiedniej posesji. Był od niedawna wystawiony na sprzedaż. Bez udziału agentów, z pierwszej ręki, za cenę niższą niż rynkowa. Właścicielkę, Klaudię K., była burmistrz Beverly Hills i zarazem panią mecenas, miał poznać na lunchu skrzykniętym przez Bernarda.

A ten, również adwokat, przy tym inwestor i znajomy z dalszego sąsiedztwa, od lat leczył u niego zęby. Niejako w zamian, za duży upust na mostek i tym podobne, pomagał mu w prawnych kłopotach z lokatorami. Tym razem Bernard wpadł do kliniki rzekomo na wybielanie. Ale raczej z rewelacyjną wieścią o domku!

Zaplanowali omówienie szykującej się transakcji podczas spotkania we troje w najlepszej restauracji.

Podczas lunchu chwytają się za ręce, z inicjatywy Bernarda. Na stole steki wołowe i coca-cola. Również ich dusze splata łańcuch wiary. W ciszy modlą się za tę biznesową transakcję.

– Boże pobłogosław... szepce Bernard i dziękuje mu za posiłek.

„Ten śmieszny »born-again« – stomatolog śmiał się w duchu – niby-kaznodzieja z duszy i serca, pewnie ewangelizuje też ludzi przed pasami ulicznymi, by szli do właściwego nieba”.

Panią burmistrz Klaudię K., aktualnie w dołku finansowym, ratowała przed komornikiem sprzedaż wspomnianego domku. Na szybko, z pierwszej ręki, za stosunkowo niedużą kwotę: dwustu czterdziestu tysięcy dolarów. Lokator mieszka w nim od trzech lat i nie planuje wyprowadzki. Opłaca w terminie czynsz i elektryczność. Czysta okazja!

Wieczorem stomatolog, jako ewentualny nabywca, pojechał pod wskazany adres, by spróbować doszukać się ukrytych wad poprzez obserwację z ulicy. U lokatora okna czyste, ogródek w miarę ogarnięty. Istna bombonierka!

W domu zestawiał to z danymi hipotecznymi, przejrzał swe analizy komputerowe i, właściwie zdecydowany, zadzwonił do Sary. Ta zaś go studzi!

– W sądzie mówi się o twym Bernardzie, że miesza ewangelię z bezprawiem. Poczekaj, aż sprawdzę jego CV.

Lecz nazajutrz na kartce od Bernarda mało raczej ostudzony stomatolog przeczytał: „Mecenas Klaudia, moja koleżanka z wydziału prawa, śmiała się, że gdyby była młodsza, rzuciłaby się na ciebie. Szuka partnera do kilku inwestycji. *A propos*, ten jej domek za taką cenę to naprawdę okazja”. Na końcu dopisek: „Niechaj Bóg błogosławi każdy twój projekt. Do zobaczenia za kilka dni.

Bernard”.

Nie minął dzień, a miał klucze w ręku. Zasadniczo niewiele miał zamiar tam zmieniać. Lokator będzie ten sam. Inny właściciel w rejestrach wieczystych. W nowej umowie najmu to samo komorne, plus on w dalszym ciągu pozostanie wolny od płatności za świadczenia wodno-kanalizacyjne.

I tak do jego „stajni” dołączyła kolejna pozycja. Tylko celebrować *good deal*. W nadchodzący weekend planował wyskoczyć z Sarą do San Francisco. Dość kręcenia się na trasie sąd–klinika i od jej sypialni do jego ogrodu.

Lecz zamiast pakować walizkę, cały wieczór, dusząc się od smrodu, doglądał hydraulików w swej nowo nabytej „bombonierce”! Otóż po imprezie u sąsiadów zatkała się główna rura odpływowa, biegnąca pod żywopłotem dzielącym obie posesje, i lokatorowi stomatologa wybiło cudze kupy w łazience. Za co, jak się okazało, Bogu Najwyższemu chwała! Gdyż przysłowiowy trup w porę wypadł z szafy!

Pogotowie miejskie rzecz bezbłędnie zdiagnozowało. Oba domy mają wspólną kanalizację. Łączy je, na dobre i na złe, jedna dwudziestokilkucentymetrowa rura. Było to świetne, że duży dom pokrywał rachunki tego małego za szambo i wodę, dopóki „kupy” fundatora nie stały się lokatorowi solą w oku. Gejzer fekaliiów w „bombonierce” obnażył świeżemu nabywcy nieuczciwość całej transakcji!

In vino veritas – mawiali starożytni Rzymianie. W tym przypadku gówno – prawda.

Pani mecenas Klaudia H., eksburmistrz Beverly Hills, nadal pozostawała właścicielką sąsiedniej posesji i miała w tym dużym domu swych lokatorów. Według danych z hipoteki to była zawsze jedna własność o dwóch budynkach! Mały był niejako służbówką, którą umownie odgradzał ów żywopłot.

Z czasem mecenas Klaudia załatwiła legalny podział na dwie parcele z niezależnymi adresami. Podłączono drugi licznik, telefon i kablówkę; wszystko, prócz osobnych ścieków i dopływu wody. Obrzydliwie chciwa pani burmistrz piętnaście lat płaciła za wodę i szambo tamtego lokatora. Wszystko, byle się nie wykosztować na nową kanalizację. Stąd sprzedaż bez agenta i rzeczoznawców. Lecz również gówno w naczyniach połączonych, prawem fizyki, wychodzi na wierzch.

Sara kipiała. Pani mecenas, filar prawa i sprawiedliwości, bezczelnie oszukała stomatologa w notarialnym kontrakcie.

– Jej obowiązkiem było ci ujawnić ten brak kanalizacji. Swoją drogą, zamiast się cieszyć z niskiej ceny, powinieneś być zapytać, dlaczego twój lokator nie płaci za wodę i szambo.

Podczas gdy Sara rzucała paragrafami cywilnego kodeksu, jego do żywego bolały wyrzucone pieniądze. Wiedział już, że rozdzielanie całego systemu to koszt plus minus dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

W nosie ma brak etyki adwokackiej, także... hm... przyjaciela Bernarda! Sztuką jest teraz znalezienie sposobu, aby wydostać się z tych sidła i... kto wie... może zarobienie co nieco przy odwróceniu transakcji. A wyrwanie czegoś z nadwyżką z paszczy dwojga adwokatów liczy się wielokrotnie.

Na spotkanie z panią mecenas Klaudią H. udał się w towarzystwie znanej jej profesjonalnie sędzi Sary H. Był przekonany, że Bernard szepnął oszustce słówko o ich związku intymnym. Herbatka w kawiarni trwała kwadrans. Oszukany stomatolog prosił o zwrot dwustu czterdziestu tysięcy dolarów plus – oczywiście – kosztów manipulacyjnych! Sara punktowała to paragrafami i groźbą pozwu w izbie adwokackiej.

Rozstali się z panią mecenas tak, jak chciał, polubownie. Przy prywatnej satysfakcji Sary z umoralnienia koleżanki z branży i ku uciesze stomatologa, który – mimo zawyżenia przezeń wartości strat i odsetek – zyskał wprawdzie niewiele, ale, co najważniejsze, znów miał na koncie do przodu!

Podczas kolejnego lunchu z nielojalnym Bernardem przemilczał sprawę tej skrajnie krzywdzącej go transakcji. Po co złość czy żal? On ma portfel grubszy o dodatkowe siedem tysięcy dolarów, Bernard chyba żadnych wyrzutów sumienia – ale to jego sprawa.

Tak czy tak ów efektowny pokaz bez Sary byłby niemożliwy! Jej urzędowa pozycja obaliła przeciwnika. Dziękował jej z widmem wspólnego łóżka przed oczami...

Przyjaciele kiwali głowami: jemu to się układa! Lub: ech, mieć taką! Aż jednego razu zażartował na to do któregoś z nich:

– Odstąpię ci ją! Intelkt noblisty, opiekuńcza, miła... Spełnienie marzeń! Ja lubię mieszkankę alkaloidów botanicznych...

José, przyjaciel numer jeden, chyba zrozumiał to jego życiowe przesłanie.

– ...należy dużo porównywać, by znaleźć łańcuch węglowodanów pasujący jedynie do ciebie. Niech komponenty z grupy CHO połączą się, a masz wymarzony *elixir d'amour*. A że wszystko i tak szybko wietrzeje...

Dla José brzmiało to jak laboratoryjna chemia, nie miłość, którą jak nic łatwiej odczuwać, niż rozumieć, a już na pewno trudno wytłumaczyć.

„Ale ciągle szukaj! – kontynuował w duchu stomatolog. – Degustuj różne miłości jak wina, nalewki lub... nieruchomości z za płotu. Z czasem znajdziesz tę właściwą!”

Wreszcie jadą z Sarą do San Francisco! Dla rozmarzonej pani sędzi to okazja, by kochanek oświadczył się jej na moście Golden Gate? Jest niepomna, że tam mężczyźni również odbierają sobie życie...

Dla niego te trzy dni to wspólne wizyty w operze, muzeach, wyskok na degustację wina do pobliskiej Sonomy i fotografowanie sklepikarzy w Chinatown. A noc? Jakoś przelecą... W hotelowym pokoju z widokiem na pociemniały ocean może w końcu zarazi się (bez namacalnej pamięci o kubaturze pani sędzi) tym cierpliwym ogniem, który idzie z jej oczu? Rano, gdy będzie jeszcze spała, on, wśród skwiru mew i bijących fal, na bezkresnej plaży odnajdzie ukojenie i cudowny *elixir d'amour* z własnych marzeń. A już w hotelu rozżarzy się po męsku... Niechby i tylko zaiskrzył – doceni wtedy uboczne wartości zbyt aktywnej w łóżku Sary. Lecz po całodniowym zwiedzaniu stomatologa na ogół bolą nogi, a reszta ciała chce się wyspać...

Przypadkiem jeden z gości hotelowych musiał nagle wrócić do Hong Kongu, więc odstąpił im dwa bilety na *Eugeniusza Oniegina* w doborowej obsadzie.

– Czy w imię honoru strzelałbyś się z przyjacielem jak Leński? – zapytała Sara po pierwszym akcie.

– Ja szaleńcem, który docieka prawdy, kto, kiedy i dlaczego zatańczył z moją narzeczoną!? Lub nawet grzebał jej pod spódnicą?

– Jesteś cyniczny!

Szczerze sądził, że ci dwaj, pojedynkując się, wywołali do tablicy śmierć, by dowieść sobie i światu, że coś, co za dzień lub pół roku mija, jest warte utraty życia.

– Po nieuchronnym ślubie z Olgą, moja kochana, biedny Leński zapomniałby kompletnie, o co mu szło. W naszym przypadku na razie to ja piszę liściki miłosne jak Tatiana, a ty, Saro, niczym Oniegin grzecznościowo mi oddzwaniaasz – łągał w panicznej ucieczce przed realnymi „kajdanami”. – W trzecim akcie, droga moja, po latach, zamężna Tatiana odtrąci Oniegina. – Uśmiechnął się. – Choć będzie ją błagał o trochę miłości na kolanach...

Spoglądając na międzynarodową publiczność zgromadzoną w operze, stomatolog zamyśla się. Czy Oniegin przegapił swą szansę na szczęście? Wtedy, przed laty, po prostu nie kochał Tatiany! Miał ją na wyciągnięcie ręki, lecz był zaspokojony erotycznie... ciągiem półrocznych romansów. Jednak biorąc Tatianę za żonę, nie musiałby już uganiać się po świecie za nową zwierzyną. Menu na całe życie, łącznie z deserem, miałyby co dzień na tacy! Nie, nie! Jego, stomatologa, znów wolnego ptaka, erotyczny komfort małżeństwa – podobnie jak w pierwszym akcie Oniegina – już nie skusi. On wciąż tęskni do swych (co z tego, że trudno uchwytnych!) marzeń. Może w końcu je przeżyje. Samczy zew nasienia, a może abstrakcyjny głód duszy, ciągle go gna. Oby po zwycięstwo!

Wystawa kalifornijskich impresjonistów porwała go! Zwyczajują na aukcjach! Ma ich trochę w swej domowej kolekcji, ale tutaj płótna od początku XX wieku do późnych lat trzydziestych nie są do kupienia. Szkoda.

– Cudowne to ich wybrzeże Pacyfiku, prawda, Saro? Prywatnie wolę landszafty pustynne. Western z Johnem Wayne'em, Indianie na mustangach – to moja wizja Ameryki. Ciągle oczyma polskiego nastolatka, no, ale rynkowo... – czule objął, oj... o wiele mniej lirycznie usposobioną partnerkę.

Jako dojrzały kolekcjoner ubóstwa grę kolorów na skałach kanionów o zachodzie. Wciąż nowe odcienie różu i purpury dyktują promienie słońca. W tle samotne kaktusy. Czysty surrealizm. Niby martwota, a jakież bogactwo ekologiczne!

– Kaktus, najdroższa, ma sto odmian. – Pocałował Sarę. – Jak uroda kobiet.

Każdy różni się kształtem, wielkością, barwami kwiatów... no i długością kolców.

– Czyli każdy też inaczej kłuje, najdroższy? – Sara poddawała mu się cała.

– Te o nazwie cholla mają kolce wielkości gwoździ do trumny. – Rozkaszał się. – Ich trucizna powoduje odczyn zapalny.

– Po obejrzeniu lokalnych impresjonistów, a także by utrwalić nasz związek, kochany, lećmy razem do Paryża! – Ratowała go, bijąc pięścią w plecy. – Musée d’Orsay ma, czytałam, największy wybór mistrzów z tego okresu. Wart z pewnością miliardy dolarów!

W tonie Sary wyczuwa lekką ironię?

– Droga moja, omówimy to w domu. Tutaj cieszymy się sobą i uroczym San Francisco.

Na Golden Gate, śladem statystycznych turystów i desperatów, jakoś nie poszli. „Niech wszystko się toczy na zwolnionych obrotach” – tak myślał.

Żale o jego brak deklaracji lub odpowiedzi na niebotyczne plany życiowe Sary już od chwili powrotu z wystawy doprowadzają go do szału. Że skoro nie Golden Gate, to może wieża Eiffla? Fakt: która dziewczyna nie marzy o zaręczynach na wysokości czterystu metrów z widokiem na cały Paryż? I żeby rzucić stamtąd bukiet do Sekwany... On, jeśli już, wolałby któryś ze szczytów w Andach.

W poczciwym L.A., kiedy tylko Sara znów wspomina o podróży do Europy, wychodzi z psem na spacer. A impresjonistów w Musée d’Orsay obejrzą jutro za dolara z płyty DVD. Bez stresów na lotniskach i niemałych kosztów.

Był kiedyś z dziewczyną w Paryżu. Zakochany po uszy. Przesłaniała mu ona wieżę Eiffla, Wersal i wszystkie bulwary. Nie pamięta nawet Giocondy w Luwrze, tylko zarośla Lasku Bulońskiego, pachnące włosy dziewczyny rozrzucone na trawie i niebo odbite w jej oczach. Do dziś ma pod skórą ten aromat...

Po latach odwiedził Paryż ze starszym synem po drodze do starego kraju. Lecz to już był inny czas, inny on... Zjeździli obaj na wynajętym motorze całe Quartier Latin, aż po Montparnasse. Wjechali oczywiście i na wieżę. Było im razem wyjątkowo dobrze. Gdy znajdzie dla siebie następców w klinice, jeszcze

popędzi w świat. Lecz solo! Na razie pacjenci i obaj synowie... Wgląd w ich prace szkolne, w kieszenie, tornistry i szuflady! Coraz rzadsze, niestety, kibicowanie im na meczach oraz wspólny tenis. A wieczorami? Wiadomości w CNN i domowe kino; choćby coś o Musée d'Orsay.

Odwiedziny starego kraju przypominają filmową scenę powrotu do bezpiecznej przeszłości. Nie musi tu nic brać ze sobą. Ma swe ciuchy, buty. I ciągle to samo łóżko, w którym sypiał jeszcze jako uczeń, a potem student. Koszula i spodnie wprawdzie wyszły z mody, lecz trzeba też poluznić pasek o jedną dziurkę. Ale cały jego pokój taki sam. Wystarczy odkurzyć jeden z longplayów Beatlesów, nastawić *Yesterday* i wszystko powraca.

W starych kalendarzykach wyblakłe telefony tamtych, polskich dziewczyn. Daty prywatek tanecznych. Kochanie się gdzieś w parku. Pod namiotem na Mazurach. Wreszcie na tymże łóżku, gdy nie było rodziców... Dzwonić teraz? Wielki Boże! Grubo utuszowane oczy w kurzych łapkach. Ubytki zębów trzonowych. Z przodu wszystkie zażółcone, bo kto tu je wybiela! Cały materiał ludzki z jego pokolenia tak został nadpróchniały przez zegar biologiczny. Kiedyś José zagadnął go:

– Ta twoja z Lasku Bulońskiego ile teraz ma lat?

– Tyle samo co ja... – zawahał się. – Przecież także się wiekowo posunąłem...

I gdy upływem czasu tłumaczył José niechybne zmarszczki na twarzy *ex-girlfriend*, usłyszał:

– Ty masz prawo je mieć, ale ona – nigdy!

Na decydującą poniekąd kolację z Sarą wyjął najlepsze wino. Będzie jego flagowe danie: łosoś w orzechach. Maskował swe zdenerwowanie, chodząc dookoła stołu. Lecz jeśli nie powie jej teraz, to kiedy? Już dawno zaplanował ten solowy wyjazd. Jak tu jednak problem ugryźć bez psucia nastroju na cały weekend? A gdzie jego wdzięczność za umorzenie mu sprawy sądowej...?

Zaczyna od kwestii swych corocznych obowiązków w starym kraju. Musi doglądnąć mieszkania po rodzicach, uregulować rachunki, odwiedzić ich grobowiec i starą, ostatnią już, ciotkę oraz wuja seniora, zmagającego się z suchotami. Dobre dwadzieścia minut wylicza Sarze listę spraw, które tam na niego

czekają.

– A ja!? – nie dowierzała. – Chcę choć tydzień spędzić w kraju twojego dzieciństwa.

– Wozić cię od historycznej ciotki do kaszlącego wuja gruźlika? Jadę tam pomagać, nie oddawać się przyjemnościom. Czas na wspólną podróż nadejdzie!

Sam w to jednak nie wierzył.

– Jestem, kochany, drugi rok z tobą i nigdy nigdzie razem.

– Jak to? A San Francisco!?

– Mówię o czymś wielkim. O wspólnej podróży za Atlantyk... O czymś, co będę pamiętała przez całe nasze wspólne życie...

– A spektakl z markowym barytonem w roli Oniegina? – udawał, że nie rozumie. – A muzea, wiktoriańskie domki? Czy potrzebna jest wyprawa w Andy lub na któryś biegun, by coś wspaniałego przeżyć? Dobre światło do zdjęć jest i na podwórku, a kochać się do rana można w pobliskim parku.

Sara nie wydawała się przekonana.

– Lecąc z tobą do Polski, miałabym cię na oku, gdybyś był napastowany przez te ekssympatie – podsumowała.

– Droga moja, studencką rozpustę odbyłem trzydzieści lat temu. Jej powtórka byłaby także grzechem wobec Boga! Zaś karą dozgonny szlaban ze strony losu na odkrywanie nowych horyzontów... – Tu znów ugryzł się w język; resztę niewiernych myśli odłożył *ad acta*. – Bądź spokojna, najdroższa, jest telefon, e-mail, Skype... – Fałsz aż dudnił mu w uszach. – To przybliży nas w tej ledwie parotygodniowej rozłące.

– Dla mnie, kochany, to mało. Chcę cię mieć pod ręką!

Do starego kraju latał co parę lat. Wydawałoby się, że każdy kolejny pobyt będzie podobny do poprzedniego, ale to nigdy nie była prawda. Wszystkie okazywały się na swój sposób jedyne. Przed dekadą, po swym ślubie w L.A., miał w Polsce poznać rodziców żony. Niestety, udało się to tylko częściowo. Kiedy

przemierzał Atlantyk na pokładzie jumbo jeta, zmarłego nagle teścia myto w kostnicy. Zobaczył go już w trumnie. A cytrynowy krawat, który przywiózł teściowi w prezencie, sam musiał mu wiązać, bo w rodzinie zostały tylko kobiety i żadna tego nie potrafiła.

Oczywiście przedtem sprawdzono metkę; od Armaniego. Rzecz wcale nie z wyprzedzący! Więc, choć kolor był zbyt wesoły jak dla nieboszczyka, ustalono, że teść ma w nim być chowany. Pozostało to ofiarodawcy jako jedyny barwny akcent dziesięciu lat jego małżeństwa... Był później w Polsce na trzech kolejnych pogrzebach.

Swego ojca zdążył jeszcze zobaczyć w stanie agonalnym. Staruszek jakby czekał na przyjazd syna i dopiero po jego pełnym łez uścisku zmarł w jego objęciach. Matkę, a za kilka lat brata, żegnał w kostnicy, przyjeżdżał tam prosto z lotniska.

Ale nie tylko rodzinne pogrzeby były gwoździem programu jego powrotów do ojczyzny. Uczestniczył w ślubie kościelnym bratanka, z hucznym weselem do świtu. Kiedy indziej, jako ojciec chrzestny, zaproszony został na pierwszą komunię bratanicy, więc kolejny pobyt rozpoczął się tradycyjnie, od ołtarza.

I tak albo kościół, albo cmentarny pochód z księdzem na czele wypełniały mu wizyty w rodzinnym kraju. Dlatego przechowuje tu, w domu po rodzicach, ciemny garnitur, aby jakby co bezzwłocznie go włożyć. Za swą spadkową połowę od trzech pokoi z kuchnią już tylko po matce wypłacił się nieodżałowanemu bratu bez zbędnej sprawy sądowej zaraz po jej pogrzebie.

Któż by myślał, że i ten pobyt bez Sary zakończy nocnym czuwaniem na stopniach warszawskiej katedry?

Tym razem nie ktoś z rodziny, lecz papież Jan Paweł II, ów najśłynniejszy syn tego narodu, znalazł się na łożu śmierci. Każdy jego oddech, ruch powieki czy ręki na żywo transmitują światowe media. Kable EKG są niemalże podłączone do ekranów telewizyjnych. Również stomatolog odczuwa na ulicach Warszawy atmosferę kończącej się epoki.

Gdziekolwiek spojrzy, cokolwiek usłyszy, ludzie w sklepach, na poczcie, w drodze tramwajem do pracy wspominają ostatnie ćwierć wieku pontyfikatu Jana Pawła II. Ci z grupy fanatyków jeszcze wierzą w cud. Nie jest dla nich ważne, że to respiratory medyczne oddychają za papieża i że pozostaje on w śpiączce. Dla niego

jednak jest. „Polacy chcą tylko, aby Papież modlił się za ich »bezpieczne« dusze. Bo też w tym czterdziestomilionowym narodzie zbierałoby się grzechów co niemiara. – Stomatolog wzdycha trzeźwo. – Lecz smutek, zdawało się, wypiękniał i pojednał wszystkich”.

„Niech przynajmniej przez te »pięć minut« owa masa ludzka nie będzie skłócona i każdy na swój sposób przeżyje ten historyczny happening” – burzy się w sobie nasz... hm... outsider.

„Jest to rzeczywiście wydarzenie na miarę katastrofy reaktora nuklearnego! Swą promieniotwórczą falą obejmie i chwalebnie przemieni cały kraj. – Wciąż ludzi się stomatolog. – Da Bóg, wyjaławiając przedoperacyjnie najlichsze mikroorganizmy. A one niestety – gorzko się zamyśla – stanowią lwią część tego narodu...”

Opisuje wszystko, celowo po polsku, w starym notesie dla synów.

I tak przez kolejne dni i noce; w czwartek, piątek, sobotę cały kraj słucha w milczeniu gasnącego bicia serca Ojca Świętego. Zjednoczeni w modlitwie. Jedni przez zwykłą ciekawość, dla sensacji. Drudzy ze łzami w oczach, pod rozwianymi chorągwiemi z papieską dewizą „Totus Tuus”. A jeszcze inni – choć to już niskoprocentowe grono – w salonach kurii spekulują, kim będzie następca i co to może oznaczać dla nich, purpuratów.

Świat zamarł – donoszą żądne sensacji agencje prasowe. Choć dla tłumu na całym Krakowskim Przedmieściu i przed stołeczną katedrą z pewnością jest to „kula w łeb”. Zapanował bezdech, jakby w powietrzu nagle zabrakło tlenu.

I tak przez kilkanaście minut ludzie wpatrzeni w siebie, w rozpaczliwych objęciach, nie dowierzają bezlitosnemu wyrokowi przyrody. Z chwili na chwilę nowo przybyli wypełniają też ulice dookoła staromiejskich świątyń. Robi się tłoczno. Każdy chce dostać się na sam przód kolejki. Iluzorycznej. Nie ma w niej ani końca, ani początku; żadnego kierunku na lewo lub na prawo. Bez sensu byłby wyścig o zajęcie lepszej pozycji. Przeszkadza zbity tłum, konglomerat bilionów żywych komórek, które zrosły się w jeden zintegrowany organizm, przesuwający się bez celu, donikąd. Rychło, moi chłopcy, nabierze temperatury i obrzęknie jak ciało po leczniczym ukąszeniu pszczoły (na Boga, ucicie się lepiej czytać po polsku!).

– I Papież też musi kiedyś umrzeć, tak jak każdy homo sapiens na naszej planecie – ośmielił się ktoś bąknąć półszepem, przyciągając lodowate reakcje i

ściągnąc na siebie oburzone spojrzenia.

Ktoś stojący obok, gdy tylko uwierzył w to, co słyszy, rzucił mu się „z nożem do gardła”:

– Jak chacie śmiesz równać Ojca Świętego z przeciętnym śmiertelnikiem!

Sytuację rozładował kolejny straszliwy anons przez megafon... W końcu przysłała owa historyczna godzina – 21.37!

Nawet oddany opiece najlepszych lekarzy, korzystających z najnowocześniejszej aparatury medycznej, nawet przy wsparciu czterdziestu milionów zagorzale modlących się w kraju rodaków – półboski Ojciec Święty okazał się bezsilny wobec prawa natury.

Ot, sprawiedliwy wyrok na miarę ludzkości. – „Cholera. – myśli. – Kończy mi się tusz w długopisie”. – Ten wyrok sięga ponad wszelkie różnice: społeczne, polityczne czy seksualne... Śmierć to jedyny demokratyczny akt w życiu narodów, chociaż niezapisany w kartach ONZ-etu czy konstytucjach. Tu, na otarcie łez, została ludzom akceptacja i wspomnienie papieskiego dwudziestopięciolecia.

W swym studenckim pokoiku mieszkania po rodzicach dopisuje już:

Ktoś zapala świeczkę, potem drugą i trzecią. Po kilku minutach szary tłum wzdłuż ulic przybiera kształt i barwę złocisto-bursztynowego łańcucha. Warszawę rozświetliły tysiące zniczy.

Morze światła falowało tak podobno przez całą tę chłodną i wietrzną noc. Gdy ci pierwsi ludzie wrócili do domów, nowi schodzili się ze wszystkich stron miasta. Jak na zmianę warty. Ciągłe brak było wolnego miejsca. W ten święty czas nikt nie konkurował z sąsiadem, nie deptał słabszego ani nie walczył o zysk – Aż nie dowierza, obłożony gadżetami. Nie było kamer?

Jeden rodak dołączał do drugiego tylko po to, żeby tam być. W tłumie rażniej i bezpieczniej? „Każdy zdrowy ssak, kierując się instynktem stadnym, szuka schronienia i towarzystwa swego gatunku”. – Stomatolog, wzdycha, także fan socjobiologii – Ludzie stali w tym podniosłym bezruchu i milczeniu, dopóki wytrzymywały im nogi.

Od rana w całym kraju zapanowała kilkudniowa żałoba. Nie dość, że

zarządzona przez prezydenta III RP i władze miejskie, to pochodząca z głębi ducha Polaków – gorących katolików. Czyli wszystkich? Odnosiło się wrażenie, że Duch Święty wypełnia każdego. Po trzeźwym zawahaniu te polskie dusze na pewno zjednoczyły się...

Wraz z upływem żałoby wszyscy chcą dostać się do Watykanu i uczestniczyć w już wyznaczonych ceremoniach Wielkiego Pochówku. Nie, ot, na cmentarzu, lecz w Bazylice Świętego Piotra! Niestety, marzeniem ściętej głowy jest bilet lotniczy, więc tabuny rodaków pędzą zatłoczonymi autobusami i kolejną do Stolicy Apostolskiej. Jak za Imperium Rzymskiego tak i obecnie, parę tysięcy lat później, wszystkie drogi na świecie prowadzą do Rzymu.

I stomatolog zapragnął pożegnać tam Jana Pawła II. Przed dwudziestu pięciu laty witał papieża podczas jego słynnej inauguracyjnej pielgrzymki do Polski. Szczerze mówiąc, stomatologa zawsze ciągnęło do wiecznego miasta. Tam spędzał wakacje, jeszcze za pontyfikatu Pawła VI.

Ogarnęła go masa wspomnień z beztroskich, choć ubogich, lat akademickich. Właśnie z Półwyspu Apenińskiego. Wiec czemu nie i tym razem? Możliwość upieczenia dwóch pieczeni przy jednym ogniu zdecydowała o zmianie planów. Bez oglądania się na koszty pojedzie do Włoch.

Godzinne opóźnienie na lotnisku umiła sobie rozmową z zabląkaną studentką Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Ona też spieszy którymś z wypchanych samolotów na ostatnie pożegnanie umiłowanego Ojca Świętego. Niestety, grupa jej znajomych udała się do Watykanu jednym z wcześniejszych lotów.

Podczas tego wspólnotowego lotu nikt, o dziwo, nie mówi o Wielkim Zmarłym. Zupełnie jakby jedynym celem była turystyka lub posezonowa wyprzedaż upragnionych włoskich ciuchów.

Katolicką studentkę (obok której usiadł jakimś trafem) też bardziej interesuje codzienne życie miłego rodaka w Kalifornii niż program pogrzebu stulecia. Chociaż leci sama, może na miejscu odnajdzie swą uniwersytecką grupę...

Być przez dwie i pół godziny lotu rozdzielonym zagłówkiem i podłokietnikiem – to dużo i mało, aby zgłębić kobietę. On już teraz szuka żaru w oczach, intrygującej duszy i... wyprofilowanej sylwetki.

Opowiada studentce o swych początkach na emigracji w USA. Był tam szoferem w liberii, doglądał kalekiego starca, półtora roku sekretarzował księciu saudyjskiemu...

Dziewczyna wpatruje się w niego aż do odpięcia pasów. A i wtedy oboje nie spostrzegają, że wszyscy już opuścili pokład. Gdyby nie stewardesa, zostaliby tu chyba na zawsze...

Po wyjściu z terminalu, przy postoju taksówek te same kuszące myśli ogarnęły niewątpliwie i ją. „Więc rychłe... hm... porozumienie dwóch dusz, a potem ciał to samograj” – ocenił w niejkiej gorączce.

Choćby każde myślało trochę po swojemu, wspólnym mianownikiem jest kwestia: jak i gdzie kontynuować tę uroczą znajomość? Podróż była za krótka i obarczona generalnym brakiem szans na jakąkolwiek intymność. Każde miejsce będzie lepsze niż samolot (na dodatek z irytującym szumem silnika). Mały, przytulny hotelik byłby idealny...

Lecz Rzym nie miał takiego najazdu pielgrzymów od stuleci. Papieskie zwłoki za dzień będą wystawione przed Bazyliką Świętego Piotra, więc wszystkie łóżka w mieście są już zabukowane; od pięciogwiazdkowych do tych w campingach pod gwiazdami. Dla przybyszów z Europy Wschodniej rozstawiono w parkach i przy dworcach namioty polowe. Ale kochać się pod okiem żałobnych turystów!?

Dziewczyna, będąc pierwszy raz we Włoszech, na szczęście musi się go trzymać! Bez znajomości języka sprawia wrażenie zagubionej i wystraszonej. Stomatolog przeciwnie – jakby wpadł do starego domu letniskowego.

Na razie cieszy się jej towarzystwem przez całą godzinę w taksówce. Krążą od hotelu do hotelu. Skądże! Ani polówki w jakiejś służbówce. Owszem, wszędzie wszystko po pogrzebie, za dwa dni, czyli przysłowiowa musztarda po obiedzie...

Świadoma swej atrakcyjności blondynka, widząc to, tym bardziej liczy na jego męską opiekę... Zaś dookoła trwa istny megajarmark dewocyjny. Tutaj nawet jego tłusta karta kredytowa na nic się nie zda. Zresztą luksusowy hotel to wyrzucone pieniądze! On od zawsze preferuje tanie łóżko, za to w dobrym towarzystwie.

Nie namyślając się, z wystrzałową samicą pod ręką, bierze na siebie

obowiązki opiekuna turystycznego.

Deponują bagaże w przechowalni i pędzą ochoczo w stronę Schodów Hiszpańskich. Po drodze gelato, jej pierwsze, dziewczyna nie ukrywa zachwyty. Stąd, objęci, do fontanny di Trevi, gdzie rozmarzeni zakochani wrzucają monety z życzeniem wspólnego powrotu. On znajduje w kieszeni dwie złotówki. Jeśli chodzi o wróżbę, chyba też się liczą? A nuż przyniosą mu szczęście na dzisiejszą noc... Modły na placu Świętego Piotra za duszę umiłowanego papieża dopiero jutro... Jeszcze kryjąc „nagość” swych doraźnych marzeń, ślini pocałunkiem szyję dziewczyny. Pachnie tak kusząco... Szczęśliwie bez odoru perfum. Dziewczyna unosi śliczną twarzyczkę i, tuląc się, szepce:

– Masz piękne włosy.

– Wyrwij garść, śmiało! – stomatolog pochyła żartobliwie głowę.

– Nie da rady! Jak końska grzywa; przecież sam to wiesz. – I ona się uśmiecha...

Tak trwają. Nieprzerwanie tryska... hm... na razie woda z barokowej fontanny.

– Chodźmy coś zjeść. – Wyplątała się z jego objęć. – Znasz Rzym, prowadź.

Mimo bliskiej północy w lokalach i ogródkach wszystkie stoliki zajmują pogrzebowi turyści. (Zjeżdżają wciąż nowi). Zewsząd obce języki. Jego osobiście nie przeraża brak pokoju, są ustronne ławki w parku, a ostatecznie krzewy pod świerkami opodal Forum Romanum...

Z pewnością odpada dworzec Termini, namioty i wiaty dla chmary przyjezdnych na strzeżonych placach. Pomijając brak... hm... intymności, to przecież mało romantyczne! W ustroniu parku, pod niebem pełnym gwiazd, słodziej by się przytulać... Fakt, że to początek wiosny i jest trochę zimno, lecz sama nadzieja zbliżenia się dwóch nagości rozgrzewa. Jego coraz bardziej! Poza tym temperatura wewnętrzna ciała to 36,6.

– Jak tu się, moja miła, przeziębisz? – ogarnia ją spragnionym ramieniem.

Niestety, jakimś przekornym cudem, ona upolowała stolik! Obsługuje ich miły kelner. Podaje spaghetti, dolewając czerwonego wina. Ubolewa, że nie będzie

z nimi na wyprowadzeniu zwłok – jutro pracuje. Wymieniają się numerami telefonów, gdyż kelnerowi marzy się wyjazd do Kalifornii... Czemu nie? To błysk czegoś postpeerelowskiego w stomatologu! Niech więc w zamian kelner znajdzie im przed nocą dyskretny pokój do dnia pochówku.

Kolejne cuda wydarzają się odtąd za sprawą ich troskliwego opiekuna. Okazało się, że rodzice kelnera Giuseppe podróżują z misją włoskiego Caritasu po Afryce. Niechże syn zaprosi ich do siebie! Za wytargowane pięćdziesiąt euro (!) lądują przy Piazza Venezia na trzecim piętrze. W końcu są to miłe wydatki; ku zazdrości rówieśników w CA... Dziewczyna, wobec superzaradności partnera, obcałowuje go po policzkach.

– Nareszcie gorąca kąpiel po tych okropnych spacerach – oznajmia mało romantycznie, wszak obiecująco...

Tuż przed pójściem do jednego, małżeńskiego łóżka coś go, pech chce, ostudza. Mała sprawa, lecz zdradliwa. Nie ma w swej torbie prezerwatywy! A była. Diabeł nakrył ogonem? Może ma jakąś w zapasie.. hm... anioł Giuseppe? Też żadnej! Pozostaje drogeria lub automat na dworcu Termini. Chyba (na Boga!) czynny mimo światowej żałoby? Nasz stomatolog równie święcie wierzy, że musi być tej nocy nagrodzony! Za tak wytrwałe bycie całodobowym cicerone, absolutnie!

Wciąża na powrót spodnie pod pretekstem kupienia leku na alergię. Niepomny, że dziewczyna raczej domyśla się prawdy. Lecz który mężczyzna nie uważa, że przechytrzy swą kobietę, bez pozostawienia śladów?

Myślał, że wróci za piętnaście minut. To proste, nawet po północy, kupić zwykły kondom w wielomilionowej stolicy. Lecz drogerie zamknięte, a automaty na dworcu zepsute... Czyżby przez watykańskie Święte Oficjum? Ach, gdyby można rzec: żart na stronę! Ze szkolnej gry półśłówek.

Dopiero w aptece przy Piazza della Repubblica znalazł, czego szukał; trochę zły, bo za paskarskie dziesięć euro! Lecz ma mu to dać spokój ducha... Sara, zdana na swe hormonalne rezerwy, nie dość, że kodeksowo, to jeszcze zapewniała mu bezpieczeństwo w seksie. Pierwszy raz ją wspomniał... Teraz nieco... hm... przedwcześnie zdyszany, z dala od bezlitosnych praw fizjologii dotyczących Sary i nieważne, że oszukany finansowo przez paskarzy (czego szczególnie nie lubi), znów czuje się chłopakiem!

W PRL-u, przeliczając te dziesięć euro na dawne bony dolarowe, miałyby dzinsy z peweksu. A dzisiaj jaką wzbudziłby zazdrość wśród kalifornijskich równolatków! Męskie siły wciąż mu dopisują, zaś samiczka na pewno z drżeniem czeka w małżeńskim łóżku rodziców Giuseppe na intymne emocje. Wielokrotnie się przytulała, targała mu czuprynę; kilka razy nieśmiało dała się pocałować...

Światło w ich pokoju pali się, lecz tylko jej blond włosy dają się widzieć spod kołdry. Nie pyta, gdzie był tak długo. Stomatolog gasi lampkę i goły, również bez słowa, wślizguje się pod kołdrę... Po pierwszym czułym dotyku, nie trafiając wcale na aksamitne ciało, stwierdził zdruzgotany, że... (wielki Boże!) ona ma pod koszulą nocną obcisłe dzinsy spięte wojskowym paskiem!

– Czyżbyś, moja droga, mi nie ufała? – ledwie wydobył z siebie wściekle rozczarowany.

– Ufam ci, lecz jutro wystawienie papieskich zwłok. Ile razy w życiu będziemy świadkami tak doniosłych chwil? Co by na to powiedział Jan Paweł II, gdyby żył? Przecież jesteśmy dobrymi katolikami! Nieprawdaż?

Słucha jej... hm... w pełnym napięciu i zrazu milczy. Aż go, rażonego w epicentrum szczerzej, polskiej wiary, „coś” unosi wraz z kołdrą...

– Więc uczcijmy, moja droga, tę doniosłość intymnym znakiem pokoju...

– Nie grzesz!

– Zapewniam cię, że po dzisiejszej nocy zebrałyby się beczkowozy nasienia tylko ze starej części Rzymu. – Już całkiem nie wytrzymuje, osadzony, także odwiecznie, po polsku, gdzieś na styku *sacrum* i *profanum*. – A z łóżek Watykanu następne hektolitry!

I tak nieludzko, za to czysto po chrześcijańsku, dłuży im się ta noc. Niby pod jednym nakryciem momentami tonęli w swych objęciach, czepiając się swych szyi, ale rozdzielał ich gruby dzins w kolorze *blue* i „pas cnoty” z żelazną klamrą. On, chociaż katolik z krwi i kości, niestety, jako zdrowy facet bardziej chyba podlega prawom ulubionej biologii niż nauce Kościoła... Ostatkiem sił wspomina jej nieśmiałym szeptem zapamiętane z lekcji religii:

– Boże, nie patrz na grzechy nasze, a na wiarę naszą.

– Bo pójdziesz do piekła! – usłyszał tylko.

„Kochana Boziu! – wyrywa mu się z duszy, serca, zewsząd. – Gdzie tu jakiś instynkt kobiecości?! I jak teraz zasnąć?!” Niczym był parogodzinny lot, wielokilometrowy spacer po zatłoczonym Rzymie, nawet nerwy, by zdobyć kondom. Miał już trzy w złotym opakowaniu... I co?! Chyba sprawiedliwie liczył na Boskie uświęcenie tyłu jego turystycznych starań, żeby już pominąć spore wydatki!

Wdychając stłumione przez *blue jeans* aromaty spod kołdry, liczy, że rano coś zmieni w łóżku. Mówi sobie: „Nie sądz dnia przed zachodem słońca”. Na razie, bliski świt naładuje mu ducha optymizmem (ciała nie trzeba było) i przez kolejny dzień przeprowadzi go przez te kilkanaście godzin ku wymarzonej, bo na koniec spełnionej, jutrzejszej nocy...

Rano, w pełnym słońcu, przy łóżku stomatologa czeka cappuccino i najnowszy numer „Corriere Della Sera”. Dziewczyna, na dodatek, spakowała ich i ogarnęła pokój. Siedząc na brzegu łóżka, szepce mu do ucha:

– Wstawaj duchowy przewodniku. Trumna już wystawiona na placu.

– Ale kochanie, pogrzeb jest jutro! – w półśnie próbuje przyciągnąć dziewczynę.

– Przestań! On tam na nas czeka!

Wyrywa mu się.

– Zwłoki, choć prawie święte, jeszcze nie pójdą do nieba – odburknął z trudem...

Przejście z Piazza Venezia do mostu Vittorio Emanuele to pół godziny spacerem. Ale nie wśród tłumu pielgrzymów. Więc nawet nie przeczytał w kafejce gazety. Każdy pielgrzym z ponad milionowego grona ma w głowie, by jak najrychlej zająć pozycję w kolejce, zobaczyć z bliska ukochanego nieboszczyka w trumnie. Może nawet dotknąć? Plotki głoszą, że w kilkukilometrowych ogonkach czeka się sześć, osiem godzin. Jego to nie przeraża...

Przed niespełna rokiem stał w długim na dwie mile ogonku do trumny Ronalda Reagana. Z Sarą... Za jego radą (peerelowskie doświadczenia) już po

lunchu zajechali pod bibliotekę prezydencką. Na ogromnym parkingu, zamiast samochodów, kłębił się uroczysty tłum. Od młodzieży szkolnej do emerytowanych związkowców z Hollywood. Dowożono wciąż nowych widzów autobusami. Jak na polskie wykopki za czasów Stalina lub na socjalistyczny pochód pierwszomajowy...

Przed wejściem do budynku należało pozostawić aparat fotograficzny, kamerę, a nawet telefon komórkowy. Secret Service rewidowało wrywkowo podejrzewanych o zamach bombowy... choć prezydent Reagan leżał pod amerykańską flagą w pancernym sarkofagu.

Pojedyncze okrażenie zwłok na dziedzińcu biblioteki trwało około półtorej minuty. Wcześniej jednak spędzili bezsenną noc w mękach, bo na stojąco. Potem zaś kilka kolejnych godzin dreptania w miejscu. To ostatnie i rozmowy z obcymi o niczym pamięta najlepiej.

Sam katafalk, flagi i warta honorowa – cała patriotyczna aura – pozostały dla niego stereotypową, kapitalistyczną propagandą. Wymordował się i nie dospał, ale... dzięki życzliwemu Bogu oraz swej wytrwałości do dziś błyszczy tą opowieścią na różnych *party*.

Wtedy, u trumny Ronalda Reagana, był przykuty do boku Sary. Już chyba nie jest? Podsypiali wówczas, stojąc, wsparci o swe ramiona. Wyczekali na zatłoczonym parkingu do szóstej rano, przedreptali dookoła podestu z trumną, oflagowaną gwiazdzistym sztandarem – i w samochód. Ona do sądu, on do kliniki...

Dzisiaj sceneria jest inna. Rzymski barok huczy wszystkimi dzwonami. Oto memento dla pielgrzymów, by zaliczali papieską trumnę. Ale jeszcze jest czas. Na razie kolejne boskie cappuccino, gelato i frontowe sklepy z modą przy via Condotti. Choć głupie baby mają to samo taniej „w podwórzu”. Zresztą słynna ulica to dla klasy średniej wielki świat oglądany przez dziurkę od klucza...

Trzymając się za ręce, suną pośród tłumu w stronę Tybru. Życie wciąż przed nimi. A sama droga bywa nieraz ciekawsza niż cel... Parę zdjęć przy Campo de' Fiori, kolejne cassate... Po drugiej stronie rzeki dostrzegają ogon gigantycznej kolejki. Już od Castel Sant'Angelo nie sposób się przebić. Są jednak „aż” o parę metrów bliżej bazyliki. Ale to nic. On jest zakochany, szczęśliwy! Co kilkadziesiąt centymetrów przytula dziewczynę jeszcze mocniej niż przy fontannie di Trevi... Właśnie znaleźli się pod murami Zamku Świętego Anioła, więc opowiada libretto

Toski...

– Czy jak ona – szepce swej heroinie – rzuciłabyś się stamtąd po śmierci kochanka do Tybru?

– Nie wiem, lecz już zabicie przez Toscę prokuratora Scarpia było straszliwym grzechem.

– To kwestia sumienia, moja droga. A ono bywa różne, zależnie od czasów i szerokości geograficznej.

– Zabić w obronie ojczyzny... No, to jeszcze... – ona zdaje się nie żartować.

– Za miliony trupów na wojnie jest rozgrzeszenie, a jakieś prywatnie słuszne zabójstwo dokonane na chwilę po zawarciu pokoju to kara śmierci... – prawie się oburzył.

Tymczasem co kwadrans przesuwali się o parę kroków. Było im dobrze. Pili mineralną z butelki, gryźli jedno jabłko; tacy wpatrzeni w siebie, że chyba przeoczyliby nawet papieską trumnę.

Nie sposób było za to przeoczyć grupy studentów z kapłanem przy placu Świętego Piotra. Mieli biało-czerwoną flagę, transparent *Varsovia Totus Tuus* i śpiewali *Boże coś Polskę!*. To do nich miała dołączyć tu ona, zagubiona w czarterach na warszawskim lotnisku. „Ale dlaczego – zastanawia się stomatolog – spędziła ze mną cały ten czas aż do teraz?!”

– Martwiliśmy się, dziecko, o ciebie. Ten Rzym, dzisiaj... – Zagrzechotał kapłan różańcem. – Spaliśmy w namiotach przy ogrodach Villa Borghese. A ty?

– Znalazłam... chyba ostatni pokoik w skromnym hoteliku.

– No tak... Mamy dla polskiej grupy wejściówki na ekspresowy pas. – Po ojcowsku wziął ją za rękę. – Chodź, dziecko, zaoszczędzimy sporo czasu.

– Przyznam się, proszę księdza, zablądziłam w tym Rzymie. Ale on, choć Polak, zna miasto, język i okazał się dżentelmenem. – Wskazała nieśmiało stomatologa. – Czy mógłby pójść z nami tym ekspresowym pasem?

Zapadło zgorszone milczenie w tym polskim, żabim oku religijnego cyklonu.

Stomatolog na stronie grzecznie się rozgląda...

Każdy chyba miał już serdecznie dosyć przemieszczania się od iluś godzin, krok po kroku, w zziębniętym tłumie; cóż za męka liczyć minuty, kwadransy, prawie w miejscu, kiedy jedyną ulgę przynosi łyk wody z butelki. Byle odfajkować szczytny zbiorowy cel: pokłon świętej trumnie. Każdy z miliona przyjezdnych, ale nie on! Dla nich obojga wszelki pośpiech jest zbędny! Niech ten ludzki ślimak, a oni wraz z nim, trwa w nieskończoność...

– Bóg zapłać za pomoc, ojczyzno, lecz my tu tak z wolna kontemplujemy nauki Papieża.

Także dziewczyna oparła się kapelanowi.

– Zaparkowaliśmy mikrobus przy Piazza Navona, bądź tam, dziecko, na dziewiętnastą, potem zakwaterowanie i obfita kolacja w klasztorze karmelitanek. – Kapelan ledwie ukrył niezadowolenie.

– *Va bene*, proszę ojca.

– O, łapiesz włoski!

– To nauka mojego *cicerone*.

– Gratuluję. *Ciao!*

Zostali w tyle. Wśród obcych, rozmodlonych pielgrzymów mogą się śmiać, a nawet obejmować. Zupełnie jak w lesie; drzewa też nie podglądają i nie krytykują. Ot, tu i tam, ślepa masa. Tylko na Piazza San Pietro jest ponad milion wiernych – donoszą megafony. Każdy, prócz zmówienia modlitwy, chce obejść dookoła katafalk i złożyć hołd ukochanemu, nieodżałowanemu Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II.

– Te boczne kolumny – naucza tymczasem stomatolog – są projektu Berniniego i mają trzysta pięćdziesiąt lat. Jego jest też fontanna di Trevi. I nie tylko te arcydzieła w starym Rzymie.

Trochę denerwuje go roztargnienie swej uczennicy, podczas gdy on, oprócz delectowania się Sztuką, chciałby uszczęśliwić ją wręcz całym sobą!

– Ty wszystko wiesz! Ile razy byłeś w bazylice? – pyta ona ze szkolnym zachwytem.

– Może dziesięć, ale równie trudno zmówić pacierz w środku tego giganta jak na meczu piłkarskim. Pan Bóg i na co dzień nie słyszy modlitw wzlatujących z tej upchanej turystami bazyliki. A teraz jeszcze dookoła trwa ten megakermasz...

Wreszcie są przed dwumetrową trumną, umieszczoną na marmurowym postumencie, który tonie w kwiatach. Niesieni przez tłum drepczą, puściwszy już swe ręce, w usilnym rozmyślaniu, o co prosić Boga poprzez udrapowane zwłoki papieża. Nieważne, że są zimne, z różowym makijażem. Oni obydwój szczerze się cieszą. To nic, że docierają na miejsce po tylogodzinnych przepychankach. Czy stomatolog byłby bardziej rad z osiągnięcia równie wymarzonego sześciotysięcznika w Andach? Na razie trwa cierpliwie w, obiecującym mu inne niebo, towarzystwie dziewczyny. Och, zawsze dla dobrego katolika szczytem zbawienia czekający na niego łaskawy Bóg.

– Tutaj to chyba wszystko... – szepnął nabożnie. – Może chodźmy na pizzę?

– Ja marzę o pasta i cassate na deser – odszeptuje mu, nieprzerwanie bogobojnie, dziewczyna.

W końcu, ślepi na piękno kolumnady ze statuami świętych, przepchnęli się w stronę Tybru i mostem Umberto weszli w stary, poczciwy Rzym. Poza Stolicą Apostolską, z dala od trumiennego widowiska, od kamer, świateł i mikrofonów, nareszcie widzą siebie, obejmują się za biodra – niestety, wszystko ciągle jak na zapoznawczej randce...

Więc teraz (dla napalonego stomatologa koszt nie gra roli) pyszny befsztyk, penne z parmezanem i wino. A co po tym? Lody *bellissimo*... Ale gdzie w zamian, choć trochę gorętszy, pocałunek!?

W ogrodach Villa Borghese, on, z sytym żołądkiem, lecz... hm... nie sercem, znalazł na uboczu dyskretną kępę zieleni. Tutaj się ułożyli... Nad bliskim zaspokojenia kochankiem pnący się prosto w górę świerk; na wprost subtelna buzia o jędrnych policzkach. Dwadzieścia minut do dyspozycji mu wystarczy! Toć z nich żadni święci. I żyją, na Boga! A do wspólnej nocy w jego, nazbyt cierpliwie, układanym „hormonogramie” jeszcze tyle godzin...

– Wypożyczmy rowery! – rzuciła doń jakby w zachęcającej kontrze.

Pedałując, ścigają się alejkami niczym uczniacy. Raz ona jest na czele, raz on... Kupa śmiechu! Aż do bólu brzucha (a u niego i niżej)...

Gdy wreszcie posadziła pupę na jego kierownicy, jechali tak chwilę trawnikiem, aż do pierwszej wywrotki. Udanej przez rowerzystę... Niechby jego łapczywe usta i dziewczęce dyszenie zatrzęsły w posadach Rzymem! Chyba i nią także!?

– Mówiłeś mi na rowerze o dziełach w Galerii Borghese tego twórcy baldachimu nad grobem świętego Piotra? – Dyskretnie poprawiła pijące ją majteczki.

– To właśnie Bernini. Ale przez tę tragiczną żałobę wszystkie muzea są zamknięte –wymamrotał, dusząc coś zarazem w lewej kieszeni spodni.

– Szkoda! Akurat gdy jestem z prywatnym przewodnikiem. – Chichocze ona niczym sadystyczny kat!

– Gdybyś wiedziała, jak mi przykro – mówi torturowany z rosnącą nadzieją. – Tak, mogliby na chwilę otworzyć galerię; tyle tam pięknych rzeczy. Wreszcie, nasz ukochany Ojciec Święty leży sobie w trumnie dość daleko...

– Zresztą... Po co, mój drogi? W kolejce do papieża oglądaliśmy dookoła sztukę z różnych epok.

– Żałoba, dziewczyno, nie wyklucza, na Boga, czegoś tylko odrobinę intymniejszego niż pocałunki...

– Och, proszę, ani słowa o tej naszej nocy. A w ogóle przypomnij sobie z lekcji religii żal za grzechy!

Nim zaprotestował, przytuliła się do niego. Rowery stały oparte o muzealne schody. Objął ją ze wszystkich sił. Zawisli gdzieś wysoko, wydawałoby się, na wieki, a znów nie połączyło ich to, co również katolików w ich sytuacji połączyć powinno...

– Czy twoje pocałunki są na pewno od serca? – wyszeptwała dość nielogicznie.

– Równie jak coś spod pędzla Rafaela w środku tej galerii! – Aż się roześmiał. – Ów obraz ukradł niegdyś pewnemu magnatowi z Perugii sam kardynał Scipione. Za papieską zgodą. Scipione był *motu proprio* władającego Rzymem Pawła V, czyli jego siostrzeńcem. Ograbiona rodzina magnacka interweniowała w watykańskiej kurii, lecz prędko umilkli, bo papież zagroził jej zwiększeniem podatku gruntowego. Zresztą kardynał Scipione odesłał im... kopię skradzionego Rafaela. Do dziś wisi ona w Perugii i cieszy turystów.

– Niesamowite!

Krąbrna uczennica zatrzepotała obiecująco rękami?

– Innym razem tenże Paweł V był „palcem bożym” dla obrazu Caravaggia. Zamówiony do watykańskiej kaplicy również znalazł się w sypialni obrotowego Scipionego. Ten młody kardynał chytrze grabił dla wszechwładnego wuja (a właściwie dla siebie) różne dzieła sztuki. Ale nie tylko to! Uzyskał święcenia kapłańskie dla swego Stefano zaraz po przeprowadzce obu kochanków do wiecznego miasta. Zaś wkrótce Paweł V wyświęcił także owego Stefano na kardynała. Dziś kolekcja obrazów i rzeźb ze złodziejskiej pasji kardynała Scipionego jest cenniejsza niż encykliki jego wuja papieża. Za „palcem bożym” oryginalny Rafael, Caravaggio i inne wiszą tu, w Villa Borghese, lub w masowo zwiedzanym Muzeum Watykańskim, zamiast zbierać kurz w jakiejś prowincjonalnej kaplicy magnata okradzonego przed wiekami.

– Ale my z powodu pogrzebu całujemy kłamkę. Chodźmy na lody – przerwała mu wykład. – Muszę być przy Piazza Navona przed dziewiętnastą.

– Musisz?... Najlepiej Schodami Hiszpańskimi do via Condotti i dalej via del Corso... Najlepsze lody w Rzymie są u Giolittiego.

– Zawsze tak dbasz o kobietę?

– Jeśli mi serce dyktuje.

– A co teraz?

– Zostań ze mną, proszę...

– Muszę być razem z grupą modlitewną. Co pomyśli ojciec kapelan!?

– Że chcesz sama kontemplować odejście drogiego nam wszystkim Jana Pawła II!

– Wybacz mi... Jeśli coś zwęszą, oplotkują mnie na parafii.

Stomatolog nie spuszczał z dziewczyny tragicznie smutnych oczu.

– Coś niecoś nadrobimy! – Westchnęła. – Dżinsy oddam koleżance i wrócę w spódnicę...

Omal podskoczył.

– Będzie mój drogi, *fantastico*, chce cię całować do samego rana, ale po pogrzebie. Ostatecznie to był nasz, polski Papież! – Przytuliła go na odchodne.

Za rogiem jej grupa modlitewna z liderem w czarnej sutannie faktycznie oceniała każdy ruch czy minę dziewczyny. Nie daj Bóg, by coś zauważyli!

Wsiadając do mikrobusu, położyła mu dwa palce na ustach. Bezgłośnie mówiła przez szybę:

– Jutro...

Za chwilę odjedzie, a on pozostanie w otchłani tyłu, tyłu godzin... Ale ciągle jeszcze ją widzi! Przed zakrętem śle mu jednym palcem całusa. Zaś ktoś wysuwa z otworzonego okna chorągiew *Santo subito*, a ktoś inny z drugiego *Varsovia Totus Tuus*. I wtedy...

Nagle jak od uderzenia pioruna stomatolog uświadamia sobie, że jutro rano zaraz po pogrzebie odlatuje do CA! Musi... Czy zdąży to dziewczynie przekazać? Ale, choćby i się udało, co ze wspólną nocą bez dżinsów? Dobry Boże, zlituj się; uczynić jakiś cud!

Uroczyste bicie dzwonów budzi go w (jakże pustym) łóżku rodziców Giuseppe. Omal przespał kawałek pogrzebu! Spiżowe dźwięki rozchodzą się echem wzdłuż Tybru, spod Piazza Navona, z Campo de' Fiori, jakby nadgorliwie konkurowały. Dzisiaj jednak odgrywają one nieznośny dla stomatologa koncert pod batutą (czyżby aż tak bezlitosnego?) Stwórcy tego padółu. Za niewiele ziemskich godzin wszystko, jak najśluszniej bezdźwięcznie, spłynie Tybrem pod most Sant'Angelo, aż ku nicości...

A jednak biegnie. Na via della Conciliazione las chorągwi, banerów ze wszystkich stron świata. Niemal jak na wiecu przedwyborczym lub podczas pochodu bezrobotnej ludzkości w jakimś światowym kryzysie gospodarczym.

Słyszy w tej ciszy języki z wieży Babel, widzi różnokolorowe twarze. Gorączkowo próbuje wyłowić z tłumu biel i czerwień wczorajszego mikrobusu, czyli *Varsovia Totus Tuus* i *Santo subito*...

Jest ich, podobnych do siebie, zbyt wiele i te najoryginalniej, najczulej zaprojektowane giną w ludzkiej masie. Czy on bluźni, szamocąc się również w swych myślach? Ale to jest pół stojąca, pół rwąca powódź tępych dwunożnych ssaków! Ani ją zatrzymać, ani zmienić jej bieg. Przystanie zamulać, gdy wyschnie dopływ tych istot z ciasnych uliczek w dalszych częściach miasta. Może on, cudem Matki Boskiej Fatimskiej, wreszcie dojrzy upragnioną sylwetkę dziewczyny w tym kilkumilionowym rozlewisku!? Tu nic i tam nic...

Pożycza lornetkę od sąsiada, który też wspiał się na krawężnik... W zeissowskim powiększeniu sunie po zmęczonych twarzach. Z odwodnionych organizmów setkami uchwyconych przezeń oczu spływa... Czyżby mniej łez niż wczoraj? Pod, jakby mozolną, odświętnością kipi proza życia. A głębiej, nadzieja prywatnie skłopotanych na, oby łatwiejsze, jutro...

Jak bluźnić myślą, to na całego! Czy swą gorliwą modlitwą i wytrwałą bytnością tu, na placu i w okolicy, owe tłumy wiernych poruszą ślepego Boga do jakiejś kruczaty przeciwko złu, wojnom, chorobom, prywatnemu okrucieństwu? Czy jemu ten ślepy Bóg ześle dziewczynę bez dzinsów pod kołdrę?!

Cały milion ludzi w Watykanie i kolejny ich miliard przy telewizorach dedykują swe cierpienia zwłokom Ojca Świętego. On, szary dentysta, tylko marzy, aby wyłowić dziewczynę z morza tępych głów i legnąć na niej, choćby gdzieś w pobliskich krzakach. „Niewykonalne” – myśli realnie. Lecz hormony mu buzują. Czyżby antykatolicko? Może to kara za bluźnierstwo... Ma tyle szans na sukces, ile na znalezienie w Tybrze krokodyla...

Bierze (chyba lepszą) lornetkę Nikona od innego pielgrzyma i sięga nią aż do centrum placu... Pod szesnastowiecznym obeliskiem chyba odnajduje stracony ślad... Tak... Baner podobnej wielkości jak ten polskiej grupy! Ha! Biało-czerwone *Santo subito* zdradziło mu jego nieerotyczną konkurencję. Więc jest szansa, że uwolni ofiarę grupy modlitewnej! Poprawia ostrość. Niczym snajper

penetruje najbliższy obszar... Lecz poszczególnych ludzi trudno rozpoznać... Niechby całą tę milionową masę pochłonęło piekło, a ONA, cudna, została... hm... jak na widelcu!

Ssącą, bo nieużyteczną w nim, próżnię tylko ONA wypełni i ożywi. Choć został już ledwie cień szansy, by ją, co najwyżej, przytulić i ucałować. Ach... I ciągle nie wymienili danych osobowych! On zaś wkrótce popędzi na lotnisko. Co tam krzaki! Nawet pod trumną papieską rzuciłby się na nią; albo u stóp zasiadającego tam kardynalskiego kolegium!

Przepycha się więc zatłoczoną ulicą, mamrocząc litanie miłosną, tu i ówdzie przetykaną polskimi bluzgami. Odpycha pielgrzymów łokciem i kolanem, jakby był karetką reanimacyjną na ciągłym sygnale. Z nim samym w środku, półumarłym z tęsknoty. Raz po raz bąknie: „*I'm sorry*”, „no, żesz, kurwa”, „*permesso*” lub „*excuse-moi*”. Zależnie od sektora. Aby prędszej, żeby w końcu dostać się tam, na skraj placu. Nie pod żadną trumnę, lecz do NIEJ!

Co chwila ktoś warknie, puści w swym języku wiąchę. Albo w jego rodzimym.

– Dokąd grzeszny człowieku? JEGO duch jest tu wszędzie! A zwłoki i tak zakryte! – właśnie krzyknął jeden z pielgrzymów mijanych na trasie tej, ponad godzinnej, przepychanki tragicznego kochanka, oburzając się na tę jego kolanowo-łokciową manifestację żądy... ech... choćby JEJ dotknięcia.

– Puście go! Może sam Jan Paweł II go wzywa. Może to droga dziękczynna bardzo wielkiego grzesznika? – wycisza ktoś jeszcze tłum, gotów stomatologa ukamienować.

Tymczasem on zmierza do biało-czerwonego baneru jak w ciuciubabce: coraz cieplej... gorąco... „*Santo subito*” jest tuż przed nim! Lecz gdzie dziewczyna? Rozgląda się... Znów bezdech... To, owszem, jakaś grupa studentów, ale z Andory. JEJ ni śladu, choć kolegium kardynalskie tuż, tuż.

Kiedy rozejrzał się szerzej, zauważył, że wokół powiewało dużo banerów tej samej treści. Dominował ów fałszywy, bo czerwono-biały! Zziajanemu i odwodnionemu brakuje mu zarówno sił, jak i ochoty do życia. Jest w rozpacz, podobnie jak każdy z paru milionów dookoła. Lecz chyba tylko on z takiego powodu...

Wszyscy zgromadzeni tu wierni katolicy zbyt długo słuchali dudnienia modłów przez megafony. Aż ogłuchli na głos własnego serca? Wraz z milionami wiernych tutaj i setkami milionów gdzieś poza okiem kamer stomatolog klęka posłusznie i próbuje zmówić pacierz. Ostatecznie po to tu przyleciał z Warszawy zamiast... prosto do Sary; po to przepchał się bez ekspresowego pasa. I nic z tego... Chce więc na pokutę odmówić *Litanie do Serca Jezusowego*. To chyba na pewno wraz z „resztą świata”? Ale po pierwszym koraliku odpuszcza. Nie sposób skupić się na modlitwie w warunkach festiwalowych!

Jeszcze raz, już zza pleców, ogarnia cały żałobny pejzaż. Lecz obojętnie, bo z tak daleka; mija wzrokiem trumnę, zwarte szyki kardynałów i dyplomatyczny korpus pod fasadą bazyliki. Idzie równie nieprzytomnie w kierunku Tybru. Jego bolesnej zaćmy nie uleczyłyby teraz żadna biel i czerwień ani świątobliwa żółtość, lecz tylko błękit JEJ oczu i szczere złoto włosów...

Przy via della Conciliazione, a potem na moście, jest luźniej; ogon pogrzebowej kolejki zaszedł w rejon tamtego brzegu rzeki. On, już niemal opanowany, choć dalej uwierająco samotny, pozostawia z ulgą masowe (czyżby?) uduchowanie.

Niedługo odlot. Lody u Giolittiego osuszą każde łzy, a pasta all'arrabbiata ożywiłaby i papieża. Spacer do fontanny di Trevi jawi się raczej bezcelowo... Daleko od religijnych turystów jest prawdziwy Rzym...

Mijana kafejka internetowa przypomniła mu dom, chłopców, klinikę, znów Sarę i oczywiście jakieś kłopoty. W skrzynce e-mailowej dużo wiadomości od niej sprzed paru dni.

Wezmę urlop i podtrzymam cię na duchu przy zwłokach. Wiem, jak Go kochałeś! Zawsze twoja, Sara.

Zamknął pocztę i uiścił wygórowane cztery euro. Rozmarzyło go dopiero wonne espresso, warte grzechów miliona wciąż tam sterczących pielgrzymów. A może nawet JEJ duszy i ciała?

Na lotnisku kupi bez cła apaszkę dla Sary. Drobiazg ładnie opakowany, zgodnie z nauką świętej pamięci rodzzonego ojca, zawsze i wszędzie robi mężczyźnie dobre wejście. Synom mógłby powiedzieć, że z racji żałoby zakazano handlu. Niech jednak mają promocyjny album o Rzymie. On przemyci w sercu (czyżby dozgonnie?) niespełnione marzenia...

Po drugiej stronie Pacyfiku Sara czeka w hali przylotów z kwiatami i jego ulubioną szarlotką. Unosi ręce, aby ją objął i przytulił:

– Kochany! Nareszcie! Te trzy tygodnie to była nieskończoność!

– Ja też się cieszę. Śliczna bluzka!

– Specjalnie na twój przyjazd.

Przez godzinę jazdy z lotniska do domu on mówi o papieżu i pyta o chłopców. Aż tu nagle ona, hamując na światłach:

– W Rzymie przy wystawieniu zwłok i pochówku aniby ci były w głowie romanse, ale w Warszawie, przed zgonem Ojca Świętego?

Sara nie daruje... W domu obskoczą go chłopcy... Lecz nie ośmieli się wyskoczyć jej teraz, w czasie jazdy.

– Kochanie, to nie wokanda sądowa! Wiesz, że jestem ci wierny.

Z westchnieniem ulgi Sara kładzie mu rękę na udzie i... szybko ją zabiera...

– Chłopcy zgotowali ci niespodziankę... – Ton jej głosu się zmienia.

Obaj synowie, witając ojca, są dziwnie nieswoi. Wyglądają na zdrowych; pies też merda ogonem. Ściany stoją, jednak coś wisi w powietrzu.

Na swe:

– Co u was, wszystko w porządku?

Po chwili milczenia słyszy, że tak. I znów cisza...

– Porozmawiacie jutro – ustala Sara, jakby to był nowy termin faktycznej wokandy. – Ta zmiana czasu, rano klinika. Odpoczniesz, kochany, u mnie.

„Gdyby jeszcze, prócz sił, było trochę ochoty!” – myśli jak najskryciej...

– Droga moja! – Odciąga Sarę na bok i recytuje: – Tej nocy odsapnę, a jutro

będę cię całował od głowy do stóp.

„Wysoki trybunał” nie daje za wygraną...

– Przy mnie nikt cię nie skrzywdzi.

Wybrzmiało mu to jeszcze dziwniej już na jej oprzyrządowanym łożu, wśród tuzina poduszek i misiów... Poza nieprzemijającym wrażeniem, że to filmowa dekoracja, ledwie rozeznaje się, kogo on teraz pieści... Może te poduszki?

Jednak nie. Rano zobaczył swój dół od piżamy na podłodze. Potem zatrwożoną jak nigdy dotąd twarz Sary, jej dziesięciokilowy biust oraz tyleż przybranego ciała poniżej. Wreszcie zachłysnął się perfumami tak mocnymi, że pies uciekał z pokoju, gdy przychodziła... Eee, to na pewno babskie przejęcie się kłopotami w sądzie...

Bo zasadniczo: czy wolno mu na Sarę narzekać? Żadna z jego byłych kobiet tak się nie starała. Od kolacji nowy make-up, jedwabna koszula nocna, rano czterominutowe jajka po wiedeńsku i obrus w stokrotki. Gdy po prysznicu siada na sedesie, przez uchylone drzwi wsuwa się herbata w jego ulubionej filiżance. Wylewa ją jednak do umywalki, bo „aromat” perfum utrudnia mu delektowanie się nią. A mimo to im Sara staje się bardziej nadopiekuńcza, tym częściej on patrzy na zegarek i szuka pretekstu do ucieczki. Jak kot zagłaskiwany na śmierć.

Po klinice synowie przyjęli ojca ciągle arcy poważnie. Prócz uroczystej kolacji cały dom sprzątnięty. Wszystko jak pasjans rozłożony w intencji, którą chłopcy ciągle boją się mu zdradzić. Tylko te zdawkowe uwagi o jego zmęczeniu przez międzykontynentalną różnicę czasu.

– Tatusiu, czy bierzesz melatoninę? Może jeszcze szarlotki? – Ich wyraźna gra na zwłokę kryje jakąś sprawę. Jaka?!

– Czy Sara ci coś mówiła? – Obaj spuścili głowy.

– Nic. Lecz cokolwiek tu się stało, ma zostać w rodzinie!

– Niestety, tatusiu, będziemy Sary potrzebować.

I obaj z trudem mówią o tym sprzed tygodnia. On łudzi się, że to filmowy thriller! Karetka na sygnale? Reanimacja ofiary przed domem? Radiowozy

policyjne?

– Rozumiem, że to była zbiorowa bójka? Ktoś dźgnął tego chłopaka. Ale kto? – Macha rękami, chodząc od okna do okna. – I jak można zapraszać do domu sto osób; w połowie obcych?!

– Tatusiu, to nie miało tak być.

– Więc jak?!

– Urządziliśmy *party* dla kolegów ze szkoły. Dla około dwudziestu pięciu osób. Niestety, SMS-owo rozeszło się po dzielnicy, że jest impreza w hacjendzie synów VIP-a. Będzie piwo, żarcie, nagłośnienie, bo ich stary w Europie. I każdy, kto SMS-a odebrał, wziął dziewczynę albo kumpli, a ci swych, też z innych szkół. I cały ten obcy tłum pod naszym domem chamsko wprasał się do środka. A że wszystkie drzwi zamknęliśmy, intruzi rozeszli się po ogrodzie. Za jakiś czas nasze *party* dziwnie się podzieliło. Zaproszeni goście w środku plus część obcych, która wlała przez okna i chodziła po dalszych pokojach, a świeżo przybyła reszta przed zabarykadowanym przez nas frontem wściekała się z zazdrości. I gdy jeden z naszych wyszedł do samochodu, sypnęły się obelgi i kamienie. Więc wszyscy nasi wybiegli go bronić. W szamotaninie ktoś wbił mu nóż w brzuch. Krzyknął. Tłum się rozstał. On, bardzo krwawiąc, już nie dał rady schronić się w domu. Skulony runął na podjazd przed drzwi wejściowe. W sekundę tłum obcych się ulotnił, a wśród tych podświetlonych kaktusów, na wysokości salonu, czołgał się nasz dźgnięty kolega. Potem, tatusiu, już wiesz. Karetka, radiowozy, zamknięcie naszej ulicy, szpital. No i usunięcie dźgniętemu koledze śledziony.

Słuchał synów w mdlącym przerażeniu. Miotając się na patio wzdłuż basenu, tarł czoło.

– Czy jest ktoś aresztowany?

– Wszyscy obcy uciekli i nie ma śladu po nożowniku.

– A kim jest ofiara?

– Eryk z maturalnej. Ten pływak.

Najczulej wezwana przezeń Sara nie szczędziła pocieszeń. Wprawdzie prasa opisała całe zajście, lecz dzięki jej wpływom bez nazwiska właściciela posiadłości i

bliższego adresu. Tuląc Sarę, wierzył, że i później jej sygnały słane z sądu do komendy policji pomogą mu. Niestety, według niej rzecz może stać na wokandzie z powództwa cywilnego. Na dziś nożownik jest nieznany, lecz policja uważa, że trafi do aresztu...

– Niepokoi mnie – kontynuuje Sara – samo miejsce zbrodni. Ulica, czyli asfalt lub chodnik, jest obszarem publicznym. Ale nie podjazd przed prywatnym domem? To zasadnicze dla strony oskarżającej. Gdyby zasztyletowano chłopaka na przykład w twym przedpokoju, nawet najdroższy adwokat nie uratowałby cię od megaodszkodowania. Istotny jest też wiek i sukcesy sportowe ofiary. Słyszałam, że miał stypendium za wyniki na sto i dwieście metrów stylem motylkowym. Bez śledziona nie wróci do formy! Utraci rok akademicki, stypendium...

– Z powodu niezawinionej przez nas operacji i leczenia się?!

– Znany college płaci czynnym rekordzistom, nie rehabilitowanemu. Odnowią stypendialny kontrakt, gdy chłopak wróci do dawnych wyników.

– Ale co my mamy z tym wspólnego?

– Przepięstwo i szkoda zaistniały na waszej posesji. A może tego siedemnastolatka czekała międzynarodowa kariera?

– Zaraz, zaraz! – przerywa Sarze tonem mecenasa. – Odszkodowanie za utratę nieotrzymanych medali?

– Absolutnie! Przysięgli to kochają. Chłopak był znany i lubiany. Jego rehabilitacja psychofizyczna będzie długa i kosztowna. Nie mówiąc o sumach za operację...

– Droga moja, to uczennica, łamiąc nogę w szkole baletowej, może od teje żądać odszkodowania z racji przekreślenia, i tak pewnie nigdy niemożliwej do zrealizowania, kariery w Metropolitan?

– Powinieneś być adwokatem, nie dentystą – przerywa mu zirytowana Sara.

– Może biologiem! Przyroda przy całej swej zawłości jest bardziej obliczalna.

– Ale to ja, sędzia, chcę ci pomóc! Owe najgorsze grozi ci jeszcze przez dwa

lata od incydentu.

– Ile? – nie dowierzał.

– Musi wygasnąć okres na składanie pozwu cywilnego. Ale kochanie, jesteśmy razem! Znam adwokata, który cię ewentualnie wybroni.

– Dziękuję... Dwa lata... – powtarzał z przerażeniem. – Niech ukarzą bandziora z tego głupiego kodeksu karnego!

– Oby go nie znaleźli. Bez niego pozew raczej traci sens. Nas obchodzi, że pogotowie wzięło ofiarę sprzed twoich drzwi! Zdjęcia policyjne ukazują krew na przydomowym podjeździe. Adwokat ofiary powie: „To żaden miejski chodnik lub asfalt!”.

– Chłopak, ślaniając się, mógł upaść ileś kroków dalej?

– Tylko bardzo drogi adwokat przekona o tym przynajmniej ośmiu z dwunastu przysięgłych.

Nieszczęsny stomatolog czuł się, jakby wrywano mu wszystkie zdrowe zęby.

– Mamy ubezpieczenie od pożaru i wypadków na posesji... – wymamrotał.

– Znam sprawę, kochanie, gdzie przechodnia na budowie pręt uderzył w skroń i stracił oko. – Sara tuliła go niczym matka. – Ze swej polisy dostał pół miliona dolarów, a półtora miliona wypłaciła firma budowlana. Cena oka jest zależna od wieku, profesji ofiary... no i przewidywanego honorarium adwokata. Dużo też płacą za kręgosłup; za rozległy paraliż. Zabawne, że więcej niż za śmierć. Tu odpada koszt wszelkich operacji i długotrwałej rehabilitacji.

– A ile w końcu kosztuje śledziona? – zapytał, chowając steraną głowę w „matczynym” gigabiuście.

– Musiałabym sprawdzić... Wiem, to źle brzmi, lecz sędziowie i przysięgli są zmuszeni przestrzegać cennika na śledzionę, nerkę, wątrobę czy coś tam.

„Na ile sędzia Sara też chce wiedzieć – pomyślał – jak pokrętnie trybunał sprawiedliwości szuka »prawdy«?”

– A co ze stopą inflacyjną?! – Jednak nie wytrzymał. – To istna groteska! Ciekawe, czy biust gminnej sekretarki Mary jest aby równy ceną temu Marilyn Monroe u szczytu jej świetności?

„A ile byłyby warte dwa »zderzaki« Sary?” Pytanie to taktycznie zdusił w sobie...

– Nie rozumiesz, kochany, subtelności prawnych.

– Ale, owszem, dogłębnie te moralne! – znowu krzyknął.

– Sędzia czy adwokat też kierują się sumieniem!

– Wątpię.

Idzie do kuchni po deser, byle tylko zapomnieć o śledzienie. A więc jeszcze dwadzieścia trzy miesiące czekania! I tyleż związku z Sarą? Dobrze, że on tylko leczy zęby. Działa po zdjęciu szwów goją się plus minus tydzień pod każdą szerokością geograficzną. I ból jest podobny. A te amerykańskie kodeksy i konstytucje... To udowadnianie tępej ławie przysięgłych, że półmetrowy chodnik może być szerszy niż piętnaście kroków... Zabrakło mu powietrza.

– Droga moja, pies się już nudzi, weźmy go na spacer.

– A kiedy mnie popieścisz?

– Marzę o tym, ale chłopcy... Oni tak to przeżyli. Czy coś im grozi?

– Tylko tobie. Utrata całkiem sporych sum – oznajmiła, jakby z podwójnym naciskiem. – Może nie schwytają sprawcy. A z czasem wszystko się uciszy, ludzie zapomną. Na razie, czuwam nad departamentem śledczym... – Uśmiechnęła się czule. – Opowiedz, jak było w Polsce. A potem w Rzymie. Szkoda, że mnie nie wzięłeś. Co, oprócz dostojnego pochówku, utkwilo ci w sercu?

Poczuł zawroty głowy. W końcu, rozmarzony, wyszeptał:

– Ogrody Villa Borghese... Rzym jest tak boski, że nawet dzień obcowania... znaczy z Rzymem... coś w nas zmienia na zawsze.

Gdy objął Sarę, ponownie ujrzał... och, gdybyż blond włosy czy choćby biało-czerwone flagi lub „*Totus Tuus*” pośród żałobnego tłumu! Niestety, krew na chodniku.

Przez cały tydzień spędza czas po pracy w klinice z synami. Bez gości i telefonów, byle odnaleźć zburzoną harmonię. Dziś wieczorem jeszcze raz obejrzą w domowym kinie *Ojca chrzestnego*. Jutro pogra z nimi w piłkę do jednej bramki, a jeśli nastrój dopisze, będą ścigać się na swe ulubione potrawy. Starszy zrobi sałatkę, młodszy pudding, a tata będzie sprawdzał co chwilę makaron al dente w kipiącej wodzie. Wreszcie i pies pochodzi na regularne spacerowy.

Równie ważne, że jego pan leczy swój stres. Obezwładni złą pamięć więzami krwi. Z nich będzie czerpać nadzieję i siły. Potrzebne mu są na dwuletni termin kodeksu cywilnego, ale ani trochę dłużej!

Kiedy idą w stronę starego cmentarza i ostatnich gajów pomarańczowych, starszy syn dość przenikliwie zauważa:

– Źle, że rzadko spotykasz się z Sarą. Jest dla nas taka dobra...

Ostatnio tyczy się to i innych jego znajomych. Och, świetnie rozumie obawy syna o utratę sądowej opiekunki rodzeństwa. Zna też na pamięć refren Sary: „Żadna z twych, słyszałam, licznych kobiet tak się nie poświęcała dla ciebie!”. To wszystko prawda, ale i on dla żadnej innej nie poświęcił chyba tyle, ile dla Sary! Zresztą trudno mężczyźnie być uczciwym wobec natrętnej kobiety! Nie wie, co odpowiedzieć osiemnastolatkowi. Boże broń coś w tonie wykładu... Jeśli jest teraz odrobinę nie fair wobec Sary, to tylko z ich, synów, winy!

A damsko-męskie rozterki były dobre przed trzydziestu pięciu laty. Dzisiaj, z siwym włosem, prostatą i bagażem doświadczeń, ma ledwie niewielki procent swych dylematów z młodości. Co, arytmetycznie, trochę mu ich jednak przysparza! Nie, nie, faktyczny problem to synowie! O ile ma sens prowadzić ich za rękę, by znów nie popadli w to swe... Chwalebne „czynienie dobra” traci pod mikroskopem urodę swych kolorów... Gdyby za odpis z podatków odbudował kiedyś w Andach całą wioskę po trzęsieniu ziemi, wdzięczność peonów i tak pozyskałby ich szaman za swe modły!

– Naszemu sznucerowi wasza mama przez jedenaście lat podstawiała miskę, czesała go i wysadzała na dwór. Wszyscy chwalili jej „dobroć”. Ja, prócz rzadkich spacerów, znajdowałem mu co miesiąc sukę w ciecze. Wracaliśmy jak

dwaj kumple z przepustki do koszar... Nie było tam ani grama mej opiekuńczości. I Arbut szalał, gdy wysiadałem o dziewiętnastej z samochodu, a potem leżał przy mej nodze, kiedy oglądaliśmy film.

– Dlaczego ty, tato, zawsze porównujesz ludzi do zwierząt?

– Bo człowiek, synku, to odbicie świata przyrody. Na psychologii studenci zaczynają od fizjologii żaby.

Sara nie jeździła konno przez te jej zwyrodnienia kręgosłupa. Towarzyszyła mu na ranczu, tylko aby z nim być... On też udawał się tam nie z samej pasji dla hipiki. Ich wymuszaną na nim wspólną kolację ze śniadaniem zastępował kwadrans (ostatnio milczącego) dojazdu samochodem na padok i wreszcie jego kilkugodzinny trucht, a potem galop na grzbiecie, niemłodej też zresztą, klaczy.

Sara, trochę z nudów, trochę z ciekawości, spaceruje po ranczu wśród eukaliptusów i zagród dla koni... Mówi się między najemcami, że nowy właściciel rancza podwyższy roczną opłatę. Najwyżej zabierze swą klacz... Sara znów żali się, że tak chce uczestniczyć w jego życiu, on zaś albo jest w siodle, albo czułą pamięcią przy trumnie papieża. Jej, zadbanej, uczesanej, już prawie nie widzi. A gdy wrócą do jego domu, naiwni sąsiedzi ujrzą papużki nierozłączki... Wracali również w milczeniu.

Któregoś dnia podniecona Sara nachodzi go z zaproszeniem na bankiet kongresmena partii republikańskiej.

– Będą koledzy z całego sądu stanowego. Paru chce cię poznać. Mamy stolik z prezesem banku, kapitanem straży pożarnej i... komendantem policji, który nam pomaga!

Już w samochodzie. On, na wizytowo, pod krawatem, mało ciekawy inauguracji kadencji republikańskiej, słucha Sary z rosnącą uwagą.

Więc ten sam komendant prowadził „korzystne” śledztwo w sprawie zapraszającego ich kongresmena? Pierwotnie ów polityk znalazł się w poważnych kłopotach w związku z rozbudową centrum turystycznego w lokalnym parku krajobrazowym na pustyni. Wykryto tam nadużycia finansowe. I wcale nie drogi adwokat, lecz pan komendant uratował kongresmenowi stan jego konta bankowego! W ogóle nikomu nie stała się żadna krzywda...

Sara, w misyjnym zapale, aż sięgnęła do rozporka stomatologa, który obiema rękami ścisnął tylko wytrwale kierownicę porsche.

– Otóż ów kongresmen – ciągnęła Sara – najpierw zwerbował finansowo do swego turystycznego projektu Ligę Ochrony Przyrody. A równolegle jego córka pisała pracę magisterską i badała rozwój ptaków drapieżnych, głównie sowy mikrosoculanej, w tymże parku. Rosnąca na papierze liczba sów zwiększała tacie kongresmenowi dotacje na jego projekt. Wkrótce z badań córki okazało się, że wobec istniejącego szarańczyków ich lokalny rezerwat wymaga budżetu Yellowstone National Park. I tak też obficie wpływały pieniądze federalne, stanowe i od prywatnych fundacji. Postawiono ogromną bramę wjazdową, odmalowano budki informacyjne, a rzutki kongresmen przeciął wstęgę. Zaś spore nadwyżki finansowe zasiliły jego kampanię wyborczą oraz... dalsze studia córki w Stanford, gdzie roczne czesne to czterdzieści tysięcy dolarów! Stąd wzajemna sympatia całej rodziny kongresmena z komendantem, który od tego czasu nie draży sedna całej sprawy, bo też czeka na różne dotacje, nie tylko dla swej policji... Politycy, mój drogi, to niebieskie ptaki z potrzebami. No, niby jak każdy... – Sara westchnęła, aż zaparowały szyby w porsche. – Tyle że są sprytniejsi od szarego tłumu, więc zawsze zwietrzają odpowiedni czas i wyniuchają zyskowne miejsce dla siebie. Co bardzo zwiększa rząd tych ich potrzeb... Milej spędzilibyśmy ten wieczór w mojej sypialni, ale czasami muszę poplotkować przy szampanie; nie dość, że z komendantem, kongresmenem, gubernatorem, to i ze średnim szczeblem. Tobie, stomatologowi, dość coś wyrwać, zlikwidować próchnicę, wstawić. Ci ludzie są nieusuwalni! Zazdroszczę ci.

On, z usposobienia biolog amator, wie już od dawna, że tylko Matka Natura jest uczciwa. Przy czym takie właśnie przekupne sądy stanowe i policja mogą być w jego tragicznej sytuacji ratunkiem przed możliwym bankructwem z racji odszkodowania. Pamięta, że grząskie torfowiska w starym kraju czy sanatoryjne kąpiele błotne stosowano jako lek na schorzenia kośćca...

Po uroczystej kolacji dyskretnie się wymknęli. Z inicjatywy Sary... Lecz przed jego domem mocno ją przytula i, po rytualnym całusie, kieruje do, równie jak ona, zużytego volvo.

– W tym tygodniu... będę dość zajęty, ale na pewno zadzwonię. – Chwilę gładzi ją po włosach.

– Choć jedna noc do rana, kochanie! – Sara wzdycha przez uchyloną szybę.

Pomachał jej na pożegnanie. Oby wilgotna chusteczka posłużyła kiedyś za *happy end* tej tragikomedii.

Niezbyt chętnie wyjmując nazajutrz ze skrzynki kartkę pocztową ze znajomym pismem: „Będzie łoś w koperku, kochany mój. Tęsknię, żebyś mnie na nowo uwiódł. Zawsze twoja, Sara”.

Już wyciągnięty w swym bezpiecznym łóżku spogląda na kalendarz „więźnia” ze skreślanymi dniami niewoli i otula głowę poduszką. Chyba lepsze obcowanie z samym sobą niż – „dla świętego spokoju” – z żadną czystych uczuć panią sędzią. W półśnie szepce:

– Już tylko rok...

Do rana będzie rzucał się pod kołdrą. Ile jeszcze tej mordęgi i wykrętów?

– Zrozum, najdroższa, klinika, dom, moje wynajęte rezydencje, ranczo, dorastający chłopcy... – mamroce.

Budząc się rano, odwraca kalendarz przodem do ściany.

Podśpiewując Byle do wiosny, z całą mocą odśnieża podjazd. Jakby w ten sposób mógł walczyć z czasem? Zakochani chcą, aby ten czas był jak guma do żucia. Im dłużej się ją przeżuwa, tym lepiej. A tu... Gdyby nie zagrożenie ruiną finansową, z powodu ewentualnej sprawy cywilnej, rozwinąłby skrzydła na całą ich szerokość i leciał gdzieś, hen! Nie sam ze sobą! Znalazłby kogoś dla uciech partnerstwa i przez... hm... ciekawość testowania jakichś nowych wiatrów. Coś lepszego zawsze się upoluje. Właściwie, czemu nie Andy!? Jak dobry generał, który nim zdobędzie nowy przyczółek, zapewnia swej armii bezpieczny odwrót, tak on często traktuje w myślach swe plany podróżnicze.

W Andach był niedawno José ze swymi, pozazdrościć, udanymi synami... Wrócili pełni wrażeń. Stomatolog o swym, jeszcze wciąż dalekim, projekcie nie powie chłopakom. Ani Sarze, która zechce do nich dołączyć, a stanowczo odsunięta będzie go męczyć do samego odlotu. Po kilku tygodniach górskich wakacji nawet i to cywilno-sądowe zagrożenie zmaleje...

Aż przez najbliższe dni ośmiela się nie oddzwaniać do Sary. Ona i tak sprawdza z samochodu, czy światła w domu się palą oraz czy może jest z nim jakaś kobieta. Lub parkuje ulicę dalej, by spotkać go, gdyby akurat wychodził z psem.

Więc nie chodzi...

I znów liścik pocztą: „Mama obchodzi osiemdziesiąte urodziny i też chce was widzieć. Drogi mój, spędźmy Boże Narodzenie jak przed rokiem. Proszę...”.

Tu na nic jego wykręt rodzinnym krajem. W Andach nie ma chorej ciotki, wuja gruźlika ni grobu rodzinnego. A i papież już pochowany. Nagle Andy stały się dlań ważniejsze niż bezpieczeństwo majątkowe rodziny. Między nim a Sarą wyrosła przepaść. Niestety, czuje Sarę za paznokciami od rana do nocy; ma obawę, czy ta najbliższa jeszcze będzie wolna...

Tymczasem Sara łądzi się, że to przejściowe i przy jej staraniach wyjdą ze wzajemną miłością na prostą. Mawia, średnio odkrywco: po burzy zawsze jest słońce... W jej wyobraźni normalny kryzys uczuć zażęgnuje długi spacer i rozmowa. Dla niego to zapaść krążenia, nowotwór, rozpad tkanek.

Rzeczywiście, po faktycznej burzy aura się uspokaja. Najlepsze zdjęcia wychodzą po grzmotach i ulewach. Ale ten obecny czas trwał szarówką i stęchlizną; należało go ostatecznie przerwać. Lecz nie da się ukryć, że, choć bardzo majątny, stomatolog wciąż się bał! Stąd i przy tej mordędze z synami powtarzał swe życiowe *credo*: byle do wiosny. Sarze napisał w końcu:

Droga moja, z bólem wykupiłem lot dla nas trzech do Boliwii. To stąd, że eskapada w wysokie Andy jest trochę kosztowna. Ze względu na ferie szkolne chłopców wyruszamy w święta. Ten wspólny pobyt jest im niezbędny. Uwierz w moją, a raczej naszą, wdzięczność za twą szlachetność. Nadal gorąco polecamy się tobie...

Trudno, żeby Sarze doprecyzował coś o koszmarze sprawy cywilnej, o pijawkach adwokatów i w sumie o ewentualnej ruinie finansowej rodziny na lata. Lecz nosi w głowie ten kalendarz „więźnia” niczym zegarek na rękę.

Już ponad rok takiego czekania ukradł mu pół radości życia. Dusić się w tym codziennym niewolnictwie w zamian za miękkie lądowanie, to po ludzku (po męsku?) niesprawiedliwe! Na szczęście tego nożownika i reszty bandy nadal nie złapano, ofiara po rehabilitacji wróci w przyszłym roku na studia, a i ludzie przestali plotkować. Więc zabezpieczanie sobie prawnych tyłów w łóżu Sary i męska depresja przez kolejne miesiące byłyby astronomicznym kosztem. Pełne ozdrowienie to Andy, Boliwia lub... któryś biegun?!

Ostatnio widział się na długiej smyczy, która sięga kliniki, domu, marketu i obu sypialni. To wprawdzie gwarantuje bezpieczeństwo pieska, lecz nijak mu się ze smyczy zerwać, choć on, pupil, chciałby czasem ubabrać się w nieczystościach!

– Moja mama gorąco cię zaprasza. Wigilia jednoczy ludzi. Na Boga, spróbujmy! – krzyczy, kiedy znów jest u niego.

Potem mówią w różnych językach, bez tłumacza. On jest myślami na szczytach Andów, w Boliwii i w Rzymie...

Lecz pocieszeniem to, że za niespełna rok Sara na pewno przestanie pisać, dzwonić, przychodzić wieczorami... Jej kolejne lamenty o nieprzespanych nocach, może ryzykownie, już teraz wyrzuca do kosza. Bliższe są mu jego własne zapiski w starym notesie, owocu-relikwii szalonego związku sprzed sześciu lat. Z ich perspektywy chętnie wskrzesiłby choć jeden z tamtych tragicznych wieczorów w miejsce aktualnej niby-stabilizacji.

Wtedy, sam będąc odtrąconym przez „kobietę życia”, cierpiał szczególnie, bo bez odrobiny wzajemności. Z czasem wyliział te rany, jak przystało na lirycznego, ale jednak pitbula. Jakieś odszkodowania cywilne i honoraria łupieżców adwokackich bez namysłu by wtedy obsikał. Cierpiał, bo nie był kochany! Czy dziś dlatego lepiej rozumie męki Sary? A skądże! Wzruszony do łez tamtym sobą czyta:

Myśli mam różne. Wpierw niedowierzanie, ból złamanego serca, że utraciłem Laurę, w końcu dominuje wściekłość. Pytam siebie, czy to już absolutny koniec, czy może jeszcze się zejdziemy. Więc trzeba by wysłać drogie róże na jej urodziny? Eee, lepiej po moim powrocie z Hiszpanii... Też nie! Zaproś ją człowieku na swój photo-show w Riverside!

Skąd brał mu się wtedy ten ogrom bezinteresownych uczuć w sercu?! Mimo sześciu minionych lat to ten sam organ, identycznie sprawny, a jednak apetyt na wielkie uczucia ze strony kobiety zerowy! Dziwnie zakłopotany sobą sprzed lat, już zadziwiająco mało romansowy, stomatolog zasypia... Śni o boliwijskich wyżynach, a w końcu andyjskich szczytach.

Przez następne tygodnie: klinika, dom, chłopcy... No i znajomy samochód za oknami! Najczęściej po dwudziestej drugiej. Raz chłopcy widzieli Sarę za kierownicą w piżamie! Pamięta ją: kremowa, jedwabna, prezent na dwulecie ich związku. Czyżby ona cierpiała z powodu utraty kochanka tak, jak on wtedy przez

Laure? A dokładniej przez logiczny brak szansy na ich dalszy związek. Kto wie, może ten z Sarą i dla niego jest ostatni?

A jednak Sarze nie współczuje. Leczyć czyjąś duszę z nieszczęścia, to sypać sól do własnej. Wolałby pieprz... Czyżby dwa lata spędzone z nią nieco wykoślawiły mu jego zdrowe katolickie zasady? Gdy teraz wraca od dłubania w cudzych zębach, remedium jest stary notes pod poduszką.

Dziś w klinice nie odczuwałem tej boleści w gardle i klatce piersiowej. A sam w łóżku coś sobie wykalkulowałem. Jeśli wyrzeknę się kobiet przez rok, Laura uzna ten celibat za znak mojego oddania i dowód wierności. Oby tylko nie wzięła tego za moją nieudolność życiową. Sam nie wiem.

Teraz wie! Boliwia i czysto sportowa turystyka!

Lotnisko, jak zwykle przed świętami, jest zatłoczone; jakieś opóźnienia i odwołania. Ale są tylko we trzech... Znów ujrzy świat przez obiektyw szerokokątny. Zaś odrzutowiec rychło ukaże nowe horyzonty.

Przy bezcłowych kosmetykach namierza gustownie ubraną trzydziestokilkulatkę. Czeką bodajże na odlot do Sydney? Ta matka dwóch kręcących się po korytarzu chłopców trochę zabija czas czytaniem. On swych wyrostków chyba nie musi pilnować? Obcy sobie podróżni jeśli o coś się z nudów pytają, to o warunki atmosferyczne lub kierunek lotu. Ona zaczepia go jak feministka:

– Wyglądasz na Europejczyka.

– Słyszałaś mój akcent.

– Zamówiłeś cappuccino w filiżance zamiast w papierowym kubku i zakładasz nogę na nogę, czego kowboje nie robią.

– Bo ja wiem...

– Wyniosłeś to z innej kultury. W domu na pewno nie kładłbyś nóg w butach na stół.

Zaniemówił. I jeszcze wydedukował, że ta (chyba) Australijka z amerykańskim paszportem nie przepada za westernami. W ogóle jest jakaś inna...

– Tak z ciekawości: jak długo mieszkasz w USA? – wydusił z siebie.

– Dziesięć lat w Kalifornii, przedtem pięć w Nowym Jorku, ale jeszcze wcześniej w Londynie. Stąd mój australijsko-londyński akcent. Zawsze na lotnisku obstawiam, jak w ruletce, narodowość innych. Rzadko chybiam. Amerykanów można poznać na kilometr. Ty zapinasz pasek u spodni z prawej na lewą! U nich musi być wszystko odwrotnie.

Słucha i nie dowierza. Ta dama, niczym facet na podryw, taksuje go ze smaczną odrobiną cynizmu. Więc i on jej kształty ocenia... hm... po europejsku (?), od pasa w górę... Najchętniej oceniłby ją w ruchu...

– Więc jesteś, kolego, z Polski! Mieliśmy tam lecieć zeszłego lata, ale moje małżeństwo nie dotrwało.

– Szkoda. Mamy najlepsze na świecie wędliny i ciasta.

– Mój eksmąż, kardiolog, znów leci na wykłady do którejś waszej akademii medycznej, a ja z dziećmi do Sydney odwiedzić dziadków.

Za chwilę rozejdą się do różnych bramek. Dziwnie chce utrwalić pod powiekami tę kuszącą intensywność jej oczu. Bo nie są do sfotografowania. Górne jarzeniowe światło potęguje zmarszczki, nawet u trzydziestolatki. Zatrzyma też w pamięci długą, jędrną szyję. No i to jej feministyczne podejście.

– Na lotnisku i w pubach chętnie rozmawiam z obcokrajowcami. Nie są, po amerykańsku, megalomanami (co tu wchodzi w krew już od przedszkola). Śmieję się z nimi po europejsku z prezydenta Busha i wrogów teorii Darwina. A nie daj Bóg trafić na kogoś z tych obecnych „*born-again*”!

Została minuta. Już jest gotów zmienić kierunek lotu na Australię i odesłać chłopców do domu. Gadaliby sobie intymnie przez dwadzieścia godzin lotu... Swym: „spotkajmy się...” chyba ledwie uprzedził rozmówczynię, bo parsknęła wyzywająco.

– Będziesz głupi, jak nie zadzwonisz. – Daje mu swą wizytówkę.

– Na pewno tak. Gdy tylko wrócimy z Boliwii!

Jej wzrok na nieamerykańskim zapięciu jego spodni... Czyżby zmierzający od pasa w dół!? To musi mu wystarczyć na trzy tygodnie!

Półśniąc o niej, osaczony synami w fotelu jumbo jeta, swój kalendarz „więźnia” już ciska do śmieci. Ale notes, przesiąknięty cierpieniami niekochanego wówczas samca, zachowa... Na dziesięciu tysiącach metrów, będąc o tyle bliżej, oby łaskawszego mu w tym przypadku, Boga, rozmarza się... A może pomylił rejsy i też leci do Sydney?

Po czterech dość szalonych latach widzi Sarę w supermarkecie... Wolno pcha wózek z zakupami, w ogóle nie obracając głowy. Ślimaczym ruchem sięga po chipsy na półce. On, stojąc kilka metrów za jej plecami, natychmiast zrozumiał, że powoduje to gorset, starannie przykryty szalem i luźną koszulą. Więc tylko owa sztywność ujawnia jej przedwczesne zniedołężnienie! Gdy z jej półwładnych rąk (na jednej z dłoni dumnie lśni obrączka!) wypada pudełko, stoi bezradna. Nie skoczył, by jej pomóc, chociaż kalifornijscy znajomi zwa go polskim dżentelmenem. Zakreślił się i ruszył z pustym koszykiem do kasy.

Tej, jakże szlachetnej, kobiecie całował ręce, usta, piersi... Są niezmiennie gigantyczne! A dziś... Woli zatrzymać w pamięci dość estetyczną Sarę sprzed apogeum jej osteoporozy, choć już wtedy z trudem wdrapywała się na swe półortopedyczne łóżko.

To ówczesne szpikowanie się estrogenami (dla niego, by przywrócić wilgotność pochwy!) przyspieszyło demineralizację kości u Sary! A ciężar jej ogromnego biustu spowodował dalsze zniszczenia w kręgosłupie. Lecz obserwując tragedię tej nieszczęsnej kobiety, stomatolog odczuwa równie wielką ulgę, że w jego samotnym, ale znów kawalerskim łóżku, nie ma takich damskich problemów.

Onieginowi z pierwszego aktu opery obce były niedobory hormonalne u rozlicznych partnerek. Pomyśleć tylko, że kiedy po wielu latach Oniegin spotkał na balu zamężną Tatianę, ta, choć kwitła dawną urodą, mogła też być poślubiona rakowi szyjki macicy! Nie wiedząc, że jest szczęściarzem, samotny Oniegin błagał Tatianę o względy... Jak kiedyś stomatolog Laurę. A jeśli on skusi się na tę Australijkę? To dobrze! Każda następna miłość jest wyrwaniem kłów tej poprzedniej.

Niebieski wulkan

Postanowił! Swe sześćdziesiąte czwarte urodziny spędzi na szczycie sześciotysięcznika w Andach! Dotąd zwiedził niższe partie tych dziwnie podniecających go gór, w Boliwii... Za każdym razem wracał pełen wrażeń, podbudowany także swą cielesną sprawnością.

Naładowane turystycznie baterie zawsze dawały mu energię na wiele miesięcy. Tak długo mógł żyć bez adrenaliny, którą, pomijając powiększanie stanu swego konta bankowego, najlepiej wyzwał w sobie, podróżując po świecie. Żeby nie wspomnieć o romansach... Sama myśl o nowej podróży, tym razem już w najwyższe Andy, łagodziła mu udrękę związaną zarówno z dziesiątkami lokatorów, jak i z pracownikami jego wspaniale rozbudowanej kliniki.

Gdy wracał skądś do CA, irytował się też jako ojciec, który ciągle samotnie poskramia dwóch, z wiekiem nic łatwiejszych, dryblasów. Po klinice włączał

domowe kino; najchętniej coś z National Geographic, bo randkowe portale, dawno stwierdził, to lizanie cukru przez szybę. Kiedy ją coś rychło stłucze, staje się nieprzyjemnie... Ciekawsze są szczyty (może za tysiące lat znów plujących lawą?) wulkanów. Okryte lodowcową zmarzliną ciągle prowokują...

Obłożony mapami i przewodnikami z uporem planuje tę decydującą ekspedycję.

Wyjazd za parę miesięcy, lecz on, z miłosną wnikliwością, już teraz sprawdza w garażu, czy buty się nie zdeformowały, a plecak został dość dobrze wypchany gazetami. To tania oraz skuteczna konserwacja sprzętu alpinistycznego.

On sam przygotowuje się, podobnie jak ogier, wprawdzie wysłużony, ale z długim rodowodem, do skoku przez znaną przeszkodę. Dawniej równie czule szykował się do wejścia na trzy- i czterotysięczniki. Może dlatego żyje? Przed kliniką, skoro świt, biega kilkanaście kilometrów, po pracy łapie kondycję w przydomowym basenie. Ale najcenniejszy i darmowy trening to weekendowe wycieczki w lokalne góry; nawet w te, których wysokość nie przekracza dwóch tysięcy metrów...

Nie przepłacił też swej nowej posiadłości z widokiem na pasmo gór – zupełnie jak w jego poprzednim domostwie. Malowniczo ośnieżony łańcuch podnosi wartość piętrowego budynku z tarasami; wszystko w stylu czystego *mid-century*. O kolejne kilkadziesiąt tysięcy dolarów winduje cenę własny park w wąwozie. Całą pracę wykonali Meksykanie (dziesięć dolarów za godzinę), a nie żadna oszukańcza firma ogrodnicza! On preferuje osobistą kontrolę podwładnych.

Wsparty o kłęb rozszalałego ogiera z brązu (słynna rzeźbiarka daremnie trzymała wysoką cenę) nie szuka wzrokiem swych wynajmowanych rezydencji w dolnej panoramie miasta. Wszystkie nabył z bankowych licytacji (żadnych kredytów!); są i będą jego, póki to się opłaca.

Dzisiaj najważniejsze jest dla niego przygotowanie do planowanej wyprawy. Codziennie biega, pływa i ćwiczy na siłowni. Jednak równie cenne są dlań liryczno-filozoficzne medytacje. Zastanawia się, ile jeszcze jemu, sześćdziesięciokilkulatkowi, zostało szczytów do zdobycia. Kiedy ma się smakować życie, jeśli nie będąc na (tak zwanej) emeryturze?

Taki rozmarzony od paru wieczorów zawzięcie dopracowuje harmonogram oraz logistykę andyjskiej marszruty. Bez synów, jak w okresie ich dorastania.

Niech wpierw, czysto po amerykańsku, sami się wyciągną z tego, w co się wpakowali.

Mógłby na tę wyprawę zwerbować wiernego przyjaciela José (szlifowałby przy okazji swój hiszpański), mógłby znaleźć podobnego sobie, zamożnego alpinistę na Facebooku, ale głupio w tym wieku docierać się z kimś obcym w ekstremalnych warunkach. On, samotny wojownik, lepiej weźmie jako partnera kobietę wytrzymałą jak lwica, która wraz z samcem popędzi za stadem antylop. A nadto jest czuła w dotyku, co przy założonym przezeń owym ekstrasprowadzanie pod chmurami jest, być może, jeszcze ważniejsze...

Przeglądając stare albumy, zupełnie jak podczas castingu do ekipy lekkoatletek, odrzucił niezdatne kandydatki. Zostały mu dwie. W końcu pocziwą Julę przyszpilił do mapy Ameryki Południowej. Z Julą chyba da się przemierzyć najdziksze zakątki świata.

Od roku co tydzień bywają w tych samych klubach milonga. Wyczuwają się na parkiecie jak dwa konie od jednego dyszla. Och, w salonie też. Ale czego dowie się o niej, gdyby przyszła godzina „białej śmierci”?

Julia to dziewczyna wysportowana, lecz o kobiecych kształtach; cienka w pęcinach, z miednicą jak globus na linii równika, który zwęża się im bliżej biegunów.

Tego wieczoru dzwoni i pyta jej... oj, może przedwcześnie:

– Polecisz ze mną na wspinaczkę w Andy? Ja płacę!

– Z tobą i na Kamczatkę, lwie!

– Eee, tam są wyrzuszenia ledwie do dwóch, czterech tysięcy metrów, a mnie się marzy sześciotysięczny „wulkan”!

– *Oh, my God!* – krzyknęła radośnie, by zaraz spuścić nieco z tonu. – W czasach akademickich chodziłam po Górach Skalistych, ale to było niżej i ćwierć wieku temu. Sama nie wiem...

– Spokojnie, tam na miejscu wpierw obowiązuje aklimatyzacja. – W myślach rozbijał już dolny obóz.

– Tylko co zrobię z moim Yeti? Nie rozstajemy się ani na krok.

– Mamy tu w okolicy hotele dla psów, także z opieką lekarską... – Szybko ugryzł się w język, bo koszt i tego spocząłby na nim! – Albo nie, hotel dobry na weekend. Może zostaw go na te parę tygodni u sąsiadki?

– Jest wiekowa, a Yeti musi wychodzić na spacerzy trzy razy dziennie i ma dietę.

– Może jakaś koleżanka? Bezpiecznie dla psa i unika się zbędnych wydatków.

– Wszystkie pracują, mają dzieci, mężów...

Czyżby Julia droczyła się strategicznie?

– Zostaje nam, moja droga, student z któregoś college'u. Przed naszym odlotem dam ogłoszenie. Za sam pobyt w rezydencji z pełną lodówką, sauną i jacuzzi chłopak prócz opieki nad psem wypieli i podleje ogród. – Objął rozpoznawczo tajemniczo interesowną Julę.

– Wytlumacz mi coś, mój lwie. Prócz rajdów konnych podobno już wspinałeś się w tych Andach, a trudnych szczytów jest wszędzie co niemiara. Rzuć okiem na globus...

– Tak... Himalaje. Kilimandżaro, Elbrus... Te korony świata przyciągają tysiące alpinistów. Licytowanie się na metry, owszem, pociąga. Ale ja wpierw muszę czegoś dotknąć, bym do tego tęsknił, droga Julio. – Tu zerknął na jej wzgórek Wenery. – Inaczej jest mi to obce, czyli obojętne. Świetnie znam Boliwię i dlatego wciąż kuszą mnie wysokie Andy...

Julia, gładząc wybrednego zdobywcę po udzie, płynnie skłoniła głowę...

– Na Cotopaxi przegrałem podejście omal tragicznie – ciągnął on to swoje. – Gdyby nie refleks przewodnika, runąłbym z oblodzonej grani sto metrów w dół.

Głowa zasłuchanej Julii wciąż się chyliła.

– Potem, z duszą na ramieniu, sapałem, zresztą jak pozostali turyści, niczym astmatyk. Trzy łapczywe oddechy i ledwie pół kroku; bez czucia w zdrętwiałych od

mrozu palcach, a również i w mózgu...

Jula tymczasem zaszła dłonią w górę jego uda...

– Kusilo nas, żeby sprawdzić czas i wysokość, lecz zegarek i wysokościomierz miał tylko przewodnik. Tam każdy postawiony krok domaga się litra tlenu do płuc!

Spoczęła na jego twardym – lecz tylko – udzie policzkiem.

– Przy 5335 metrach zakłóca ciszę jedynie skrzypienie pod butami; oślepia zamazana biel. Słyszac, że do szczytu ciągle parę godzin, prawie przewodnika udusiłem.

Zerwał się, by spojrzeć na lokalne góry, więc Jula, westchnąwszy, poprawiła włosy.

– Najprościej, mój lwie, było wrócić. Biel śniegu czy panorama gór, choćby hen pod chmurami tak mało się zmieniają. A na pamiątkowej fotografii są identyczne!

Czyżby zwątpiła...?

– Nie znoszę, Julio, przegrywać. I choć tamta noc była porażką, wierzyłem, że zdobędę prawie sześciotysięczny Cotopaxi. I nadal wierzę!

Jeśli trochę dramatycznych szczegółów, a może i faktów, wzięło się bohaterowi z internetu, to przecież podświadomie...

Jula wstała i objęła (czyżby „*non profit*”?) stomatologa zapatrzonego w miejski pejzaż. Na ile ten przebojowy samiec mógł odczytać błysk leciutkiej ironii w jej oczach? Spiesznie zatrzepotała powiekami...

– Dlaczego się wtedy poddałeś?

– Zabrakło mi sił, by się przeżegnać. To dobry Pan Bóg dał sygnał na mój niezwłoczny powrót do bazy. Wielu głuchych na niego dusi się z obrzęku płuc i ginie w lodowym mroku. – Trochę jakby się zapędził fabularnie, tak o co najmniej dziesięć tysięcy metrów...

– Z ciebie to jednak niewyżyty showman. – zachnęła się Jula.

– Mimo mojego wyśmiewanego przez ciebie katolicyzmu zachowałem rozsądek! – Uśmiechnął się. – Choć wulkan już w połowie drogi pożarł mi energię jak Indianin serce ubitego niedźwiedzia. Taki wypatroszony z samego siebie naprawdę nie czułem bólu ani zimna. Śnieżna biel wręcz czerniała mimo pełni księżyca... Dopiero każdy krok w dół zdejmował mi kilogramy z piersi. W bazie dyszałem jak karp wigilijny.

– I po latach znów wyzywasz Matkę Naturę?

– Na pewno mięśnie osłabły, w stawach piszczy... – Zadarł głowę, w to ostatnie szczerze wątpiąc. – Lecz goni mnie czas. Kiedy, jeśli nie dziś? Podobnie nie wierzę, Julo, żeby on, sześciotysięczny, całkiem już wygasł. Ciągłe sterczy mi w myślach; kusi i fascynuje. Poznaję go od podnóża kamerami National Geographic lub przez internet jak... student szkielet anatomiczny w prosektorium. Znam grzędy i zakamarki sześciotysięcznika lepiej niż swe konto bankowe. – Zasapał się.

– Przegrana w twym wieku, mój lwie, dopiero kładzie na łopatki.

– Lecz to jedno zwycięstwo chyba przesądzi o całym ich paśmie!

Stomatolog umilkł już mniej pewny kandydatury Juli na wspinaczkę życia. Docenił, że odeszła, by nastawić muzykę... Ale, kładąc po chwili jego ręce na swe piersi, szepnęła:

– Po co ci, mój lwie, martwy od pradziejów wulkan? Tu są dwa krągłe pagórki; wędrówka nimi od góry do dołu też cię gdzieś uniesie! Bez grozy śmierci z braku tlenu...

– Oj, jeden prezydent Francji zeszywniał agonalnie na burdelowej dziwce. – Głuchy na swą niezręczność sięgnął po globus. – Kto wie, może to dla samca najlepsze rozstanie z tym światem?

Zasłuchał się. W głośnikach zawibrował jego ulubiony *Lot trzmiela*... Jula, cisnąc męskie dłonie na swym biuście, tuliła się wyczekująco. Usiedli, a posiwiały lew, nie bez wahania, umieścił głowę Juli tam, gdzie jej miejsce...

Spod koca dobyło się sapanie w zawsze dotąd lubianym przez niego rytmie:

dwa oddechy na jedno posuwiste schylenie kobiecej głowy...

Oby ta wspólna podróż przy symfonicznym Rimskim-Korsakowie po kilku miesiącach... hm... nieruchawości znów sprawiła wypływ lawy z odmrożonego krateru. Oby trwale. I było jak przed feralnym tangiem w Buenos Aires...

Gdy sapiąca Jula ze wszystkich sił prze ku spełnieniu celu, stomatolog, oprócz milonga, proponuje partnerce szereg dodatkowo wzmacniających czynności, na wypadek gdyby jej udział w andyjskiej eskapadzie okazał się jednak realny.

I tak przez następne miesiące ćwiczą razem w najdroższej siłowni, pływają po dwa, trzy kilometry na basenie w jego katalogowej posiadłości *mid-century*. Ostatnią próbą ma być dwudniowy biwak w Sierra Nevada...

Zacząło się wbrew planom stomatologa. Od rana z Julą i jej podopiecznym Yeti czekają na studenta. Ten zgodził się już opiekować psem także przez cały ich pobyt w Andach, nagle jednak dzwoni, że bez ekstra zapłaty nic z tego. Wściekły stomatolog kłamie Juli, że student zachorował, ale... na razie dzieci tutejszego sąsiada nakarmią Yeti, którego posłanie ułoży się na zadaszonym patio!

– To tylko weekend, głuptasku. I żaden wysiłek dla licealistów. A za opiekę dostaną na kino.

Gdy Jula ze łzami żegna najdroższego Yeti, cierpliwie jej tłumaczy:

– Na patio będzie mu dobrze, a i złodziei wystraszy. Zaś drogie hotele dla zwierząt to źródło wirusów i pasożytów – kończy z ekonomiczną satysfakcją.

Nieco spóźnieni ruszyli w drogę, zostawiając, jego zdaniem, bezzasadnie skowyczącą psinę.

Każde z nich z przeładowanym celowo plecakiem idzie już wiele godzin leśnymi ścieżkami, wśród głązów, w topniejącym śniegu. Ślady jeleni i zajęcy są tu dość zwyczajne. Podobnie jak przeszkody w postaci rwących strumyków i powalonych wichurą drzew..

Głęboko zastanowiły obojga turystów napotkane na szlaku jeszcze ciepłe odchody. W końcu zgodzili się, że należą chyba do niedźwiedzia... Prócz, fakt, szczypty niepokoju on poczuł swędzącą ciekawość... Szła tedy brunatna samica z

małym czy takież samiec wracał po swych godach w dolinie? Nie daj Boże któryś z mniej licznych tu grizzly! One, czytał w bodajże „Los Angeles Review”, już kilkoro dwunogich intruzów powaliły i rozszarpały.

– Najlepiej gdyby zwierzę okazało się brunatnym staruszkciem niesprawnym z powodu dolegliwości zwyrodnieniowych! – dodawał odwagi Juli, bo przecież nie sobie... – Otóż dzikie zwierzęta – pouczał towarzyszkę – również miewają chandrę. Bywają złe wskutek inwazji much, czasami z samotności... Syty (także seksualnie) lew jest życzliwszy światu niż ten wygnany ze stada... – Zauważył, że Jula chyba drży. – Bez sensu, moja niemądra dziewczynko, uciekać... Bo w którą stronę? Widlaste pazury mogą wychynąć nawet zza tej oto skały. – Wzdrygnął się. – Najśluszniej rozbić biwak tu, na polanie...

Ponad pięćdziesięcioletnia Jula objęła go wreszcie swobodniej. Hen wysoko straszy masyw ciemniejących już gór...

Zrzuciwszy plecaki, spieszenie rozstawiają namiot. Gromadzą suche gałęzie, rwą trochę nadpękniętych już korzeni, stomatolog rozpala ognisko.

Dziękuję Bogu, że wziął ze sobą finkę z harcerskich obozów na Mazurach. Zetnie i ostruga ten kalifornijski chojak... Dwumetrową dzidę grubości ręki pamięta ze scen polowań na niedźwiedzia z płócien rosyjskich mistrzów, które oglądał jako student z wycieczką „Gromady” w moskiewskiej Galerii Trietiakowskiej za czasów ZSRR...

Myśliwskim zwyczajem wbija gotową dzidę przed wejściem do namiotu; układa tam też zebrane kamienie, od rozmiaru melona do pomarańczy. Wszystko na okazję nocnego zagrożenia i podniecającej walki o bezpieczeństwo, a może i życie Juli.

Przydźwiganą żywność wieszają trochę dalej na gałęzi sosny. On, nawet gdy sika o krok od ogniska, ściska swe dwumetrowe narzędzie. Zaś za każdym razem, kiedy dorzuca drew, powtórnie ostrzy dzidę. Niech uśmierci ona grizzly jak indiańska strzała gnającego przez prerię bawołu... Z bólem przelicytował takie płótno w Sotheby's w Beverly Hills; lecz szkoła amerykańska z lat pięćdziesiątych wyraźnie zwyżkowała...

W środku nocy tym razem Juli chce się sikać; ponoć z zimna, ale na pewno z nerwów. Stomatolog przeto towarzyszy protestanckiej legalistce, niczym Winnetou swej squaw, aż paręnaście metrów za najbliższe drzewo.

Potem co jakiś czas wstaje, by podtrzymać ogień. Rozpala też drugi, z tyłu namiotu. Taką dwustronną osłonę – sposób myśliwych na wilki – stomatolog pamięta z nowel Jacka Londona.

– Czy w Andach też będą niedźwiedzie? A może i grzechotniki? – zapytała Jula ze swego śpiwora z dostrzegalnym dla niego, supersamca... Czyżby pokazowym strachem? Ale właściwie po co miałyby to robić...?

– Skądże! Tam na stokach są lamy i alpaki, zaś krążące po niebie kondory porywają najwyżej jagnięta. Nikt nikogo nie zagryza ani jadowicie nie kąsa.

– Och, jak to dobrze.

Jednak to, co właśnie szurnęło o wierzch namiotu, tylko ona uznała za ćmę.

– Ale rozrzedzone powietrze hen w górach, kochana Julo, da radę i Godzilli. Morderca grizzly byłby tam grzeczny jak chomik. – Wzdrygnął się on.

– Jak mój kochany Yeti. – Szczerze się rozczuliła.

– Uspokój się, u mnie na patio Yeti ma dobrze... W Andach więcej ludzi pada z braku tlenu niż tu, w Sierra Nevada, od ataków niedźwiedzi i pum.

Skrajnie... hm... drżąca Jula chwilę się wierci, by w końcu węzowym ruchem wślizgnąć się w jego śpiwór.

– Złączeni stawimy większy opór niedźwiedziowi – oznajmia znów tonem dziewczynki, chociaż rozpustnie przykleja się do stomatologa.

On odczuwa tę Juli obecność w śpiworze poprzez wyjątkową ciasnotę nóg i tułowia. Nawet niebieska pastylka (od czego wciąż jest jak najdalszy!) nie przydałaby mu tak oczekiwanego męstwa... W ich wąłym namiocie rośnie tylko niepokój i ukrywana przed sobą nawzajem bezradność. Ani porozmawiać, ani pomyśleć o czymś swobodnie.

Nagle dał się gdzieś słyszeć (dziwne, że ponoć tylko jemu...) trzask łamanych gałęzi, zwierzęce sapanie i dziwny warkot. Zdawałoby się, jakby para megadrapieżników ustalała... hm... warunki kopulowania. Nasz dwunogi ssak, już dzierżąc dzidę w godnej pozazdrosczenia gotowości, wyjrzał przez okienko w

płótnie namiotu...

Rzut oka w lewo i w prawo. Na pozór nic się nie dzieje... Ogień, ich drugi stróż przed upiorami nocy, jeszcze płonie... Znów obronnie ściśnięci w jednym – jak koniecznie chce Jula – śpiworze trwają w półśnie. Ciało tuż przy ciele. Leżą niemal w całkowitym bezruchu. I tylko powieki Juli zdają się drgać wyczekująco... Jedyne nosy wystają im spod „kołdry”.

Na chwilę przed świtem stomatolog decyduje się sprawdzić prowiant na gałęzi...

– To musiał być największy w okolicy grizzly. Całe ich stado! – krzyczy w stronę namiotu.

Wprawdzie brezentowy worek nacięły raczej zębki polnych szczurów, ale z tyłu kilogramów jedzenia zostały resztki. Lecz niczym wydaje się strata około dziewięćdziesięciu dwóch dolarów, skoro... żyją.

Stomatolog po dramatycznie szybkim powrocie do obozowiska rzuca w ogień gałęzie i porąbany mimo tych nerwów pniak (zero kosztów, a jakie to wydajne), a te, iskrząc wysoko, umacniają tarczę ochronną. Czy dały biednej Juli niezbędne poczucie ulgi? Przygląda mu się dziwnie rzeczowo... Energicznie spakowali rzeczy, zwinęli namiot. On zaś, bez dłuższego namysłu, postanowił:

– Tak, moje maleństwo! – Objął Julę. – Jeśli schodzić w dół, to natychmiast, nim wzejdzie słońce. W tej szarości nasz kilkusetkilowy drapieznik gotów tu wrócić po nadgryzione konserwy – oznajmił tonem prezydenta USA chwilę po ataku nuklearnym ze strony ZSRR.

– Jeśli tak uważasz... – Tyleż wdzięczna, co manipulowany naród amerykański, Jula bez słowa skargi założyła cięższy plecak.

– Tak marzyłem pokochać cię, dziewczyno, na szczycie tego masywu... – Spojrzał w górę jakimś nieprzytomnym wzrokiem. – Cóż, nie dane nam było. – Westchnął, raczej bez krzty dystansu do siebie.

– Przed nami jeszcze tyle szczytów... – Jula filuternie spojrzała na stomatologa od pasa w dół. – Wolę coś niższego. Bez kłów i pazurów. – Po protestancku spoważniała.

– O, ku-u-u-rwa! – zmełł w ustach resztki tej prapolszczyzny.

Akurat potknął się, zresztą i psychologicznie, o wystający korzeń... Julia wtedy, tam w namiocie, udawała przerażenie. I czegoś się chyba domyśla! To, po prawdzie, bardziej go niepokoi niż największe stado grizzly!

– Mój pan i władca czemuś smutny. – Julia zerknęła przytomnie głupiutko.

– Z pewnością wolę cię całować w ukwieconej dolinie nad szemrzącym strumykiem – słodko mamrotał. – Ale zdarza się, kochanie, że wpierw trzeba powalczyć o życie. Jestem samcem!

– Na tych twych szlakach, mój lwie, samica głównie pada ze zmęczenia. Swoją drogą: jak można karmić swą męskość w jakimś dusznym namiocie, ostrząc dzidę na domniemanego misia?

Spuścił głowę...

– O ileż lepsze milonga, kochany! Dwa ciała w tańcu poi wspólny rytm i pewne, że nikt nie umiera.

– A prezydent Francji? – zażartował stomatolog, choć Julia coraz bardziej go irytowała!

Bez sensu jednak polemizować z kobietą. Dojrzały facet zawsze jest osamotniony w swych chłopięcych marzeniach. Wiele bliższe są mu teraz – ponoć niedosięgłe – Andy. Wejście na tamten powulkaniczny szczyt uleczy go z bezsensownych „zapaści”, ciągle jeszcze nie na ten wiek...

Z czasem obydwójce dostają zadyszki. On na zakręcie jeszcze raz spogląda ku górze. Ten tu wierzchołek – w zasadzie wart sekretnej próby – kryją litościwie czarne obłoki. Na szczęście nie oczekiwał, że stanąwszy tam, pozbędzie się miazdzącej w określonych momentach... niepewności. Lecz wkrótce krzyknie na całe Andy: „Stanąłem u celu! Jesteście moje!”. I wszystko dalsze będzie, jak splunąć.

Na razie pokonany (całkiem możliwe, że przez stado niedźwiedzi!), ze spuszczonego ogona wycofuje się z pola bitwy.

Tak schodząc przodem, próbuje choć trochę uporządkować niewygodne

myśli i syci się naturą...

Poza jeleniem hen na stoku i orłem krążącym nad łańcuchem gór nie widać groźniejszej zwierzyny. Wokoło cisza. Jedyne strumyk, płynący do pozazdrosczenia wartko i bez napięć, będzie im towarzyszył w drodze powrotnej. Czasem przetnie ścieżkę, by zginać oczom i ukazać się o kilka kroków dalej, nim w końcu bezpiecznie sprowadzi ich do bazy.

– To, skarbie, wodny drogowskaz przy wędrówkach górskich, a i źródło bioodnowy, gdy przemyjesz spoconą twarz.

– Lodowata temperatura, mój lwie, tylko kurczy mięśnie! – przemówiła z Juli... poczciwa mamuśka. Czy aby tylko?

– Za to ożywia bolące ciało. Nogi mi, skarbie, wysiadły po dwóch godzinach tej krętej dreptaniny – wydyszał i usiadł przy... jakby znajomym drzewie.

– Spieszmy się, grizzly mogą wrócić. – Jula roztrzęsała się z dużym artyzmem.

– Po nadgryzione puszki krewetek? A ty zamiast swej zerowej coli masz strumyk! Z biegunki od ewentualnej *gardia lamblia* się nie umiera.

Już się do niego nie odezwała. Nocne czuwanie dało im obojgu w kość. Dla lepszego krążenia on wsparł nogi o drzewo. Swą dzidę wbił w ziemię. Jula odprawiała protestancki seans jogi na omszałym glazie.

Stomatolog czuje, że w istocie nie zregeneruje go żaden spokój czy cisza. Przez sekundę kusi go, aby rozbić tu namiot dla celniejszego podejścia w jednym śpiworze... Lecz szybki powrót na dół jest faktycznie najrozsądniejszy! Ona niby kryje strach, on udaje przejściowy kryzys sił... Godzina drzemki jemu nie ujmie mdlenia członków, biorącego się, kto wie, może z lekkiego zwyrodnienia stawów. Może krótki wykład o amerykańskim malarstwie dodałby Juli entuzjazmu?

Myśli o pokonaniu wielkiego grizzly zastruganym kijem w końcu jego samego zaczynają śmieszyć. Jej, samotnej pięćdziesięciolatce, wraz z przedłużającym się milczeniem rośnie nastrój nie do odgadnięcia przez lotnego jak siekiera stomatologa...

Znali się już prawie rok. W zasadzie z parkietu. On od początku unikał

rozesłanego łóżka, które dla rozwódki Juli nie było chyba konieczne. Któż by odgadł, że w imię swej stabilizacji na resztę życia stawiały czoła nawet Godzilli...

Właśnie dał się słyszeć trzask łamanych gałęzi.

– Czy on tu wróci? – Z miną małej kobietki patrzyła na szerniały gąszcz drzew.

Objął ją mocno, bez słowa. Wtulona w męskie ramiona, zgodnie z poczuciem dramaturgii, zadrżała.

– Proszę cię, kochany, natychmiast wracajmy!

Oczywiście znów szedł przodem, choć obojga, różnorako zagubionych, wiernie prowadził strumyk. Już nie uświadamiał Juli, że w dole masywu Sierra Nevada trafiają się grzechotniki. Oby któryś nie zasyczał spod tej skały... Lub niech właśnie zasyczy! Swą dzidą przygwoździłby łeb nawet węża boa!

Od zaparkowanego porsche dzielą ich ciągle ponad dwie godziny marszu. Lecz w domu, przy TV, odprężą się. Jej, górskie stresy złagodzi jakiś serial. A jemu... wspólne jacuzzi i wzajemny masaż barków ukoją nerwy, zszargane od czasu wizyty w Buenos Aires. Jeśli potem z Julą na, bezpieczniejszej niż łóżko, kanapie (oryginalne *mid'century*, cztery i pół tysiąca dolarów) ciągle nie wygra wojny, to może przynajmniej bitwę...

Rano przy bananowych *corn flakes* Jula, jej zdaniem cudownie wyspana (zanocowała!), uznaje to w Sierra Nevada za biwak w zoo, na wybiegu dla tygrysów. Gospodarz, zupełnie jak w tangu milonga, jest tak słowiańsko czarowny. Juli wcale nie zależy na wszystkich jego, mimo kryzysu, zyskownie wynajętych rezydencjach. Wzrusza ją ta chłopięca żądza zwycięstwa nad tym, co chwilami odmawia mu posłuszeństwa. Jak tu nie pomóc...

On, po ich wczorajszym oglądaniu TV z kanapy, czuł się zawiedziony Julą! Ta jej niedbałość w zmaganiach ze złośliwością natury. Tamtej zesłotygodniowej nocy, po wyjątkowo udanym milonga, też raczej studziła go pod kocem. To nic. Lekiem nie będą mu żadne niebieskie prochy dla emerytów, a przełomowy szczyt „wulkanu” w Andach!

Za certyfikat posłuży zaś miłosne zwanie ze springpartnerką Julą na wymarzone sześciotysięczniku. Pasma górskie światła rozścielą im się

niebotycznym prześcieradłem, a pierzaste obłoki ich nakryją. Sprawiedliwie Juli pierwszej dać tę szansę.

Jej ruchy bioder przy salsie czy niewinnie zawieszono na partnerze ciało wyróżniają ją z grona stu abonamentowych uczestniczek milonga. Wszystkie na ogół samotne, mimo wieku są też pełne sił, by zdobywać. Może tego rozkołysanego wieczoru? Może na trochę dłużej... On, wytrawny *tanguero*, z pewnością od lat kocha taniec...

Przed nastaniem Juli nigdy nie wracał z klubu w towarzystwie którejś z wielu, tak po polsku uwodzonych, kobiet z parkietu. Może coś go gdzieś pchnie – uspokajał się wówczas – w następną weekendową noc. Ciągłe nie te oczy, nie te usta...

Od fatalnego Buenos Aires odczuwa to przejmujące go spowolnienie. Niby po co dorosłemu mężczyźnie galopować i rzeć jak źrebak? Jednakże... Czy prawdopodobne, by dużo głębiej było z nim coś nie tak? Na oko eksploduje energią! Ciągłe nie dość mu delectować się kolejnymi ciałami w określonych figurach choreograficznych.

Wychodził nad ranem, bez żadnej z tyłu „zdobytych” na parkiecie tancerek, wcale nie jak Polak! I to samo w następną noc dla abonamentowych członków. Szkoda może, że jego kluby otwarte są wyłącznie dla białej klasy średniej. Ciągłe nie ta woń kobiecego barku i szyi... Nękać stomatologa miękkość tężała dopiero w samotnym łóżu... Ale po co mu inseminacyjne upusty starego ogiera do wiadra? Niech staną przed nim, w weselnym szpalerze, niezliczone szczyty Andów. Tak! Gdy zdobędzie sześciotysięcznik, wszystko będzie jak przed fatalnym Buenos Aires!

Zaś co do Juli, to niechby mu towarzyszyła w tej wyprawie życia jako sparingpartnerka. Nie zaszkodzi mu ogrzać swego niedogrzanego sopła w babskim gardle, zanim zatknie go na czubku świata. „Duch ułana z dzidą nigdy Polaka nie opuszcza!” – na tę myśl w końcu roześmiał się głośno.

Przez następne tygodnie, oprócz regularnych treningów na siłowni czy basenie, jeździ z Julą co weekend i do klubu milonga. Szlifują nowe figury w grupie tanecznej. Lecz w domu, pod kołdrą, on unika już wszelkich prób z samym sobą. Wyłącznie „socjalistyczna” kolektywność ma mu zapewnić tężyznę fizyczną, wytrzymałość i harmonię ducha.

Dotąd, przed oficjalnym mianowaniem Juli na wysokogórką sparingpartnerkę, opłacał trzy kluby; dla większego asortymentu kobiet na swój „casting”. „Jak to dobrze – mówi sobie teraz – że na następny kwartał już do żadnego nie poślę czeku”.

Dziś, z pewnych względów, idą do czwartego klubu. Stomatologa zdobi modnie zawiązany krawat, ją czarna suknia i... prezent: szal w grafitowej tonacji z argentyńskim haftem; wcale nie z wyprzedzaży! Czekał w jego szafie na godną tego rękodziela damę!

Kupił go przed laty na bazarze w San Telmo, gdzie brał pierwszy kurs tanga. Tylko on wie, że szal już spowijał inną smukłą szyję. Został na półce po nagłej wyprowadzce poprzedniczki. Żał mu było oddać go do polskiego kościoła. Ciągle modny idealnie współgra z pastelową urodą Juli. Wręczając jej szal, szepnął:

– To *BABY ALPACA*, pachnie górami!

I rzeczywiście. Jula robi w nim furorę na parkiecie oraz przy stoliku, w towarzystwie świeżo zaprzyjaźnionych par. „Nowy” szal zbiera osobne komplementy. Aż pewnego razu, kiedy stali z Julą przed klubowym lustrem, poraził stomatologa widok kogoś za ich plecami. Jakaś dłoń muska haftowaną materię, po czym znajomy mu, drżący szept wionie w stronę Juli:

– Kiedyś miałam identyczny. To *BABY ALPACA*, pachnie górami; też ci w nim świetnie. – I dama znika w tłumie tańczących.

Tu też go dopadła...

Poprawka make-upu w toalecie nie wróciła Juli dobrego samopoczucia; chociaż obwąchując szal, nie znajduje czyjegokolwiek zapachu. Był w pralni lub rzeczywiście jest z najdroższego butiku. Szkoda psuć taneczny nastrój. Zapytany ofiarodawca powie:

– Ważne, skarbie, że ci się podoba.

Wreszcie, darowanemu koniowi... Szczególnie, jeśli chce się go osiodłać...

Jula z ulgą słyszy w końcu od koleżanek z pracy, że podobny szal widziały na wystawie w Beverly Hills. Odtąd, nosząc szal, mówi stomatologowi:

– Po zegarku Cartiera na gwiazdkę to jest coś najwspanialszego od ciebie, mój lwie!

W skrytości usilnie marzy o bodaj skromnym pierścionku, jeśli nie po prostu obrączce...

Na ostatnim milonga zaskoczyła go:

– Czy ty coś miałeś z Beatrice?

– Skarbie, znamy się prawie rok; tańczymy, czasami coś więcej. Być może połączą nas Andy. A ty mi nie wierzysz?

– Beatrice tak patrzyła na ciebie...

„Czyżby się znały?” Udał, że nie rozumie i odtąd zerka na inne tancerki w ich odbiciach w polerowanym parkiecie; ocenia ich klasę i potencjał kobiecości po ruchach nóg. Nadal jest w tym ekspertem, jak mało który facet!

Pomylił się tylko raz; z „żelaznym biodrem”, czyli właśnie Beatrice... Na oko wydawała się ona zręczną pięćdziesięciokilkulatką o jędrnym ciele; tylko ją rozbierać i degustować! Przez kilka sobót dla klubowiczów tańczyli ze sobą. Ona, przy figurach w prawo i w lewo, wyraźnie Ignęła do partnera. Oplatała mu ramionami szyję nie tylko w samym tangu, ale i po wyjściu z milonga, na parkingu.

Któregoś weekendu zaprosiła go do swego loftu w centrum Los Angeles. Po homarze przy świecach szepnęła mu, by wolno ściągał jej majtki, gdyż... metalowy staw biodrowy ogranicza ruchy ud w linii pionowej!

– Zagrzana panewka może nawet skrzypieć. – Westchnęła. – Stąd ten włączony na maksa „heavy metal”. – Chrobotnęła mu też implantami zębów w samo ucho.

– To tylko jak pisk hamulców w starym, dobrym packardzie – pocieszył ją, może znów nie najzręczniejszy...

Bodajże wtedy pierwszy raz krew... hm... wróciła mu z dołu do mózgu. I to była ostatnia styczność jego, „mechanika” mimo woli, z tą landarą. Seryjne głuche telefony przestał odbierać. Wreszcie zmienił kluby. Jak widać, daremnie.

Druga taka, dobijająca go, sytuacja przytrafiła mu się właśnie na parkiecie w fatalnym Buenos Aires. Jako adept tanga prosto z USA zrozumiał arcydziwki dotyk w tańcu jako zielone światło dawane mu przez partnerkę na przejście z klubu do jej sypialni. Kakaowa dziewczyna dosłownie wtapiała mu się w krocze. Sklejeni policzkami frunęli po kole za resztą par. Niedowierzająco mierzył czujnym prąciem tętno jej waginy.

Dziewczyna, wsparta obu piersiami na jego torsie, przeżyła się niczym wieża w Pizie; choć i do niego odnosiło się to porównanie, gdy wykręcała subtelne *ochos* i *ganchos*... Sunęli niczym dwa rozwinięte żagle po tafla parkietu. Wreszcie porwał go jej diablo-anielski grymas i dziwnie zmrużone oczy...

Dyszając, dziewczyna najwyraźniej świadomie myliła parkiet z łóżkiem! Tam ona dopiero wspaniałomyślnie spełni to nieme błaganie partnera, a któryś jego nieporadny krok wspomogą prężnymi udami, brzuchem, wreszcie śmiałą dłonią. I już zaraz... on będzie czule dyszał, kiedy ona, wódz naczelny, obdarzy powołanego z nicości kochanka marszałkowską buławą, dobytą z jego, wciąż szeregowca, plecaka. „Nie obezwładni – zdołał pomyśleć – mej chrześcijańsko-konserwatywnej męskości jakąś metalową częścią ciała...”

Na razie po tym wstępnym tangu kakaowa piękność nie zostawiła jeszcze (już?) bardzo sztywnego tanecznie *americano*; wytrzymała w swym choreograficznym zawieszeniu do końca *tanda*... Docenił całym sobą tę arcykobiecą inwestycję w jego drżące męskie ego. W następnym tangu oddawała się jemu jednemu na świecie. Zupełnie jakby tańczyli ze sobą od narodzin po kres ich wspólnego życia...

Więc w finale parkietowego aktu ich wspólnego stworzenia ciśnienie omal nie rozerwało *tanguero* spodni. To wspaniale! Przed nimi noc i cały tydzień jego niespodziewanie miłosnych wakacji...

Nim się z tym wszystkim wysłowił, po długiej chwili wzajemnego oczekiwania, kakaowa dziewczyna zakręciła się i... znikła w tłumie! Po chwili zobaczył w oddali, jak kołysząc się równie rozkosznie, policzek przy policzku, łaskocze fachowo jedną ręką szyję starego Japończyka, a drugą wsuwa banknot za podwiązkę...

Doznał szoku. Dla niej, tamtejszej fordanserki (po prostu dziwki?) głupi *americano* to dwa puste tanga w jednodobowym rachunku... Dla niego psychiczna zgaga na cały wakacyjny tydzień.

Niestety, fatalny bezwład wszystkich członków, okazuje się, dokucza mu trwale. Mimo drugiego, porównywalnego z Beatrice, urazu tę kakaowo-śniadaniową dziwkę wynosi w czulej pamięci ponad inne romanse; nie wyłączając Laury...

Żelazne Biodro powinno dać mu milion dolarów odszkodowania za ów pierwszy uraz, przez to jej skrzywienie! Przy pomocy Sary wygrałby taki proces. Za późno zlekceważył e-maile i telefony Beatrice. On, na szczęście, już był poza warsztatem samochodowym, w objęciach, na salonowym parkiecie, tym lepiej, że przelotnych. Bo łóżko... Tu pewność siebie wróci mu wraz z sukcesem na sześciotysięczniku. Chociaż przegrana – śmiertelny cios zadany jego męskości – mogłaby poskutkować trwałymi falstartami w sypialni!

A tak bardzo chce wrócić do bloków startowych... Sparingpartnerka Julia już po testach, marszruta na wulkaniczny szczyt przestudiowana w detalach. Przygoda z „niedźwiedziami” ustrzegła go od przedwczesnego sprawdzianu... Postny czas zaowocuje. Przestał też skupiać się na walce z autodestrukcją obu synów. Po ich matce... Dość ojcowskiej nadopiekuńczości.

Na decydującą kolację przy świecach, która jakby otworzy dlań panoramę Andów, zaprosił tylko Julę. Wyciągnął z głębokiej piwnicy omszałe bordo 1979; z intensywną myślą o cenie butelki na aukcji... Ani mu, samcowi, postoi w głowie, że Julia podobnie intensywnie myśli o pierścionku zaręczynowym i podróży poślubnej... ale... do Monte Carlo. Dotąd chwaliła się koleżankom z gabinetu psychologicznego adoracją stomatologa. Lecz gdzie konkrety?

Na talerzu leży pękata koperta z różową kokardką...

– Do naszej rocznicy jeszcze miesiąc – wyrwało się zdenerwowanej Juli przed deserem. – Ty już po urodzinach. A więc co to jest, mój kochany?

Jej kwaśna mina popsła mu akt oficjalnego mianowania Juli na... wysokogórskiego partnera! Mimo to przyniósł z biblioteki globus z zakreślonymi flamastrem Andami i Cordillera Occidental. Rozplótł różową kokardkę i wręczył Juli kopertę. Całując „partnera”, szepta:

– A więc lecimy razem. To bilety American Airline na nasz sześciotysięcznik. Hotel, jeep i wysokogórski sprzęt czekają w schronisku. Wszystko już opłacone.

Twarz Juli ściał przyziemny chłód. Swego udziału w wyprawie była od początku pewna. Jeszcze chwilę nieznacznie maca kopertę w poszukiwaniu wyrzucenia. Może pierścionek zsunął się w róg, pod bilety? Nim wezbrała w niej złość, przytuliła się, aby on, choć po męsku ślepy, niczego się nie domyślił! Wspólny pobyt otworzy jej wyboistą drogę do... I tak wszystko będzie, jak powinno być!

Za kilka minut (już oboje natchnieni?) tańczyli w ciszy salonu; ona wciąż po cienkim lodzie, którego w tych cholernych Andach nic nie śmie skruszyć. „Skoro nie teraz, oświadczy mi się na tym sześciotysięczniku!” – jeszcze jako „sparingpartnerka” przeciera za jego plecami swe zimne oczy. On swych, roziskrzonych, nie spuszcza z globusa, bo dzisiejszy przychód z kliniki już sprawdził.

– Aż tak wzruszył cię, skarbie, mój plan?... Nasz plan! – sprostował z owym słowiańsko-bankowym wdziękiem. – Przy naszej kondycji fizycznej i siłach ducha damy radę, skarbie.

– Czy to tam żyje krwiożerczy imiennik mojego świętej pamięci Yeti? – Jula pięści słowa jak nastolatka.

– Yeti, skądże... Nie teraz!... – Uchylił się jej dorośle zapobiegliwym dłoniom. – Do samego szczytu poprowadzą nas nie najdrożsi wprawdzie, ale świetni przewodnicy. W naszej grupie idzie wytrawna alpinistka, bodajże z Grenoble, i młodożeńcy z Londynu.

Słyszając o ślubnej parze, odtrącona Jula jeszcze się wzmocniła w swym gniewie. Włoskie lody (ponoć ekskluzywne) topniały na stole. Szczęśliwy powrót ze zdobytego „wulkanu” uczcili toastami z cierpliwie oczekującej w koszyczku butelki bordo 1979. Każde za własną intencję...

Już na kanapie stomatolog, cmoknąwszy Julę, zagłębił się w... południowoamerykańskim kontynencie. To i to dla niej takie mało istotne...

– Harmonogram wyprawy ustaliła nieduża agencja wynajmu przewodników. Dowiedziałem się, że lepsza niż te okrzyczane – wyjaśnia po męsku zaaferowany. – Lekki trening przez dwadzieścia cztery godziny od wylądowania w miasteczku i pięć dni w schronisku na 3650 metrach. Trochę wejść i zejść do 4000 metrów. Szóstego dnia jeepem do bazy i pieszo na 4300 metrów. Schronisko jest na 4950

metrach, więc zostałyby magiczne dwieście osiemdziesiąt.

– To mój spacer z Yeti na siusiu! – Juli bez trudu wróciła dziewczęca naiwność.

– Nie, parę godzin mordęgi. Lecz po to nasz kalifornijski supertrening.

– Mój Yeti, widząc na szczycie suczkę sąsiadów, byłby tam w minutę! – Julia westchnęła.

– Przemieszczanie się etapami coraz wyżej to nieodzowna aklimatyzacja. – Stomatolog podjął ton instruktora wspinaczek.

– Może powinniśmy byli ćwiczyć dookoła tapczanu?

– Skarbie, tam, pod chmurami, by osiągnąć nasz cel, będziemy w trudzie forsować każdy centymetr! – Zmienił mimo woli temat.

„Ech – myśli – ta techniczna niewiara głupiutkiej Juli...”

– W tym docelowym schronisku spędzimy noc – parł głośno z istic samczym uporem – a od świtu najcięższe dwieście osiemdziesiąt metrów. Bo to ostatnie podejście przed metą.

– Będąc tam ciągle razem, może coś wreszcie ustalimy? – Julia naburmuszyła się. – Życie to nie ściganie się o metry czy centymetry... – Objęła go.

Milczał. Od swego trudnego rozvodu, dzięki brakowi intercyzy majątkowej, na długie lata uszedł wielu małżeńskim sidłom. Przy czym żadna z tylu łóżkowych partnerek nie narzekała... Tak było do wzięcia na warsztat Żelaznego Biodra i gorzko-czekoladowej dziwki. Z pomocą sześciotysięcznika jeszcze parę z nich zachłyśnie się z wrażenia.

– Daj Bóg, skarbie, przyjdzie czas na różne rzeczy. – Ścisnął Julę zastępczo, aż jej „oczy wyszły na wierzch”.

– Nie bierzesz mnie, mój lwie, na walkę wręcz!

– Choćby mieczem, skarbie, usiekę to rozrzedzone powietrze; wywalczę drogę do zwycięstwa! – Wydało mu się, że Julia skapitulowała...

On ten pieścztotliwy „skarb” (wciąż, tak dosłownie, nieodzyskany) przejął od tak zwanej „księżnej warszawskiej”. Nadal jest mu winna dwa i pół tysiąca dolarów, pożyczonych bez wątpienia na meble dla jej córeczki! W porę uszedł „księżnej”. Tleniona piękność, choćby z intercyzą, zrujnowałaby i Billa Gatesa.

Tymczasem „głupiutka” Jula na czubku (niech mu będzie) miecza stanowczo widziała pierścioneł zaręczynowy. Na problem intercyzy, której się spodziewa, też znajdzie sposób.

– Czy załatwiłś nam osobny pokoik w schronisku?

– Skarbie, wszystkie noce spędzimy z grupą na pryczach. Dwuosobowe pokoje (co mam za czyste snobizm) rezerwują te bezwstydnie drogie agencje.

Przez minione dni nic w żadną stronę między nimi nie zaszło... Ośnieżona polana to tylko koniec jazdy jeepem; mimo jego napędu na cztery koła. Zostaje do schroniska około dwustu metrów pieszo, już z bagażem na plecach. Inny pusty jeep za nimi wygląda na dawno ostygły...

– Weźmie z dołu następną grupę z własnym przewodnikiem; dołączą do nas jutro – objaśnia ten ich miedzianoskóry Pedro i komenderuje: – *Vamos!*

Skrzypi im pod nogami śnieg ubity przez poprzednią grupę. Brną jak po sznurze, każde w odstępnie kilku metrów... Minęła godzina, a przy spojrzeniu za plecy rejestracje jeepów są ciągle czytelne. Także na dwóch pick-upach, jeszcze niżej, dostrzec można dziury po rdzy lub po serii z maksima? Przemycano by Andami narkotyki?

Chwiejne światło sączące się w dali z podwieszanej pod jakimś okapem lampy naftowej jest dla zagubionych śmiałków jak latarnia morska. A więc i macierzysty port. Indianin Pedro zaraz wprowadzi ich do bezpiecznego wnętrza. Jeszcze kilkadziesiąt najmozolniejszych kroków, czyli tyleż minut, i zrzucą plecaki...

Po co najmniej godzinie marszu (trzy oddechy na jeden krok) wreszcie mający im ostatni budynek na andyjskim szlaku. Wygląda jak pasterska wiata bez elektryczności; ot, wielka izba z kuchenką i pryczami. Za jednym i drugim okienkiem skleony z desek magazynki, dalej „toaleta”. W jakiejś metropolii „budynek” byłby szalasem koczujących na jej obrzeżach bezdomnych; tu, na

puszku pod gwiazdami, to odpowiednik luksusów wielkomiejskiej cywilizacji.

– Niejeden alpinista, skarbie, ocalał tu przed lawiną. Ile radości, ale i smutków widziały te sklecone z desek ściany... – Stomatolog lirycznie podbija wartość taniego schroniska.

Wewnątrz, w rogu „kuchenki”, pyrka na butli gazowej zupa paprykowa z makaronem. Obcy członkowie drugiej grupy w towarzystwie dwóch Indian stoją pod ścianami. Podczas kolacji ciasny drewniany stół obsiada międzynarodowe towarzystwo.

Lecz „biesiada” nie potrwa długo. Za sześć godzin szef ich miniwyprawy, Pedro, zarządzi pobudkę. Inny tutejszy góral, wiceszef Rodrigo, gestami zapewnia, że za małą dopłatą wykrzesze z każdego świeże siły. Wreszcie tłumaczy, szukając angielskich słów:

– To jedzenie mięsa robi coś złe w żyłach; lepszy makaron...

– Tak, Rodrigo. – Ich biała współtowarzyszka, siedząca obok Juli, uśmiecha się. – Węglowodany obniżają poziom białek w naczyniach krwionośnych, co podnosi ciśnienie onkotyczne, a tym samym zwiększa przepływ płynów z krwiobiegu do dowolnych jam.

Jednak to zbyt zawile, zarówno dla Indian, jak i dla ślubnej pary Anglików i Juli. Tylko przystojna pani doktor i stomatolog rozumieją prawa fizjologii.

– Gdzie praktykujesz? – zagaja on.

– W Grenoble... to południowo-wschodnia Francja.

– Och, wiem. – Również się uśmiechnął. – Bywałem tam na nartach. Mam klinikę dentystyczną, ale już nie praktykuję.

Dzieląca ich na ławie Jula skrzywiła się. Nachalna pani doktor powinna to zauważyć...

– Miło mi poznać kolegę ze służby zdrowia. – Uścisnęła stomatologowi rękę. – Sądząc z akcentu, jest pan ze Stanów?

– Od dwudziestu pięciu lat mieszkam w południowej Kalifornii, w okolicy

Los Angeles, ale jestem Polakiem.

Tymczasem reszta obecnych licytuje swe (czyżby też w części internetowe?) dokonania alpinistyczne. Czy opowieściami o pokonywaniu sił Natury chcą dowieść swej szczególnej witalności? Poza milczącą Julą zawiązała się tu miniwspólnota.

Stomatolog kątem oka ciągle zerka na Francuzkę. Przyciąga go wytęsknioną przezeń zachodnioeuropejską kulturą. Aż dołał do jej kubka herbaty. Próbuje być na tyle subtelny, aby tylko pani doktor (broń Boże, żeby Julia!) odczytała pęczniejącą w nim energię.

Przeciągłe spojrzenia i półuśmiechy tych dwojga przerywa Pedro:

– Budzę dziś wszystkich o pierwszej trzydzieści i ruszamy na zachodnią ścianę przy grzędzie nad drugim urwiskiem. Tam kwadrans na aklimatyzację i powrót do schroniska, *amigos*. To razem sześćset metrów, więc dziś śpicie dłużej.

Cała grupa nie wydaje się szczęśliwa.

– Jutro pobudka o północy, bo jest dalej do szczytu, a trzeba nam wrócić za dnia. *Buenas noches!* – urywa opiekuńczy Indianin.

Wszyscy wstają od stołu. Zaprasza ich rząd piętrowych prycz tuż obok. Tylko stomatolog zwleka. Aż tak jest ciekaw doświadczeń alpinistycznych pani doktor?

– Będę wkrótce w L.A. na kongresie internistów. – Ona, ziewając, daje mu bilecik z paryskim adresem i telefonem. On rewanżuje się swym.

Julia akurat wyszła na zewnątrz (oby na dłużej), więc nie spuszcza oczu z Francuzki. Bada przesłonięte kombinezonem uroki pani doktor od szyi do pasa; z tym poniżej jakby czeka na powrót do swej optymalnej formy.

„Bursztynowy piach gdzieś w Saint Tropez, a może i nad Bałtykiem – tłumaczy sobie w duchu – nie obezwładniałby mnie tak jak to całe złodowacenie dookoła. Śródziemnomorski skwar na pewno uzdrowiłby mnie od ręki...”

Ale tymczasem niemo zapatrzona w siebie para usłyszała zagłuszony wiatrem krzyk Juli za drzwiami, jakby od strony latryny.

– Przyjdź natychmiast!

Zerwał się. Co u licha! Przymarzył jej tyłek do kibla? Wściekły chwycił latarkę i ruszył z pierwszą pomocą...

Otwartymi drzwiami z serduszkami miały chyba wszystkie andyjskie wichry! Na krawędzi „dziury”, pomiędzy oheblowanymi z grubsza deskami, schylona nisko Jula dźgała namiotowym śledziem jeszcze niezamarznięte odchody współtowarzyszy wyprawy. Przez łzy, nie bez gniewu, wyznała mu swą tragedię. Zsunął się jej z ręki ukochany *cartier* od niego...

– Srebrny odróżniłby się od podłoża, lecz ten... – Płakała.

Kryjąc rozbawienie, spokojnie wyjął śledzia z zaciśniętej ręki Juli. Pocieszać ją, że *cartier* wraz z bransoletką to złocona podróbka – nie miał sumienia.

– Kupię ci taki sam z brylantami. – Skrzywił się, czując bliskość wychodka.

Po powrocie „ich” alpinistom na pryczach już tylko głowy wystają ze śpiworów... W chybotliwym półmroku jedynej lampy każdy ciężko zbiera myśli, odlicza czas pozostały do wymarszu, którego sygnał zabrzmiał niczym gong obwieszczający początek starcia na śmiertelnie oblodzonym ringu. Oprócz zawziętej Juli cała czwórka *gringos* mężnie staje do walki z nieprzewidywalnym przeciwnikiem. „Znam jeszcze trudniejszego” – myśli Jula w duchu.

Stomatolog ani spojrzy na jej uchylony śpiwór. Już raczej, owszem, spod powiek, na blond włosy Francuzki. „Brak mi tlenu?” – myśli, przekręcając się z boku na bok. Dotąd świetnie znosił każdy kolejny metr wysokości. Postarzał się? To nic. Za pięć i pół godziny próba generalna, a jutro „światowa premiera”; ku zachwytowi nieprzeliczonej damskiej widowni.

Na razie ma tremę jak alumn przed ślubowaniem Bogu... Śni mu się na jawie, jak będą go potem wychwalać zastępy sparingpartnerki. Lecz po przegranej każda głośno wydrwi impotentę... Gdy leży teraz rozkrzyżowany przed ołtarzem, w stallach siedzi Jula, pod organami, z modlitewnikiem w rękę, klęczy Francuzka... Rzesza byłych partnerek już go nie obchodzi. On zachwyci przyszłe swą drugą młodością; z tej pierwszej okradła go była żona i synowie. Ale przede wszystkim zachwyci samego siebie... Budzą go pokrzykiwania Pedra i krzątanie się – z jakiegoś powodu rozzłoszczonej – Juli. A co pani doktor?

Cała ich skromna grupa, wraz z młodymi nowożeńcami, ubiera się skwaśniała; żadnych pytań czy rozmów. Ktoś, drżąc (chyba z zimna), pędzi do latryny. To nic, że drzwi z serduszkciem wiatr już wyrwał ze szczętem; dyskretny księżyc nakryty jest po uszy czarnymi chmurami.

W izbie ktoś przytwierdza do butów rozdawane im raki, a do pasów karabińczyki. Pedro sprawdza każdemu zapięcia, mocowania lin i ustala kolejność, w jakiej pójda gęsiego. On, szef, poprowadzi piątkę swych klientów, w środku: etatowy pomocnik Juan, a zamknie ten porządek Rodrigo, który pracuje na dniówki – podśluchał stomatolog.

– *Vamos!* – Pedro ogarnia cierpliwym spojrzeniem tych średnio dochodowych cudzoziemców. – Bez obaw, *amigos*. – Dodaje mimo po ojcowsku.

Ruszają; krok za krokiem, każdy przed i za sąsiadem. Wszystkich dzieli parometryowy dystans. W napiętym milczeniu brną może sto metrów na godzinę. Stomatolog tuż za Julą. W jej poczuciu łączą ich już nie tylko liny zamocowane do karabińczyków.

Julą swą babsko-pajęczą więź, a i święte prawo do niej, dodatkowo zaznacza energicznym szarpnięciem. On to pamięta z warszawskiego tramwaju, gdzie konduktor ciągnął za sznurek dzwonka, aby motorniczy ruszał, bo już brak miejsca na kolejnych pasażerów...

– Jestem, jestem, skarbie, myśl o sobie – bełkocze stomatolog.

Lecz i te, poniekąd filozoficzne słowa, są tu marnotrawstwem bezcennej energii. Jednak niewiele myśląc, trwoni jej wiele, gdy spogląda gwałtownie za plecy... W białej kurzawie ledwie namierzył sylwetkę pani doktor. Szła z czekanem w ręku za parą Anglików, ubezpieczana przez dniówkowego Rodriga, który zamyka jako tako zyskowny dla „firmy” ciąg średnio bogatych, ale za to nad wyraz skąpych cudzoziemców. Jest zbyt daleko od stomatologa, by ten mógł ocenić stopień zmęczenia na dość młodej buzi. Nie zapyta pani doktor szarmancko, po polsku o samopoczucie... Boże broń! Jeszcze usłyszałyby jego na w pół agonalny oddech!

Krzyk Pedra z czoła pochodu zdaje się poruszać osaczającymi ich zwałami śniegu:

– Uwaga, droga tylko na metr szeroka! Iść powoli, ostrożnie, bo wszystko oblodzone!

No, w gruncie rzeczy jest szeroko na dwa, trzy metry... Ale rzeczywiście po obu stronach urwisko bez widocznego dna... Ten długi na około dwadzieścia metrów grzbiet niższego masywu im, alpinistom, że hej, przysporzy nie lada wysiłku. Przypomina równoważnię gimnastyczną z liceum... Lecz tutaj ma ona chyba kilometr długości. Pedro, asekurowający ich liną, krzyczy na całe Andy, by nie patrzyli w dół; wyłącznie przed siebie... W prawym ręku każdego ów zamocowany u pasa Pedra hamulec bezpieczeństwa; w lewym czekan gotowy do zakotwiczenia w zdradliwym gruncie...

Jula, dziwnie bez świadomości dramatyzmu sytuacji, drobi tuż za przewodnikiem, czymś szczególnie zaaferowana. Jakby zagrożenie na stoku było mniejsze niż matrymonialna porażka. Wpatrzona w plecy Pedra ledwie pomyśli, jak bardzo oszczędnie ten Indianin, gwarant ich życia, jest opłacany przez stomatologa...

Więc, forsując „równoważnię”, nie odwraca się do swego fundatora i ciągle tylko sparingpartnera, chociaż słyszy, jak ten drżącym szeptem poleca się Bogu i zarzeka się, że jeśli przeżyją, zapisze cały swój majątek polskiemu Kościołowi. Ma facet szczęście. Według niej, trzeźwej protestantki z Bostonu, głuchy na ogół Pan Bóg, niczego takiego potem nie egzekwuje...

Operacja „Równoważnia” trwała chyba wieczność. Kto by zresztą mierzył tu czas? Centymetr po centymetrze, wśród skrzypienia stężałego śniegu pod podszwami, wreszcie wszyscy przeszli. Bezwzględnie odważnej Juli zmarzły tak naprawdę jedynie ręce. Stomatolog spazmatycznie łapie oddech; byle dorównać młodszemu z grupy. Czyli wszystkim!

Nie zdradzi Juli, a już Francuzce chyba tylko na torturach, że gdy raz spojrzal w przepaść, puściły mu zwieracze odbytu.

Oby ktoś teraz krzyknął, że na przykład umiera i prosi o chwilę postoj. Ambitny „emeryt” odsapnąłby na cudzy rachunek. Ma ołów w nogach a pierś ściśniętą imadłem. Potrzeba mu aż sześciu oddechów na jeden krok! Podręcznikowa norma alpinisty to trzy! A jego są przy tym za płytkie...

Chyba jeszcze idzie? Oślepl zarówno na to, co z przodu, jak i na wszystko za sobą! Po Francuzce nie zostało ani śladu w tych jego majakach, które podobno

zdarzają się całkiem nieinternetowo na wspinaczkowej jawie...

Mimo tkwiącej w obu dłoniach liny błądzi samotny gdzieś w śnieżnej ciemności. Czyżby znaczyło ją latarkami tatrzańskie pogotowie ratunkowe? Żle, że nie słyszy, co GOPR-owcy krzyczą; dławi go potężniejszy odgłos krwawej lawiny w mózgu. Lecz on, stary tylko na papierze, jeszcze powalczy z siłami natury! I... z sobą? On kontra świat! Coraz mu zimniej...

Niech tylko usiądzie i rozgrzeje się herbatą, a za chwilę dojdzie do siebie. Będzie niepokonany jak dawniej. Ten powulkaniczny sześciotysięcznik hen w podbrzuszu też goreje lawą... Czyżby właśnie karcąco parzył mu mózg? Nie, to Rodrigo życzliwym potrząśnięciem kasuje stomatologowi turystyczno-erotyczne wizje:

- Brawo, doszliśmy! Jest 5408 metrów. Tyle na dziś, *amigos*!
- Pokaż wysokościomierz – ledwie się wysławia zgrabiący stomatolog.

Faktycznie jest tyle, co do metra.

– Jutro, *amigos*, staniemy na szczycie. A teraz krótki odpoczynek i wracamy do bazy – zarządza marketingowo Pedro.

Ale najpierw znów ta dwudziestometrowa „ścieżka śmierci”. Klienci przydają sobie odwagi, a mini „firma” znaczenia. Ułatwia sprawę wychodzące słońce; czyni zielonych turystów alpinistami, prostych Indian biznesmenami, stomatologa – już wkrótce – kochankiem wszech czasów. Lecz nawierzchnia „równoważni” ciągle przypomina tafłę lodu. Bez dwunastozębnych raków na butach to faktycznie możliwa śmierć!

Na przodzie znów Pedro, w środku Juan, a tyły zabezpiecza Rodrigo. Kiedy nagle... W mgnieniu oka młody Anglik osunął się z grani. Lecz arcyprzytomny Rodrigo już wbił dziób czekana w lodową ścianę i zakręcił wokół niego linę. Doskoczył doń Juan i razem wyciągają Anglika, który wisi już na krawędzi. Gruby powróż wytrzymał. Anglik nawet nie krzyknął... Zresztą cóż by to dało? Jego żona tylko sprawdziła, czy aby na pewno jej pas jest zabezpieczony...

Powoli, jakoś wracali do bazy. Stomatologa każdy krok kosztuje teraz cztery czy pięć oddechów.

– Jak się czujesz, mój drogi? – pyta urażonego męża Angielka już przy stole.

– Zejścia są dwa razy szybsze – mówi Pedro – ale najczęściej wypadków, *amigos*, jest właśnie podczas powrotów.

Przy herbacie nikt nie komentuje wypadku Anglika. Wszyscy zajmują się własnymi dolegliwościami. Julia obolałą ręką trze mało twarzowo zaczerwieniony nos. On ciągle oddycha ustami, jakby lód nie odmarzł mu jeszcze w nozdrzach. Grupa ma popołudnie na relaks i regenerację sił.

Na obiad jest taka sama bezproteinowa zupa paprykowa z makaronem i... Czyżby reszta z wczoraj? Dla każdego przewidziana jest dolewka miłego, herbacianego ukropu. Jednak wczorajsza „biesiada” już się nie powtarza...

Każdy oszczędza siły i w skupieniu czeka na wytęsknione 6007 metrów! Do północy jeszcze aż sześć godzin. Zdaniem (oby rzeczywiście znających się na sprawie...) Indian najlepiej ładować akumulatory snem. Jedni czynią to w śpiworach, inni polegają na pryczach.

Nasz przyszły kochanek wszech czasów bardzo dyskretnie rozmawia z panią doktor. Julia słyszy tylko jej końcowe:

– Zażyj, panie kolego, Diamox, mam go w plecaku. Namawiam. Z górami różnie bywa.

– Chodź na moją pryczę. – Julia ciągnie stomatologa za rękaw. – Tak pragnę czuć cię blisko. Boję się, jutro znowu ten diabelski grzbiet. A jak spadnę w przepaść?

– Skarbie, jesteśmy w pomocnej sobie grupie z trzema doświadczonymi przewodnikami. – Pogłaskał sparingpartnerkę.

Sam w to nie wierzy. Podczas ekstremalnych sytuacji każdy myśli o własnym życiu, jeśli już nie o pieniądzach...

– Ja myślę tylko o nas dwojgu... – Zdobyła się na wieloznacznym uśmiechu. – Słuchaj, mój lwie! Pedro udostępni nam pomieszczenie za ścianą. Będziemy nareszcie sami. Tak jak chciałeś!

– Och, bardzo! Tyle że w agencji proponowano mi tę klitkę i odmówiłem;

już lepsza buda dla psa.

– Nieważne! Do północy to będzie nasz apartament.

– W tańszych bazach turystycznych, skarbie, prawdziwi alpiniści śpią pod namiotem!

– Tamtej nocy, tej, w jednym śpiworze, zapomniałam nawet o niedźwiedziach... – parła Julia po swej „równoważni”. – Słyszałeś, co mówił Pedro. Za parę godzin czeka nas kolejna okropna grań...

– Trudno, nie mamy wyboru.

– Owszem, tak! Widziałeś już lodowe ściany, te jakieś grzędy, urwiska! I w ciemności, i o wschodzie słońca. Czy nie dość?!

– Skarbie, mamy rzucić ręcznik tuż przed wejściem na ring? Planowałem, byśmy po powrocie... – taktycznie nie dokończył.

Ona daremnie czekała na resztę upragnionych słów.

– To był w ogóle zły pomysł! – Pokazała pazurki. – Ja chcę być z tobą gdziekolwiek, bo cię kocham!

– Zobaczysz, skarbie, na mym szczycie szczytów pęknie z dumy.

Na razie pulsujące myśli – każdemu z nich inne – nie dają spać. Na tych trzech metrach kwadratowych (Julia tę „budę dla psa” opłaciła z własnych pieniędzy!) stomatolog krew czuje ciągle tylko w mózgu.

Żyły na skroniach gotowe mu pęknąć ze złości. Obok za ścianą wszyscy chrapią na swych pryczach. W „psiej budzie” ciemno i cicho, bo tych dwoje skrzętnie kryje swe myśli. Stomatolog dobrze wie, że Diamox od Francuzki nie dość, że ratuje przed obrzękiem płuc, to jeszcze wzmacnia krwiobieg... Wstaje i zażywa całą otrzymaną dawkę dwustu pięćdziesięciu miligramów specyfiku. Teraz oddech wróci do normy, a że trzasną mu przy okazji bokserki...

Dalej rozmyśla... Czy doładować się na akcję „Wulkan” także niebieską tabletką? Oczywiście, zwycięski finał w jego Wielkiej Grze nastąpi po sześciotysięcznym sukcesie; dopiero w jakimś łóżku, a nie na topornej pryczy...

Wracając z latryny, sięga do plecaka po nigdy dotąd przezeń nieużywaną tajną broń. Ledwie sześćdziesięcioparolatkowi wystarczy chyba jeden nabój? Ale to się sfinalizuje na czubku świata, tuż pod chmurami, gdzie każdy milimetr żywej tkanki cierpi na szczególne niedokrwienie i osowiałość... Zażył dwie viagry. Popił. Byle się tam wdrapać...

W łóżku napomyka Juli tylko o Diamoksie. Jej też proponuje małą dawkę. Wprawdzie Julia ma oddech w normie, ale tysiąc metrów wyżej może być różnie.

Stomatolog ciągle nie śpi. Autorski koktajl proszków odbija mu się dziwną czkawką... Prawdziwym laurem będzie zaliczenie... hm... obu „koron”; wejście na sześciotysięcznik, a potem bezstresowe orgazmy w długim ciągu włochatych jaskiń. Niestety, taka właśnie kolejność... Więc jeden proszek na lepsze wspinanie, drugi na dłuższe... hm... łopotanie wreszcie zatkniętego na szczycie sztandaru...

Julia chyba zasnęła? On się wierci. Czuwa. W końcu coś go morzy. We śnie rozmarzony głaszcze i wacha włosy... Francuzki! Nagle czuje, że zatknięte drzewce sterczy mu gdzieś poniżej brzucha. Sprawdza ręką... Tak, sztandar powiewa. A wokół szczytu szybują spragnione czegoś żywego kondory... Nijak wstać czy obrócić się na bok. A teraz... Drapieżne ptaszyska trzepotaniem rozpostartych skrzydeł ukazały mu całe Cordillere Occidental jako trupi całun...

Leżąc brzuchem do góry, łatwiej mu oddychać. Już prawie na jawie, ściśnięty w śpiworze niczym w pokrowcu, ciągle widzi wszystko w kosmicznej niebieskości. Tak jak swój ośnieżony, powulkaniczny szczyt szczytów za oknem...

Budzi odkrytą Julę, muskając wargami obie jej piersi. Czyżby aż tak głęboko spała? Nie reaguje jak zwykle na głaskanie jej palcami po szyi. A to, o dziwo, potęguje jego, niestety przedwczesną, gotowość. Zaraz wszystko przerwie wódz Pedro swym „*Buenos dias*”... Już stoi w progu!

Lecz nijak dobrze zacząć dzień z pulsującym bólem głowy i nudnościami. A tu jeszcze kłopot z włożeniem spodni. Julia już na nogach, więc stomatolog, odwrócony tyłem, upycha drzewce sztandaru; skoro dopiero wyrusza na szczyt, zbędnie mu ono sterczy i uwiera.

Reszta grupy, już gotowa do wymarszu, zaczyna się niecierpliwić. Julia przekonana o jego bliskim zawale prosi Francuzkę o poradę lekarską. Ta z trudem kryje rozbawienie. Bada mu tętno, oddech, dotyka skroni. Pyta o ból w klatce

piersiowej, wymioty, mrowienie w stopach, ale starannie omija (także wzrokiem) pewne dolne okolice.

„Dobry Boże, czasami miło być chorym” – myśli pacjent.

Mniej miło robi się, gdy Julia głaszcze go i przytula, sądząc, że może to przywoła chorego do życia...!

– Dzisiejsza wspinaczka, panie kolego – mówi już poważnie Francuzka – to duże ryzyko dla pańskiego zdrowia.

Julia ją gorąco popiera. Wobec uporu pacjenta obie masują mu obolałe partie mięśni. Na zmianę badają tętno na nadgarstku i szyi. Pacjent niby mruczy z ulgą, lecz w głębi ducha jest przerażony. Bez psychiczno-fizycznego sprawdzianu, bez postawienia stopy na szczycie co będzie z planowanym zastępem partnerek? A teraz niechby chociaż dłonie pani doktor zawędrowały gdzieś dalej w ich terapeutycznej misji...

Ale gdy Julia została przywołana przez Pedra, Francuzka kręci głową:

– Co wzięłeś prócz mojego Diamoksu?

Stomatolog wzruszył nie tylko ramionami.

– Głuptasie, po co? My, kobiety znad Sekwany szalejemy za mężczyznami z bujnym talentem kulinarnym! Paryskie modelki na bankietach częściej fotografują się ze znanymi szefami kuchni niż z milionerami. To kucharze są super *sexy*! – Znów sprawdza mu puls. – W przyszłym miesiącu, pamiętaj, będę w L.A. Zadzwoń. – Wciska mu do śpiwora kolejną wizytówkę.

On, fizjolog z wykształcenia, niby jest świadom zagrożeń zdrowotnych, lecz przy tym po męsku głuchy na babskie mądrości. Im dłużej pani doktor trzyma jego rękę, tym bardziej piecze go między udami a brzuchem...

– Zjazd do miasteczka tysiąc metrów niżej i gorąca kąpiel w hotelu rozwiążą twój kryzys. – Francuzka całuje go (bezlitośnie, tylko w czoło), życzy mu powrotu do zdrowia i, rozbawiona, wychodzi na zewnątrz.

Przetrzebiona grupa już się tam zebrała. Zdenerwowany Pedro już któryś raz sprawdza u każdego linę, zapięcia przy karabińczykach i raki na butach; konsultuje

się z Francuzką.

Przewodnicy szepcą między sobą: „jesteśmy bardzo spóźnieni...”, „co z nimi?”. Lecz to wyjątkowo pobudzona Jula decyduje za „kierownictwo” wyprawy; za nich oboje. Odpina swą linę, zdejmując raki...

– Trudno. Nie tym razem, mój lwie. – Siada na straży przy łożu chorego.

– Zgoda, skarbie, ale jeszcze tu wrócimy. I to wkrótce. A byliśmy tak blisko celu... – Popuścił guziki spodni. – Ty powinnaś iść z grupą. Ja do waszego powrotu jakoś wydobrzeję. – Daremnie próbuje się podnieść. – Jesteś po wczorajszym wejściu gotowa technicznie; już zaaklimatyzowana. Uratuj choć te półtora tysiąca dolarów za ciebie. – Rozkaszał się nerwowo. – W zasadzie ja powinienem resztę...

– Leż, błagam! – krzyknęła Jula, starannie nieodgadniona w swej naiwnej przebiegłości...

– Masz rację. – Obserwował ją kątem oka. – Te moje wymioty, te „niebieskie” mroczki. Czuję się, jakby przed Wielkim Biegiem wpadł mi kamyk do buta.

Jula słucha chorego z... przedmałżeńską czułością?

Tymczasem Pedro każe Juanowi zawieść stomatologa i Julę do kliniki na nizinie. Pożegnali się serdecznie z Francuzką i nowożeńcami; w mocnym postanowieniu Juli – na zawsze! Oni dwoje zjadą w bezpieczną dla niej dolinę, a reszta pod wodzą Pedra i Rodriga będzie kontynuować, według niej idiotyczną, wędrowkę na szczyt wygasłego wulkanu.

Jazda jeepem po dziurach i kamieniach nie daje stomatologowi, wbrew chęciom, lirycznie pomarzyć. Póллеży na tylnym siedzeniu. Siedząca z przodu Jula co chwilę rzuca przez ramię „policyjne” spojrzenia. Oddech całkiem wrócił mu do normy, ale jak ma sobie poradzić z resztą...? Wydaje mu się, że dziurawi dach jeepa. Stosowniej byłoby już chyba jechać na otwartej przyczepie pick-upa...

Kilkugodzinna podróż w śledczej asyście miliarda gwiazd dobiega końca. Niżej śnieg już się roztapia, zaś magiczne góry tracą jakby istotność; zbyt wielu widzi się tu ludzi.

Chociaż sześciotysięcznik znikł stomatologowi z pola widzenia, w myślach ciągle „uwierają” go niebieskie kontury... Coś jednak stanowi jeszcze pocieszenie: skoro jako fundator zainwestował masę dolarów we wspólną ekspedycję, to... Może bezczelny „wulkan” w ramach kontraktu spełni swe zadanie? Może spełni?

W klinice zbadano mu ciśnienie, podano płyny dożylnie, a miedzianoskóry lekarz przepisał ten sam Diamox. Julia z dziwną (lub może całkiem zwyczajną?) miną nie opuszcza swego partnera ani na krok. Ten zaś z pomocą młodziutkiej pielęgniarki stanął w końcu na nogi. Wreszcie i spodnie przestają go uwierać.

Tego wieczoru rozpakowali się z Julią w nawet znośnym hotelu.

– Nareszcie prawdziwe łóżko i wanna! – oznajmia Julia z balkonu, patrząc wrogo na góry. – Będę cię zaraz pławić w ukropie aż... – nie dokończyła.

– Źle ci było w schronisku? – kontynuował ryzykowną grę ich matrymonialnych niedomówień.

– Cudownie! I Pedro taki miły. Tylko ta Francuzka wydała mi się nadopiekuńcza...

– Skarbie, to lojalna alpinistka. No i doświadczony lekarz.

– Ktoś by pomyślał, że jesteś jej pierwszym w życiu pacjentem – warknęła Julia. – Cała ta nasza wyprawa była kretyństwem – podsumowała z typową, zdaniem stomatologa, babską wrednością.

– Spójrz na to, skarbie, inaczej – ledwie wydobył z siebie zawodową słodycz. – Czy śniłaś kiedyś choćby o dotarciu na 5480 metrów? A byliśmy tam. I mało brakowało, osiągnęlibyśmy szczyt sześciotysięcznika. Dla większości ludzi znajduje się to w sferze marzeń czy nawet niemożności! – Wskazywał, chyba elegancko i bez aluzji, kto za to wszystko zapłacił.

Owszem, często zastanawiał się, czy Juli nie pociąga jego majątek, ale znów odrzuca tę myśl! Jest przecież atrakcyjny jako mężczyzna...

– Ściągać się tam, mój lwie, na centymetry? – Ucałowała go. – Już wolę skromne Sierra Nevada ze wszystkimi ich niedźwiedziami; są przynajmniej bliżej domu. A tu, w Ameryce Południowej, zgodziłabym się na Buenos Aires z nocnym

milonga!

Stomatolog wzdrygnął się.

– Przy tangu rozchylone usta, mój lwie, nie są rybim oddechem w agonii gdzieś na szczycie. – Julia za późno wierci mu się na kolanach całkiem nie po protestancku...

To jego Buenos Aires, zew uczuć romantycznego Polaka do parkietowej dziwki, wróciło do niego jak obuchem w łeb. Głupiutka ta Julia! Nawet, zdawałoby się, bezpieczne niziny są przy niej w stanie strącić go w męską zapaść...

W samolocie do Los Angeles zgodnie omijają z Julą tematy „wspinaczkowe”. Szczególnie ostatnią noc w schronisku. On pierwszy raz w życiu krytycznie myśli o swych samczych ambicjach. Czyżby nazbyt egoistycznie zaspokajał je kosztem swych partnerek?

Tak czy tak nie osiągnął żadnej z dwóch wymarzonych koron. Do tej ośnieżonej nie dotrze chyba już nigdy... Nawrót kalifornijskich porażek dokucza mu, abstynentowi, jak pijacki kac.

Tymczasem Julia w spokoju ogląda wsparta na oparciu fotela odcinek *Seksu w wielkim mieście*...

Po powrocie on uśmierzy ten swój abstynencki ból negocjacjami z bankami w sprawie rezydencji w zjawiskowej Laguna Beach. Zbliża się kryzys ekonomiczny, sporo właścicieli w tym amerykańskim Saint Tropez jest skrajnie zadłużonych i ich banki chcą szybko odzyskać nietrafione kredyty. Coś w Laguna Beach stomatolog kupi okazyjnie już za milion, dwa... Nawet sto metrów od piaszczystej plaży! Byle spokojnie przeczekać padlinożernych konkurentów do masy upadłościowej...

Chmury za samolotowym okienkiem układają się w falisty bezkres...

Lecąc do domu na tarczy, nie czuje się przegrany, bo krzepi go, jak nigdy, pozafinansowe szczęście! Przez tydzień walczył z sobą i wysokogórską naturą. Aż do finału na oddziale kardiologicznym. Otóż jednocześnie, dzień po dniu, grań po grani, kielkowała w nim życzliwość dla głupiutkiej, ale po babsku wytrwałej Julii. To jej bezinteresowne uczucie do niego chyba powinien jej jakoś wynagrodzić? Julia otworzyła mu oczy; jego nagle ocieplone serce pokonało, trzeźwą z własnego

wyboru, głowę. Nawet w wysokich górach śniegi wokół schroniska topnieją przecież, gdy nadejdzie lato. Jednak nie na sześciotysięczniku...

Czas spędzony wspólnie z Julą na szlaku i krytyczne chwile na „równoważni” przybliżyły mu tę kobietę jak żadną inną, z wielu. Ciepły dotyk przed tamtą nocą, proste słówko nad ranem – to było to! W czasie jakiś innych, nieprzyjaznych dla niego, wiatrów ona będzie mu przystanią!

Na umarły geologicznie „wulkan”, dobrze, że się nie wdrapał! Julia, kilkanaście lat młodsza, tryska zdrowiem i bez wygórowanych kosztów pchnie go do każdego sukcesu. Niechby na długo... Wielki Boże, na zawsze! Skoro ona tak chce być przy nim! A jego andyjska przegrana to już tylko zdjęcie do nowego albumu. W Photoshopie wszystko da się wyretuszować.

Co ta milcząca „kobietka” wpatrzona w serial w tej chwili myśli, głupiutki w relacjach męsko-damskich stomatolog nie zbadalby nawet „sześciotysięcznym” penisem.

Poprawia się w fotelu, by wciągnąć obydwoma dziurkami nosa aromat szyi Juli.

„Bóg świadkiem, to zdaje się krzyk mojego serca!” – pomyślał z westchnieniem i wziął z podsunętej przez stewardesę tacki cukierek. Następnie objął Julę, chyba jednak kobietę życia... Unormowanemu rodzinnie samcowi nic nie przeszkodzi sięgnąć po... jeszcze wyższą koronę świata – Mount Everest! Lub też kupować dalsze rezydencje na wynajem...

Gdy rozmarzony stomatolog śledzi opuszczające się koła samolotu, Julia, która skończyła oglądać *Seks w wielkim mieście*, badawczo mu się przygląda... Ziemi horyzont rysuje się już poza ścianą obłoków. Czule gładzi Julę po rękę. Andy całkiem utraciły swą wielkość. Trzeźwi go do reszty pisk samolotowych opon przy hamowaniu. Ale to tylko międzylądowanie. Dalszy lot znowu w chmurach.

